

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

3

PARYŻ

Nr 1/306

1973



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

PELIKAN :

SZYFR

L. VACULIK :

USKARŻAĆ SIĘ NIE MOGĘ...

W. A. ZBYSZEWSKI :

**100-LECIE URODZIN ADAMA
KRZYŻANOWSKIEGO**

KRAJ : **KONFRONTACJE I ZBLIŻENIA - SPRAWA
BRACI KOWALCZYKÓW - INTEGRACJA
A ZJEDNOCZENIE - UCHWAŁA STUDENTÓW U.W.**

SPIS ZWYCZY

Pelikan:	<i>S z y f r</i>	3
Ludwik Vaculik:	<i>Uskarżać się nie mogą... (Rozmowa z Fr. Rentschem)</i>	13
Witold Wirpsza:	<i>List Otwarty do Zw. Literatów Polskich</i>	25
WIERSZE		
Witold Wirpsza:	<i>Dawne, bardzo dawne. — Początek roku (1970)</i>	28
Witold Wirpsza:	<i>Lato 1970</i>	29
Stanisław Wygodzki:	<i>Dałem ci sznur na drogę...</i>	30
KONFRONTACJE I ZBLIŻENIA		
Rafał Gorbatowicz:	<i>Obowiązki</i>	33
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wszystko</i>	39
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Lekcja wietnamska dla Europy</i>	43
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	54
K R A J		
—	<i>Sprawa braci Kowalczyków</i>	65
K. Bieliński, St. Krajewski, J. Strzemieczny:	<i>Integracja a zjednoczenie</i>	69
K. Bieliński, St. Krajewski:	<i>Wobec Zjednoczenia</i>	81
—	<i>Uchwała studentów U.W.</i>	88
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	89
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	97
KRONIKA KULTURALNA		
W. A. Zbyszewski:	<i>100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego</i>	99
Józef Czapski:	<i>Turkiewicz</i>	113
Frank Mocha:	<i>Zjazd amerykańskich slawistów</i>	115
—	<i>Uzupełnienie nagród literackich</i>	116
—	<i>Śp. płk dypl. Leon Mitkiewicz</i>	116
Z TEKNI INFORMACYJNEJ		
Jerzy P. Horzelski:	<i>Towarzystwo transportowe pod egidą bogów olimpijskich</i>	117
KSIĄŻKI		
Jolanta Dworzecka:	<i>Jarmark pełen pomarańczy</i>	123
M. Broński:	<i>O felietonach Kisiela</i>	127
—	<i>„Listy do Polaków”</i>	130
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	130
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	133
◆		
R. Gombrowicz, W. Makowski, A. Rawicz-Szczerbo, Z. S. Siemaszko, M. Szabuniewicz, H. Wierzyńska:	<i>Listy do Redakcji</i>	149
Z. Depta:	<i>List Otwarty do Gierka</i>	160
Redakcja:	<i>Sprostowanie</i>	160
—	<i>Do Prenumeratorów</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1973

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz piąty	F. 80,00
Włodzimierz Bączkowski, Waszyngton (USA), po raz drugi ..	F. 50,00
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz ósmy	F. 25,00
Marian J. Błachaczek, Chicago, Ill. (USA)	F. 22,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 27,50
Bob Borowicz, Santiago de Chile, po raz drugi	F. 21,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dziewiętnasty	F. 50,00
Czytelnik z Polski	F. 15,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz trzeci	F. 30,00
George J. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty	F. 25,00
Prof. inż. Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz trzynasty	F. 25,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz dziewiąty	F. 100,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz czternasty	F. 60,00
Marian Kaczor, Clifton, N.J. (USA), po raz trzeci	F. 25,00
W. Kociejowski, Oxford Mills, Ont. (Kanada), po raz drugi ..	F. 25,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz osiemnasty	F. 100,00
Janusz Laskowski, Paryż, po raz dwudziesty	F. 105,00
St. Leszczyński, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 25,00
Jan M. Pawłowski, 92-Bois Colombes (Francja), po raz trzeci	F. 40,00
Jerzy Jan Piórkowski, New York, po raz jedenasty	F. 50,00
Irena Pleszczyńska, Santa Barbara, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 50,00
— zamiast kwiatów na pogrzeb Krzysztofa Śliwińskiego ..	F. 31,58
Dr August Polaczy, Monachium (Niemcy Zach.), po raz czwarty	F. 50,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz piąty	F. 100,00
Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA), po raz szósty	F. 100,00
Stefan Rose, Paryż	F. 157,50
Prof. Aleksander M. Schenker, Hamden, Conn. (USA), po raz trzeci	F. 65,00
Stanisław Skorupiński, Windsor, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 65,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz trzynasty	F. 300,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 13-ty (jest to dobrowolne „opodatkowanie się” na rzecz Funduszu Kultury à \$ 5,00 miesięcznie na cały bież. rok. Inż. Szpikowski jednocześnie „opodatkował się” w tej samej wysokości na Fundusz POSK'u i przekazał na nasze ręce na ten cel na bież. rok \$ 60,00, które przestaliśmy POSK'owi).	
Dr Marian Turski, Belleville, Ont. (Kanada), po raz dwudziesty siódmy	F. 80,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 80,00
Jan Weiss, Cambridge, Mass. (USA), po raz siódmy	F. 50,00
Łucja Zaleska, Chicago, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 50,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA), po raz szósty	F. 20,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Filadelfia, Pa. (USA), po raz siódmy	F. 60,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dziewiętnasty	F. 100,00
Bezimiennie, Albany, N.Y. (USA), po raz ósmy	F. 50,00
Bezimiennie, Göteborg (Szwecja)	F. 65,00
Bezimiennie, Mediolan (Włochy), po raz dziesiąty	F. 85,00
Bezimiennie, Milwaukee, Wiss. (USA), po raz dziesiąty	F. 25,00
Bezimiennie, Mountain View, Cal. (USA)	F. 25,00
Bezimiennie, Pittsburgh, Pa. (USA)	F. 50,00
Bezimiennie, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 10,00
Bezimiennie, USA, po raz czwarty	F. 25,00

DZIĘKUJEMY!

Szyfr

Człowiek się składa z wody i protein, ale głównie z wody — akurat tak, jak każdy Polak w Kraju, brat mój, składa się z oportunistu. Nie, to tylko dla pamięci odnotowuję, bez zamiaru rozwijania tematu, który tego nie wymaga, może być rozwinięty, ale i w tej lakonicznej postaci jest wymowny aż nadto.

ARYTMETYKA. „Budujemy drugą Polskę” — powiedział Gierk a tę jego deklarację, jako miarodajną i ważną widocznie, interpretowaną w sensie obiecującym — afiszowano na różnych murach. Wysiadła się na jakimś nieprawdopodobnie brudnym, anachronicznym dworcu autobusowym w Kielcach, z gatunku tych, które musiał na swojej drodze spotykać Balzak podróżujący do Berdyczowa i widzi się napis: „Budujemy drugą Polskę!”. Nikt nie sprawdził i nie sprawdzi jakie to wywołuje refleksje i jakie cienie na tyłach czaszki, jedną rzecz co najmniej można przy tej okazji zakwestionować. Druga? To co z tego, że druga? A liczebniki — co wspólnego mają z losem naszym w tym kraju?

Przed wszystkim pomylił się Sekretarz, bo nawet ograniczając się do rachunku powojennego wypada to co najmniej czwarta Polska a nie druga. Pierwsza działa się w tumanie bezpośrednich lat powojennych, gdy ryba jeszcze podskakiwała na patelni nie zdając sobie sprawy z fatalności i z nagłej zmiany jej naturalnego *milieu* i gdy się żywiło myśli takie-owakie, Andrzej Wajda był w ZMP, które na serio traktował i gdy napęd różnych nadziei wezbranych w czasie wojny i po wojnie był jeszcze życiodajny. To była faza nr 1, nieudana — czego wtedy się nie przewidywało — interwencja Mikołajczyka i straceńcza wyprawa Doboszyń-

skiego do kraju, różne, słowem w optyce dzisiejszej nieusprawiedliwione i nierealne gesty, który to okres nazwie Korboński ornamentacyjnie: działaniem w imieniu Rzeczypospolitej, choć były to chyba tylko odruchy warunkowe ryby na patelni. Następny rozdział niech się nazywa Bierutowskim, a nie Stalinowskim, jest w tym co prawda oczywiste zminimalizowanie natury zjawiska i nawet fałsz, ale za to jego spolszczenie, jeżeli da się tak bez ironii powiedzieć. Potem się podsunął Gomułka z chytrą swoją i prostackim zamiarem wywiedzenia społeczeństwa w pole, co mu się na początku udało mimo całego tę osobistość cechującego prostactwa, może dzięki temu, że społeczeństwo chciało żyć drugą falą optymizmu, jak dziecko naiwne, bezgranicznie łatwowierne, co się różnym kolektywom zdarza znacznie częściej niż jednostkom, wciąż, periodycznie, bez najmniejszego wpływu doświadczeń. Aż z przyciśniętej tuby wyprysnął Gierek. Polska jest w powojennym cyklu nie druga, ale czwarta, rachunków tyle się tu nie zgadza, że byłoby dobrze choć te najprostsze i najbardziej oczywiste sobie uprzytomnić.

Co sobie ludzie myślą patrząc na afisz, czy wierzą zawartej w nim, absolutnie niejasno i wspaniale nieobowiązująco, obietnicy? Nic nie myślą, ludzie w ogóle myślą mniej niż się im przypisuje, a w Polsce najmniej, bo margines osób myślących jest coraz węższy: na „Weselu” Wajdy sale świecą pustkami i już się nie sprawdza pewnik, że w niektórych sprawach wewnętrzne porozumienie działa bezbłędnie i że dość w stół puknąć, żeby zabręczały nożyce. Nożyce wielu procesów przymusowych i nieuniknionych, *quasi-naturalnych* obcięły siły świadomości do szczyłego marginesu. Co do „Wesela”, wydaje się że cała powojenna kinematografia łącznie z jej efektownymi obrazami potrzebna była o tyle tylko, o ile stało się teraz możliwe wyprodukowanie „Wesela”, utworu, który nie obraża dzieła Wyspiańskiego, ale je wstrząsająco uaktualnia, bo z pozycji podręcznikowej, estetycznej i klasycznej robi znowu publicystykę, dzięki kinowemu „Weselu” znowu podskakuje temperatura, a ograniczenie społeczne tego faktu nie ujmuje mu znaczenia — wszystko w Polsce trzeba rozpatrywać w różnych ostrych kątach ograniczeń, nie takich to innych, taka jest nasza geometria i taka arytmetyka. A może cenzorzy mieli rację puszczając „Wesele” z jego nieoczekiwana publicystyką — przecież sale świecą pustkami? Jak się orientować w rozmiarach klęski, jakie są proporcje między chwatami od lodówek, fiatów i wczasów a tym statystycznie słabym zespołem osób oburzonych i milczących, którym rachunek coraz mniej się zgadza.

POKUSA WYDAWNICZA. Znalazł się, wiecie, facet, co prze-

chytrył cenzurę, pan Józef P., warszawiak, wydał na własną rękę (w chęci zysku) tak zwany Zbiór wzorów umów, pism w postępowaniu sądowym, arbitrażowym, oświadczeń woli oraz pism angażujących itp., według obowiązujących aktów prawnych. Idiotycznie tasiemcowy tytuł dobrany albo chytrze, albo z nawyku, sam przez się był gwarancją autentyczności wydawnictwa, w tej aurze bezużytecznego biurokratyzmu wydał się jak żywy, kość z kości. Prokurator potem stwierdził, że wypisy były małoarte, stare i nowe, poplątane, typowa chałtura — ale jak doszło do tego, jakim cudem to zostało wydrukowane? Józef P. (widocznie jakaś odwetowa inkarnacja Józefa K. z Kafki) wysyłał pakunczki za pocztowym zaliczeniem i kazał sobie płacić 159 złotych nie żadne 160, tylko o złotówkę mniej, żeby i cena wydawała się autentyczna, z tej samej bzdurnej kalkulacji, a rozsyłał dziełko swoje nie do osób prywatnych, lecz według II części spisu telefonicznego — bardzo sprytnie! — do spółdzielni zrzeszonych w CRS i WZGS, do kółek rolniczych prezydiów gromadzkich, miejskich rad narodowych, ośrodków zdrowia, szkół, szpitali, spółdzielni produkcyjnych, PGR-ów, zakładów: cała oberstruktura Polski partyjno-reżymowej a w każdym razie urzędniczej przedefiniowała w olśnionych tymi możliwościami oczach Józefa P. i pod pewnym kątem, należy przyznać, stworzył on syntezę poziomą tej Polski, dla której bardzo mi brak nazwy, choćby na użytek tej korespondencji — bo to również Polska z jakimś numerem, jednak nie w chronologicznym a jakościowym znaczeniu.

Adresaci zaczęli bulić, to Józef P. trafnie przewidział, bulili nie dlatego, że książka wydała im się potrzebną, tylko dlatego, że w zetknięciu z przedmiotem aż tak pękającym od urzędowości poczuli w sobie natychmiastową gorliwość i pewnego rodzaju solidarność, która jest kitem spajającym wszystkie organizmy zbiurokratyzowane. Wydawca miał zamiar wydrukować 2 miliony 700 tysięcy złotych, ale udało mu się tylko w połowie, bravo! — co nie znaczy że pochwalam oszustwo, ulegam po prostu urokowi tej afery, mimo wszystko jest coś imponującego w fakcie, że ktoś umiał postawić na ciemniactwo i służalstwo i wygrać na tym i zakpić sobie z tego! Ale z cenzurą jak to załatwił? I tu się zaczyna moja pokusa: normalnie zrobienie stu kart wizytowych jeszcze do niedawna wymagało osobistego stawienia się na ulicy Mysiej w Urzędzie Kontroli Prasy i Widowsk, a dopiero od niedawna podejmują się już tego same drukarenki. Jakże się mu udało znaleźć drukarenkę, która zgodziła się obejść cenzurę i drukować całą grubą książkę? No, jakoś to Józio załatwił, pewnie, jak to się u nas mówi, należycie komuś przemówił do ręki.

Więc może by tego łotra naśladować w górnołotnym interesie? Może byłoby celowej listy tego rodzaju puszczać po kraju drukiem zaliczkowym niż słać je do archiwum emigracyjnego, gdzie — nie wykluczone — funkcja ich doraźnie się zmienia i pacy? Tylko co w swoim „Zbiorze wzorów, pism angażujących i oświadczeń woli” napisać, co pomieścić żeby to było warte ryzyka i zachodu?

PARK NARODOWY. W Tarzańskim Parku Narodowym raz po raz się spotyka deskę z napisem: „Nie hałasuj, by nie płoszyć zwierzyny i nie zagłuszać wołania o pomoc!”. Szyfr oczywisty, jak Boga mego! Rozumiem, że w naszych warunkach należy się sprawować dość cicho, żebyśmy się wzajemnie lepiej wyczuwali i słyszeli, ale co znaczy „nie płoszyć zwierzyny” — kim jest ta zwierzyna w układzie wiadomym? Odgadywanie zostawiam na potem, poddaję się niepokoju dwuznaczności, faktem jest, że w wielu połaciach kraju — ale najmniej w miastach — w krzakach mazurskich wysepek, z lustrem wody pod stopą, czy w Tatrach, już przede wszystkim w Tatrach przemysłowanie idzie gładziej, po prostu bez oporu innych, nie naszych substancji — jest się tam szczęśliwie wyizolowanym z jednej strony, a z drugiej znacznie bardziej organicznym, tam jest oryginalna materia Polski. Niebываły widoku Tatr moich, kto mógł przypuszczać, że tkwi w tobie potencjał inny niż estetyczny, niż wspominkowy i emocjonalny, że tu nabierają sił szare komórki a sumienie staje się przeźroczyste jak powietrze.

Doskonałą kiedyś sytuację wymyślił sobie Dygat, autor „Rozmyślań przy goleniu”, a i ja miałem w ciągu paru lat okazję nieco analogiczną, gdy goliłem się dość często (ze zwykłego lenistwa) w małym zakładzie pana Niedaja na Solcu, gdy się tam goliłem i pozwalałem Niedajowi dużo gadać, dużo psioczyć, mnóstwo uogólniać, co — choć dość skromne intelektualnie — myśl wypogadzało i rodziło na potem możliwości różnych dalszych ciągów samotnych. Wszystkiego tego jednak nie można porównać do sprzyjającej atmosfery Tarzańskiego Parku.

SZANTAŻ. Człowiek się składa z protein a w większej części z wody, tak właśnie jak z oportunistu się składa każdy brat mój w kraju — co znowu zapisuję bez specjalnych zamiarów, wyłącznie dla pamięci, bo niżej o czym innym będzie.

Tylko idiota mógłby próbę reformy Gierka ocenić negatywnie, każda próba jest dobra, jako stan choćby chwilowo inny — jednak faktem coraz bardziej czytelnym jest to, że Gierek okazał się bezsilny wobec struktury partyjno-administracyjnej, co każdy dobry rozmyślnik mógł w zasadzie z góry przewidzieć. W każdym

państwie zmiana rządu sugeruje i przeważnie powoduje zmianę administracji, ale to konieczność cząstkowa, nie ogarniająca całości, raczej tylko na górze i w dość płytkiej warstwie urzędniczej — gdy tymczasem rudymenarne człony zostają, bo mogą funkcjonować siłą rutyny, siłą swej społecznej niezbędności a bez względu na zmianę nazwisk u steru. Tak jak w Anglii, a nawet tak jak we Francji, gdzie przy ustawicznym kołowrocie reżymów nigdy nie zachodziła, wydaje się, potrzeba wymiany generalicji, policji, głębokich kadr urzędniczych na prowincji.

Tylko w tym państwie z nieprawdziwego zdarzenia, o strukturze mającej główne oparcie czy główne zawieszenie nie w społeczeństwie, ale z zewnątrz, w innej stolicy — co jest całkiem wbrew prawom fizyki, a już na pewno wbrew temu, co można by nazwać fizyką historii — w tym państwie każda solidniejsza chęć reformy wymaga zmiany całego lasu funkcjonariuszy głęboko w dół, bo jest to kategoria ludzi zepsutych, zafałszowanych i w pewnym sensie nawet nierealnych (choć tak ciężących!), a z tego rodzaju ludźmi niczego na serio zrobić się nie da. Ale nie ma odwołów! Na kogo ich wymienić? Instytucja wyborów nie istnieje, więc kogo dobrać i skąd, Gierek nie mógł złożyć własnego zespołu nawet na szczycie, dano mu przyzwyczajenie i balast w osobie Jaroszewicza, o ruszeniu środków i dołów Gierek marzyć nie może i bardzo jestem ciekaw jak się z tym pogodził, jaką miał minę, gdy do tego logicznego skrzyżowania doszedł? Odwrotnie, to nie Gierek kadry średnie i dolne, ale one, te kadry, zredukowały od razu Gierka jeżeli nie o głowę, to przynajmniej w jednej trzeciej jego pierwotnego rozmachu (bo wciąż się trwa na ogół przy tym założeniu) i być może już teraz Gierek jest bez jednego czy bez obu ramion i mamy do czynienia, proszę to sobie przedstawić obrazowo, z Gierkiem niecałym, z Gierkiem kadłubowym, mimo tego, co się widzi w kronikach filmowych i na fotografii! Może cała jego rzeczywistość, w którą nas do połowy wciąga, jest tylko kadłubem — straszna to, ale chyba prawdy najbliższa ewentualność. Sytuacja jest taka.

Jakby tę strukturę nie wyobrazić czy w formie spiralnej budowli na kształt legendarnej wieży Babel, czy inaczej — kilkadziesiąt tysięcy ważnych miejsc obsadzonych przez zawodowych partyjniaków robi wrażenie dożywnych placówek. Cóż za nędza tej państwowej konstrukcji, jakaż niezdarność założenia — to tak jakby z jednego kawałka odlać samochód i liczyć, że będzie jechał bez katastrofy: tylko części zamienne stanowią o względnej trwałości samochodu i każdej innej maszyny, bez tego pierwsze uderzenie czyni z niej kupę szmelcu. Dla pojazdu zbudowanego bez części wymiennych rada jest jedna: bezruch! — a moja

metafora, przy całej jej niedokładności, dobrze to w końcu wyjaśnia, nieźle, mam wrażenie, ilustruje istotę państwowości takiej jak u nas, bo tylko bezruch daje temu państwu szanse pasywnego trwania, politycznej wegetacji, w czym mieści się cały ogrom konsekwencji o charakterze reakcyjnym. Państwo powstałe, rzekomo, z założeń nowoczesności socjalnej skazane jest na bezruch i na zaduch bijących od wewnątrz fermentów reakcji: aleście się, towarzysze, urządzili! Kto wie, czy nam, przedmiotom i skazanym na oportunizm buntownikom los bardziej nie poszczęścił, czy nam w życiu lepszej części nie przydzielono — niż tym na spiralnych wysokościach wieży Babel, winszującym sobie władzy i podmiotowości. Mamy przed oczyma obraz władzy w karykaturze pod każdym względem, nie tylko zaczeplonej na obcej kłamce, ale i w środku bez szans reformy, w sumie to nie do pozazdroszczenia i specjalista jakiś od historii politycznej, Makiawel jakiś, splunąłby temu obrazowi w gębę.

Sytuacja jest taka. Gierek machnął ręką na kulturę (niech się dzieje co chce, nie mam do tego głowy!), ale gdy próbował ruszyć gospodarkę i stosunki między społeczeństwem a reżymem, to się natknął na kadry, zagadnienie nie do rozwiązania. Tam w środku gra prawo, które tylko w tych hermetycznych warunkach odlewu z jednej sztuki są do pomyslenia: prawo szantażu. Jest w Polsce szereg mocarstw (w odpowiedniej skali) gospodarczych, są to te niby socjalistyczne trusty czy kartele, wielkie zakłady produkcyjne, gdzie załogi wraz z dyrektorami stanowią w pewnej mierze jednostki gospodarcze — teraz w stopniu większym, realniej niż przed Grudniem. W zespole na górze, który nie jest zespołem Gierka, a zespołem co najmniej trójdzielny i trojakim — żeby się w charakterystykę nie wdawać, co nigdy moją specjalnością nie było — w tym zespole są ludzie mogący w odpowiednim momencie zadysponować nastrojami jednej czy paru takich kolosalnych jak na Polskę jednostek, a o przyczynę śmiesznie łatwo, przecież wszystko się trzyma na nitce, wciąż deficyt między obietnicami a realizacjami jest ogromny i za dużo tu spraw na niby. Wywołać teraz strajk to żadna sztuka, mówią po cichu fachowcy i czytelnik zagraniczny też niech nie myśli o strajku przy pomocy wspomnień z czasów Bieruta czy Gomułki, strajk o wielkiej sile rozrzutu wszedł już tu do arsenału wypróbowanych środków, już się z tym wyobraźnia oswoiła. Z jedną poprawką: zawsze ten strajk będzie miał charakter polityczny, narodowy, a nie gospodarczo-społeczny, jest więc to instrument archaiczny, nieporadny i nie ma nic wspólnego z szybkim funkcjonalnym i racjonalnie ograniczonym strajkiem na Zachodzie, stosowanym jako forma argumentu między dwoma różnymi partnerami. U nas strajk to groźba ka-

tastrofy i dlatego stanowi narzędzie szantażu i dlatego, wtórna jego cecha, nie tak łatwo się zdecydować na jego uruchomienie — nie tak łatwo, bo koledzy z piętra najwyższego boją się jednak katastrofy, nie baliby się małej katastrofy wewnętrznej choćby kosztem obywateli, ale panicznie się boją katastrofy powodującej dobrosąsiedzką interwencję. To zmiotłoby nie tylko naród ale i strukturę ze wszystkimi dożywotnimi miejscami, więc sądzić można, że każdy z potencjalnych autorów strajku-katastrofy pięć razy pomyśli zanim się zdecyduje odpowiedni impuls wysłać w tę czy inną stronę, pamięć Gdańska i Szczecina jest jeszcze dość żywa — ale czy będzie jutro, pojutrze i czy można liczyć u tych ludzi na logikę, tego nikt nie wie.

Tak było w Grudniu — nie inaczej! Wybuch został sprowokowany w wyniku rozgrywki wewnątrz struktury, mniejsza z tym przez kogo, na tym się nie znamy, ważne i rewelacyjne dla naiwności naszej, dla rezurekcyjnej naiwnej podniosłości naszej jest to, że wybuch w Gdańsku i Szczecinie był sprowokowany. Proszę się pozbyć uczucia niesmaku i zawodu czy upokorzenia: to nic jego narodowej prawdzie i pełni nie ujmuje! Jakaś kanalia zapaliła lont nie wiedząc sama co czyni, a potem sprawa przeszła w polskie ręce, krew była prawdziwa, autentyczne ofiary, które oprawcy grzebali we Wrzeszczu po nocy, cały nadmiar tragedii był ściąć nasz, polski, wciąż żyjemy nadmiarem i wbrew prawom natury, w głowie się to nie mieści i nie mieści się w sercach, dlatego je mamy nieme, ściśnięte — z nadmiaru, w obcęgach kurczu i chyba tylko jedna myśl temu towarzyszy: że na to wszystko nie ma wyrazu. Chciałbym zapytać Gombrowicza, gdyby żył, gdyby się zgodził na takie krańcowe przedstawienie sprawy: czy jest na to Forma? Ale zdaje się, że on nie widział granic dla Formy i niemożliwości dla Formy, w tym był na zewnątrz od nas i w tym był od nas silniejszy, kłonię łeb siwy przed taką wiarą. Życiu naszemu brak warunków ekspresji i do tego można by sprowadzić absolutnie wszystko, co kiedykolwiek usiłowałem tu napisać.

DEMOKRACJA. Jeden taki szczęśliwiec zagraniczny, któremu nie tylko wolno głośno mówić, ale któremu wszyscy klaskają gdy usiłuje trafnie skrytykować strukturę własnego państwa, owego wehikułu o częściach zamiennych z rojem specjalistów czuwających nad wykryciem źle działających części — szczęśliwiec taki zauważył kiedyś: archaiczne mamy pojęcie o demokracji. Demokracja! — zawołał. Dobrze, ale pojęcie spenetrujmy na nowo, do licha, nadaje się bodaj do przewietrzenia. Istnieją kraje, gdzie ludzie tęsknią do najpierwotniejszego synonimu demokracji (wskazał Polskę), jednak nam to już nie wystarcza. Mówi się pier-

wiastkowo, że demokracja to garnitur „wolności”. Bardzo pięknie, ale to zaledwie minimum, coż nas zmusza, w epoce takiego *boomu* inteligencji, w czasach dodatkowego żywiołu jakim jest informatyka — do zadawania się jakimś staromodnym minimum! I buduje pożądaną, według niego, definicję demokracji: to znacznie więcej niż bukiety wolności, to inicjatywa. Zespolenie, wtłoczenie obywatela do siły twórczej kolektywu. To jest w końcu gwarancja dla każdego, że jego społeczeństwo jest w odpowiedniej części jego własnym dziełem czy też mogłoby nim być, gdyby chciał i zadał sobie trudu, a mówienie tylko o „wolnościach” jest niczym innym jak przyznawaniem się do ściśle defensywnej koncepcji demokracji podczas gdy tylko konstruktywna koncepcja może się liczyć!

Autorze z drugiej strony! Nawet jeżeli palcem nas wskazaleś, to wciąż nie masz najmniejszego wyobrażenia jak głęboko *defensywna* jest nasza demokracja, czy raczej nie ona sama (bo jej nie ma) ale marzenie o niej jak bardzo jest obronne, w najprostszym, bynajmniej nie filozoficznym znaczeniu tego wyrazu! Obyś nie pisał swoich prowokacyjnych słów, oby nie doszły one naszych uszu, bo spuścilibyśmy głowy jeszcze niżej — a jak nisko można je nosić?

JUTRO. = Nie hałasuj, nie płosz zwierzyny i nie zagłuszaj wołania o pomoc! = Jednak ten szyfr, choć niedostatecznie czytelny, a może właśnie dlatego — działa na wyobraźnię i temperatura podskakuje, co tu kryć, zwierzyną jesteśmy pewnie my, grupa marna statystycznie, osób kilkadziesiąt albo kilka tysięcy i można to wyprowadzić z pewnego podobieństwa w sposobie bycia: jeżąc uszy tkwimy w zwierzęcym milczeniu. Więc nie hałasować, nie ściągać biologicznej klęski na ten gatunek na wymarcie, bo kto wie czy w jego przetrwaniu nie kryje się niejaka nadzieja, bardzo teoretyczna na przykład możliwość przekazania postaw tych samych czy choćby podobnych, z czego się jeszcze to i owo (znów bardzo teoretycznie) może odrodzić. Za to wołanie o pomoc jest zwrotem całkiem niestosownym, szyfr pisały duchy górskie niezbyt w stosunkach zorientowane, bo żadnej pomocy znikąd nie oczekujemy, nie tylko politycznej czy dyplomatycznej — nonsens! — ale i tej pomocy wynikającej z głośnego formułowania idei, ze stanowiska ducha: idei i sformułowań dziś nie brak, nigdy tego tyle nie było, ale w świecie ogarniętym paniką postępu (słusznie on wywołuje panikę nawet u tych, którzy weń wierzą) te rzeczy się nie liczą, kompletnie zneutralizowane zostały wszelkie sformułowania ideowe, zdaje się że istnieją po to tylko żeby być, produkuje się je z nawyku poprzednich tysiącleci i nawet z większą zrecznością, ale

za to bez żadnego zastosowania. Nikogo nie może obchodzić samotność narodu a raczej znikomej części narodu, która pewnie już zaczyna tracić prawo do utożsamiania się z narodem, bo jakościowo coraz wyraźniej od niego odstaje. Czego jednak jako wyrazów bezdennej rozpaczy nie należy odczytywać, sam fakt pisanie tych i podobnych słów świadczy o nadziei, która przechowuje swoją moc esencjonalną nawet w najmniejszej dawce, tak jak kropla wody zawiera esencję oceanu — no i mamy poza tym ów szyfr: nie hałasować, nasłuchiwać się wzajemnie, gątku nie niszczyć! Może jutro coś nastąpi, coś się jutro na pewno zdarzy, bez względu na to jak rozumieć rozwlekłość tego terminu, pan Niedaj głową kręcąc i goląc mi brodę zaręczał i powtarzał sto razy, że absurd jak wrzód, jak owoc granatu wreszcie nabrzmiewa i pęka.

PELIKAN

ZESZYTY HISTORYCZNE

KWARTALNIKIEM

23 *Zeszyt Historyczny*, który ukazał się na początku lutego br. jest pierwszym, który ukazuje się jako kwartalnik. Następne *Zeszyty* ukazały się na początku maja, sierpnia i listopada br.

Zeszyty będą się ukazywały w dotychczasowej objętości tj. 240 stron każdy.

Zeszyty Historyczne będą w dalszym ciągu poświęcone zagadnieniom związanym z najnowszą historią Polski oraz — w miarę możliwości — historii krajów wschodnio-europejskich.

Liczymy na pomoc naszych Przyjaciół i Czytelników nie tylko w zdobywaniu nowych prenumeratorów, ale także w pracy redakcyjnej. Apelujemy przede wszystkim o nadsyłanie nam dokumentów, książek i ważniejszych wycinków dotyczących Polski i Europy Wschodniej. Pomoc naszych Czytelników krajowych może tu być najbardziej cenna.

Spodziewamy się również życzliwej pomocy i współpracy wszystkich historyków polskich i wschodnio-europejskich mieszkających stale lub przebywających przejściowo na Zachodzie.

Prenumerata roczna wynosi: — F. 80,00 (dol. 17,00; £.stg. 7.00).

Prenumerata ulgowa dla prenumeratorów KULTURY:
F. 70,00 (dol. 14,00; dol.A. 12,00; £.stg. 6.00).

Każdy kto zdobędzie nowego prenumeratora *Zeszytów* otrzyma bezpłatnie „Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego, które ukazały się w „Bibliotece Kultury” w lutym bież. roku.

Uskarżać się nie mogę...

ROZMOWA Z CZESKIM PISARZEM
LUDWIKIEM VACULIKIEM*

Czy niemożność publikowania w Czechosłowacji przynębia Pana i wpływa na jakość Pańskiej pracy? Czy ważna jest dla Pana możliwość publikowania na Zachodzie?

LUDWIK VACULIK: Literaturę tworzy się dla czytelników we własnym kraju. Jedyne czeski czytelnik może zdecydować, czy dane dzieło jest dobre zarówno ideowo, jak i literacko. Dobry przekład na język obcy jest zawsze tylko możliwie dokładną informacją o tym, co prawdopodobnie wyraża oryginał i jakie wzbudza uczucia; albo też jest to już dzieło raczej nowe, inne, ponieważ jeszcze lepszy tłumacz opracował je i stworzył z niego utwór literacki w swym własnym języku. A zatem dopóki jakaś moja książka nie ukaze się po czesku i w zasięgu języka czeskiego, nie będę właściwie wiedział, jaki uzyskała odbiór. Ewentualny sukces za granicą stanowi jedynie pociechę w smutku, a także skuteczną pomoc w biedzie której, z urzędowej strony, zresztą mi życzą.

A propos sukcesu! Użyłem tu mocnego słowa. Powiedzmy raczej: niejaki zainteresowanie. Mój szwajcarski wydawca, na przykład, powiadamia mnie nader przyjaźnie, iż kilka tysięcy sprzedanych egzemplarzy to już całkiem przyzwoity rezultat. A ja nie chcę odbierać mu radości z jego pracy i dlatego nie mówię, co sam o tym myślę.

Lecz handlowa strona tej sprawy nie jest w naszej sytuacji najważniejsza. Najważniejszy i najcenniejszy jest dla nas fakt, że

* *Die Zeit* Nr 3 z 12 stycznia 1973 roku.

możemy powiadomić o naszym istnieniu, o tym, że nie przepadliśmy w jakimś więzieniu, że nie zrezygnowaliśmy z pisania. I tym samym stwierdzamy właściwie, że stosunki są lepsze, niżby się niejeden mógł spodziewać. A znaczenie tej niezwykle systematycznej pracy naszych życzliwych obcych wydawców polega — w szerszym pojęciu — na tym, że czeski autor może, pomimo trudności, uczestniczyć w kształtowaniu świadomości ogólnoeuropejskiej. Zgodne to zapewne z nawoływaniem do bezpieczeństwa i współpracy w Europie.

Nieprzyjemne wydaje mi się jednak, gdy zagraniczni krytycy oceniają jakość czeskiej książki jedynie według jej „porachunków ze złudzeniami na temat socjalizmu” lub „ostrości” z jaką rozprawia się ona z obecnym naszym ustrojem. Wydaje mi się, że nieco bardziej kulturalny czytelnik na Zachodzie reagować musi na tę wschodnią pisaninę na temat ustrojów jak na wiekuiłą paplaninę na nieustannie ten sam temat, której wysłuchuje, nękany obowiązkiem współczucia. Temat musi wywodzić się skądinąd. Bliższy on jest istoty zasadniczych motywów ludzkich. Obejmuje dobre lub złe porywy psychiki, dotyczy popędów, lęku, radości wynikającej z ruchu i aktywności, dążeń do postawienia na swoim i tak dalej. Ustrój bowiem — prócz warunków geograficznych i historycznych — wynika przede wszystkim z natury człowieka: z jej plusów i minusów. Jeden ustrój potrafi pobudzać raczej dobre, korzystne strony w człowieku, inny budzi raczej jego cechy negatywne.

Na zagranicznym rynku książkowym w ogóle nie mogę polemizować z naszym obecnym ustrojem, wcale też tego nie chcę. Zwracam się sam do siebie z najbardziej usilną prośbą, abym zdołał skoncentrować się na czymś co piękne i trwałe, a więc co czytelnikowi w ogóle ustroju nie przypomina. Kto stale i wyłącznie musi pisać przeciwko rządowi, już przez to samo przyjął jego zakaz pisania o czymkolwiek innym.

Odczuwam także sprzeciw, gdy ktoś z zewnątrz uważa nas za ludzi szczególnie nieszczęśliwych. Nadal jeszcze przynależymy do Europy, mamy jeden z ustrojów europejskich, który obecnie nam przydzielono. Dowiedliśmy, że umiemy sobie wyobrazić inny ustrój, przejawiliśmy także wolę wprowadzenia go. Nie doceniliśmy jedynie pewnej określonej sytuacji, a przyjąć za to karę jest bardziej godne pochwały, niż obserwować nas z wygodnego dystansu.

Czy czuje się Pan odizolowany? Czy sądzi pan, że ludzie identyfikowaliby się z Pańskimi poglądami gdyby Pan mógł je ogłaszać? Czy często zwracają się do Pana ludzie na ulicy?

VACULIK: Nie czuję się odizolowany. Prywatnie ludzie nadal wyrażają mi sympatię, a czasem także i pomagają. Na przykład dentyści dokładniej świdrują mi teraz w zębach; gdy idę kupić gazetę, sprzedawcy ostrzegają mnie, że to wyrzucone pieniądze; instalator nie chciał przyjąć ode mnie napiwku... Gdyby wolno mi było drukować, jedni ludzie zgodziliby się ze mną, inni nie. Żadnemu autorowi nie może zależeć na akceptacji przez wszystkich czytelników. Wydaje mi się, że gdybym mógł pisać dla jakiejś gazety, zadanie moje polegałoby na odstraszeniu tych, którzy skłaniają się ku masowym psychozom. Na ulicy, prócz znajomych, nikt mnie nie zaczepia. A znajomi? Pytają mnie, jak mi się powodzi. Odpowiadam, że nie mogę się uskarżać. Nie wiedziałbym zresztą, wobec kogo.

W 2000 słów oskarżał Pan ustrój Novotnego o zniszczenie moralności publicznej. Czy dostrzega Pan pod tym względem różnicę pomiędzy tamtym a dzisiejszym rządem?

VACULIK: Uczulony stałem się na liczbę 2000. Wzdrygam się nawet, gdy ktoś mówi, że przejechał dwa tysiące kilometrów, a wzdrygnąłbym się także, gdyby mi listonosz przyniósł dwa tysiące koron. Nie wiem, jak mógłbym odpowiedzieć na Pańskie pytanie w sposób niezaskarżalny, a więc dajmy temu spokój.

Wydaje się, że nawet najodważniejsi oponenti obecnego ustroju usilnie dbają o nieprzekraczanie granic legalności. Lecz czyż sam ten ustrój w ciągu ostatnich lat nie przekraczał praw w sposób tak samowolny, iż zwątpić by można, czy samo pojęcie legalności posiada jeszcze jakąś obiektywną treść?

VACULIK: Po pierwsze nie należę do tych, których określił Pan jako najodważniejszych oponentów. Ale opowiadam się po stronie legalistów. I to nie dlatego, by legalność mego postępowania mogła mnie automatycznie ochronić od wszelkich przykrości, lecz dlatego, że muszę mieć — chcąc w ogóle myśleć i działać — jakąś podporę.

Podczas wszystkich przesłuchań, na które wzywano mnie to jako świadka, to jako oskarżonego — co zresztą od roku już się nie zdarzyło — urzędnicy prowadzący śledztwo wyjaśniali mi z naciskiem, że nikt nie jest ścigany z racji swoich przekonań, tylko z powodu uwłaczania prawu. A im doprawdy mogłem powiedzieć co myślę. Szczerze mówiąc była to w ciągu minionych lat jedyna oficjalna instytucja, gdzie miałem okazję wyrazić własne zdanie i gdzie nadal istnieje zainteresowanie dla moich przekonań. Odniosłem wrażenie, że ludzie ci sami z siebie i bez wy-

rażnego rozkazu nigdy nie uwłaczałoby prawu. Dzisiaj są to ludzie szkoleni w prawie, lub nawet wykształceni prawnicy, dla których wydarzenia z lat pięćdziesiątych są ostrzegawczym przykładem. Wypaczenia są obecnie typowe nie w więzieniach, lecz w spokojnym życiu obywateli na wolności. Dochodzi do nich na gruncie niepaństwowym, jedynie lokalnie lub w zakładach pracy. Dotyczą one stosunków w pracy, lub też dziedziny prywatnej, przy czym częstokroć trudno podciągnąć dany przypadek pod jakieś prawo. Ludzie — zależnie od własnej podłości — sami wzajemnie sobie takie krzywdy wyrządzają. Z reguły według modelu: możniejszy kopie słabszego.

Niesłusznie jest twierdzić, że nie ma żadnej obrony. Sam słyszałem w ubiegłym roku o dwóch wypadkach, kiedy wdanie się w spór prawniczy pomogło. I wydaje mi się, że jeśli ktoś dokładnie wie, że spotkało go jakieś bezprawie, ale boi się powołać na prawo, to przyłącza się sam do grona tych, co wyrządzili mu krzywdę.

Konkretnie chciałbym przytoczyć jeden tylko przypadek, w którym — moim zdaniem — organ państwowy — sąd — zawiodł, przeprasza: rozczarował mnie. Przyjaciel mój, Ludek Pachman, arcymistrz szachowy, został ubiegłej wiosny skazany, między innymi za podburzanie. Według oskarżenia był winny, ponieważ poczynił pewne wypowiedzi w prowadzonej po niemiecku rozmowie, przeznaczonej dla holenderskiego radia. Obrońca bronił go twierdząc, że według prawa czechosłowackiego nie jest możliwe podburzanie Holendrów, oskarżenie zaś nie podało dowodów, że ktokolwiek w Czechosłowacji słuchał tej audycji. Na zwróconą mu uwagę, że przy nagrywaniu obecni byli dwaj Czesi odparł, że nie znają oni niemieckiego, nie można ich więc było podburzyć, podobnie jak nie można podburzyć dziecka, albo chorego umysłowo, który nie pojmuje znaczenia słów. Obrońca powiedział to, ale było tak, jak gdyby był nic nie powiedział. Może zresztą popełnił jakiś błąd, tak iż sąd nie zrozumiał znaczenia jego słów.

Droga prawna może więc rozczarować obywatela, lecz nie oznacza to, iż prawo nie obowiązuje. Jestem przeświadczony, iż na szczytach naszego państwa toczy się walka o dokładne przestrzeganie praw. I wierzę w pozytywny rozwój naszych organów państwowych: Jeśli dojdą one do przekonania, że istnieje dzisiaj niesprawiedliwość i krzywda w dziedzinie polityki, moralności, a w końcu i gospodarki, wyciągną najsurowsze konsekwencje w stosunku do funkcjonariuszy, którzy — po dokładnym zbadaniu sprawy — okażą się winni.

Człowiek powinien zatem z ufnością odnosić się do praw. Nie powinien ich obchodzić, przeciwnie, powinien z nimi się

stykać, by zachowały swą żywotność i w końcu nie zmarniały. Oczywiście, może to być ryzykowne, zwłaszcza ze względu na to, że postępowanie człowieka bywa oceniane inaczej, niż jego zamiar. Gdy na przykład dowiedziałem się, że w Rużynie przez całą noc w celach pali się światło, gdy jeden z kolegów opowiedział mi, że tak tam marzył, iż przeziębził sobie nerki, a jego choroba płuc jeszcze się pogorszyła, a inny z moich przyjaciół przebywając przez wiele miesięcy w więzieniu śledczym nie mógł dostać paczki z domu, ani żonie nie wolno było go odwiedzić, byłem oburzony. Miałem ochotę natychmiast napisać petycję, by parlament zajął się sytuacją w więzieniu. Ale po zastanowieniu poniechałem tej myśli. W ciągu ostatnich trzech lat już dwa razy podpisywałem coś, co uważałem za petycję. Z powodu pierwszej toczy się przeciwko mnie jeszcze do dzisiaj dochodzenie, a z powodu drugiej wezwany zostałem na przesłuchanie, znowu zresztą bardzo przyzwoite i prowadzone na poziomie szanującym mój punkt widzenia. Ale któż gotów stale robić rzeczy normalne i dozwolone ze strachem? Czy można tego od ludzi oczekiwać?

Z pytań, jakie zadawał mi Pan niezależnie od tej rozmowy widzę, iż spodziewał się pan tutaj — wnioskując z małomówności ludzi — czegoś w rodzaju despotyzmu, a z drugiej strony brak Panu widocznego oporu. Ale to już przestarzały schemat. Jeśli nikt nie strajkuje, widocznie powody *pro* są słabsze od powodów *contra*. Był Pan tutaj, jak Pan wspomina, przed czterema laty. Może Pan więc potwierdzić moje słowa, że nie myślę się, jeśli mi się wydaje, iż pod względem materialnym życie przeciętnego obywatela stało się sytsze. A cóż dopiero na wsi, jakże tam każdy coś sobie buduje! Jakie są tego koszty psychiczne, to już inne pytanie. Kto nie odczuwa braku wolności słowa w sprawach politycznych, nie ma też powodu do konspiracyjnego działania. Intelktualiści, którym tej wolności brak, do tego się nie nadają. Wydaje mi się, że przy współczesnych środkach kontroli i nadzoru działalność nielegalna w sensie klasycznym jest niemożliwa i niesłuszną też rzeczą jest się jej spodziewać. To, co u nas jest, i co się praktykuje, to nielegalność pozorna, taka mianowicie, która polega na tym, że ludzie przez ostrożność i na podstawie złych doświadczeń potajemnie robią coś, co według prawa mogliby robić otwarcie.

Nie wiem, na przykład, w jaki sposób wywiezie Pan ten wywiad, o którego nieofensywność tak się staram. Jeżeli bowiem znajdą go u Pana, co niżsi referenci prędzej się na mnie rzucają, zanim wyżsi zdołają stwierdzić, o co tu chodzi. Właśnie mam pomysł, co uczynić: prześlę kopię do naszego prokuratora generalnego, żeby uwierzył mi, iż nie mam żadnych niecznych zamiarów i nie pragnę popełnić jakiegoś karalnego czynu.

Usiłuję sobie wyobrazić, o jakie sprzeczne z prawem działanie można by mnie pomówić, a także czego w istocie — nieświadomie i niechcący — mógłbym być winny: podburzania zgodnie z paragrafem 100 kodeksu karnego? Sprawdzę raz jeszcze, czy nie wzywam tu do czegoś niedozwolonego. Szkalowania republiki zgodnie z paragrafem 102? Przeczytam sobie raz jeszcze i prawdopodobnie skreślę to, co myślę o sędzi, działającym w sprawie Pachmana. Zdrady tajemnicy państwowej? Ależ ja nic nie wiem, zwłaszcza odkąd z porucznika rezerwy zostałem zdegradowany do szeregowca rezerwy. Czy też — paragraf 112: narażanie na szwank interesów republiki za granicą przez rozpowszechnianie nieprawdziwych wiadomości? Skreślę wszystko, czego nie wiem na pewno i czuwać będę nad tym, aby moje odpowiedzi nie miały charakteru informacji. Pojmuje Pan teraz, jak to trudno z Panem rozmawiać? A mianowicie także i wtedy, gdy organa państwowe ściśle trzymają się praw.

Legalność, w ściśle prawnym tego słowa znaczeniu, nie jest także i u nas pojęciem pozbawionym treści, nie dającym się zdefiniować. Tylko poleganie na niej nie uspokaja. Oczywiście istnieje legalność, na której można polegać, lecz przypomina mi ona pewną anegdotę: Jedna pani poszła do lekarza, pytając go o absolutnie niezawodny środek antykoncepcyjny. „Szkłanka czystej, zimnej wody”, odpowiedział lekarz. „Cudownie, panie doktorze. A wypić ją przedtem czy potem?” „Bynajmniej, proszę pani. Zamiast!” Tak mniej więcej odczuwam własną sytuację. Prawo uprawnia mnie do posiadania własnych przekonań. Ale w realnej sytuacji nie widzę nigdzie przestrzeni i czasu, ani nawet ograniczonej przestrzeni i ustalonych godzin gdzie i kiedy mógłbym te przekonania reprezentować. Prawdopodobnie nawet bym ich przestrzegął.

Nie wymagam niczego nadzwyczajnego. Nic nie ukradłem, nie podpaliłem niczyjej stodoły, nigdy nikogo nie zamorduję. Nawet nikogo z radia nie ofuknąłem. I dlatego nie chcę stale żyć jak żuk, który ze strachu przed tym, co się stać może, przestaje się poruszać i udaje nieżywego. Potrzeba mi legalności, umożliwiającej mi jakąkolwiek działalność tutaj, a nie w Szwajcarii lub w Borach (więzienie dla więźniów politycznych). Przez działalność rozumieć pisanie, a nie przetaczanie wagonów na dworcu towarowym. Przetokowego nikt zresztą nie zmusza do pisania.

Nie czekam na to, że zaoferują mi miejsce w redakcji jakiejś gazety. W pośpiechu nie wiedziałbym zresztą wcale, jaką spośród nich sobie wybrać. Ale — na przykład — czekam na to, żeby o książkach decydowano jak o książkach, a nie jak o rewolwerach: kto mianowicie może się nimi posługiwać, a kto nie. Cze-

kam na to, żeby plany wydawnicze ustalane były wreszcie według tradycyjnych kryteriów literackich przez twórców kultury, którzy sami chętnie czytają i cieszą się na nowe książki. Na razie odnoszę wrażenie, jakby o planach tych decydowali ludzie, którzy chętnie czytają jedynie powieści kryminalne, identyfikując się z występującymi w nich policjantami, a wszelkie inne książki przetrząsają burząc niechętnie: im tego mniej, tym bezpieczniej. W ten sposób utrzymują w kulturze czeskiej ciągle stan wyjątkowy.

Tak, wyjątkowy to stan w kulturze, jeśli z biografią pewnego określonego autora poczynać sobie można niczym z jego rejestrem karnym, a następne jego dzieło traktować jako nowe, rozmyślnie przestępstwo, któremu należy zapobiec.

Dlaczego Ivan Klima nie może opublikować nawet zbioru baśni dla dzieci?

Odrzucona została historyczna powieść Jirzigo Sotolasa „Kure na rozni”, napisana przepięknym językiem, absolutnie nie poruszająca spraw aktualnych, tak samo jak jego uprzednia książka, która jeszcze się ukazała, lecz zaraz potem została zabroniona i wycofana z bibliotek „Tovarystvo Ježisovo”, dzieło spokojne, mądre, bez żadnych cech współczesnej neurozy; wzniosłe, dzieło sztuki.

Alexandr Kliment, który pracując za pulpitem recepcyjnym hotelu „Praha” zarabia sobie na prawo pisania przynajmniej w czasie wolnym, nie może jednak wysłużyć sobie jednocześnie prawa aby to, co pisze, oceniane było wyłącznie jako literatura.

Pavel Kohout pokazywał mi niedawno grube stopy korespondencji, jaką wiedzie z rozmaitymi urzędami, utrudniającymi mu — jego zdaniem — życie, jako pisarzowi. Czytelnicy i widzowie teatralni mają przecież prawo do nowych jego prac, znanych dzisiaj jedynie wąskiemu kręgowi zaufanych.

Wymieniam tylko tych autorów, których miara już jest pełna, których kielich już rozbity. Mógłbym wymienić przynajmniej jeszcze ze dwudziestu, lecz nie chciałbym, aby i oni utracili swe kielichy, na równi z nami, którzy nawet wbrew woli naszych antagonistów zdecydowaliśmy się na podstawie pełnoprawnie zawartych umów publikować za granicą. Jednego z nich pragnę mimo wszystko wspomnieć. Chodzi mi o Jaroslava Seiferta, ludowego poetę, uhonorowanego nawet tytułem „artysty narodowego”. Akurat przed rokiem skończył on siedemdziesiąt lat. Ukazała się wówczas jego książka, nowe wydanie jego dawniejszych, dzisiaj klasycznych już wierszy. Lecz ostatni arkusz tej książki usunięto i wydrukowano na nowo: w impressum nie wolno było zamieścić, iż książka ta wydana została na siedemdziesięciolecie

poety. Nawet gratulując muszą urażać! Jedno upokorzenie po drugim! Jaroslav Seifert ma w końcu prawo do opublikowania nowego, właśnie ukończonego zbioru swoich wierszy „Morovy sloup”, dzieła, w którym wartość ludzkiego życia oceniona została z wyżyn znacznie, znacznie przerastających wszelkie ustroje, które ów stary człowiek przeżył. A lud ma naturalne prawo do tych wierszy. W tym wypadku ponadto prawo urzędowe, wynikające z tytułu, nadanego pisarzowi przez państwo.

Wczoraj spotkałem w Teatrze Narodowym pewnego znanego czeskiego pisarza. Zapytał mnie, jak mi się powodzi, odpowiedziałem, że nie mogę się uskarżać, pytając jego, jak jemu się wiedzie. Odparł, że na razie jeszcze jako tako, ale od nowego roku będzie chyba gorzej. Pracuje jako korektor w wydawnictwie, gdzie dawniej zajmował znaczne stanowisko. I oto właśnie dowiedział się, że od nowego roku nie będzie mógł wykonywać nawet i tej pracy. Poszedłem dalej, a gniew mój wzrastał z każdym krokiem. Szeroko świeci jesienne słońce, a ci oto rzucają się na człowieka jak wściekła sfora. Czyż chcą przedłużyć stan wyjątkowy jeszcze o rok?

Po tym spotkaniu zdecydowałem się odpowiedzieć na Pańskie pytania, choć początkowo, jak Panu wiadomo, nie dopatrywałem się w tym żadnych korzyści. Nawet korektorem nie wolno już być czeskiemu pisarzowi? Nawet korektorem?

Nie poprzestanę na tym. Niechże Pan zwróci uwagę na fakt, iż nie mówię o tym, co było przed laty, nie usiłuję bronić czyjejkolwiek przeszłości politycznej, nie chodzi mi też o Jaroslava Seiferta jako o przewodniczącego zlikwidowanego Związku Pisarzy. W polityce zdarzają się zwycięstwa lub klęski, a klęska, oczywiście i w polityce kulturalnej pociąga za sobą skutki. Lecz istnieje różnica pomiędzy polityką kulturalną a wyzuta z kultury zemstą. Na co liczą ci mściwcy? Że w końcu do tego przywyknemy? Dlaczego nie zrobią czegoś dobrego i nie powiedzą czegoś mądrego, skoro mają wyłączne prawo mówienia? Któż podziękuje im za tego rodzaju postępowanie i cóż po nich kiedyś zostanie? Kiedyś, gdy Jaroslav Seifert umrze, postawią mu kamień nagrobny. Może umieszczone zostanie na nim jedynie jego nazwisko, ale każdy będzie wiedział, kto to był. Natomiast gdy umrą ci, którzy dziś decydują o tym, czy Seifertowi wolno publikować, a narodowi czytać, nikt nie będzie wiedzieć, kim byli. Ja jednak, jeśli dożyję, wyrównam ową niesprawiedliwość i wykuję na ich nagrobkach dodatkowy komentarz. Albo też zrobi to ktoś inny.

Brzmi to może paradoksalnie, lecz i takie przykłady świadczą o tym, że prawa posiadają autorytet, że nawet jeśli nie są szanowane, to przynajmniej budzą lęk. Nikt mianowicie nie ośmiela

się osłaniać tego rodzaju poczyniń jednoznacznie sformułowanym prawem. Wszystko odbywa się jedynie na zasadzie służbowych rozkazów, wskazówek i poufnych wytycznych. Człowiek nie wie, czym w istocie jest omotany i gdzie powinien pójść, żeby się bronić. Najchętniej wzięłby kij do garści i utworzył sobie drogę. A dokąd? Do więzienia albo do domu wariatów, gdyż postępując tak, uwłaczałby prawu.

Czechosłowacja ma około piętnastu milionów mieszkańców. Tej wiosny obito mi się o uszy, że bank ma podobno listę około piętnastu osób, którym na przyszłość nie będzie, czy też nie będzie mógł wypłacać zagranicznych honorariów na tych samych warunkach i po tym samym kursie, co innym mieszkańcom. Dlatego też napisałem do banku list z prośbą o informację o tym nowym zarządzeniu. Odpowiedź dostałem wkrótce. Mieściła się ona na papierze z nagłówkiem „Živnostenka banka” i ozdobnym napisem: „założ. w 1868 r.”. Treść jednak zdumiała mnie, bank bowiem nie zrozumiał mojego pytania i odpowiadał mi na całkiem inny temat. Natychmiast napisałem ponownie, powtarzając moją prośbę w sposób możliwie najprostszy: proszę, aby mi wyraźnie powiedziano, czy zostaną mi wypłacone pieniądze, które mi przekażą. Odpowiedź z dnia 7 lipca 1972 rozpoczynała się zdaniem, które chyba od 1868 roku nigdy jeszcze nie wyszło z biur owego banku: „... niestety nie posiadamy żadnych dokumentów dla udzielenia żądanej przez Pana informacji”. Wyciągnąłem z tego wnioski, który Szwejk tak by sformułował: „Byłem widać — oczywiście — milionowym z kolei”. Skoro jestem wykluczony z kontaktu z bankami, muszę, rzecz jasna, postępować tak, jak mieszkaniec kraju, w którym nie ma nawet najmniejszego banku. Powiadomiłem więc moich wydawców, by przesyłali należne mi pieniądze przez kogoś, któremu tędy wypada droga. Mam tylko nadzieję, że to legalne.

Później dobiegły mnie słuchy, że ten dotychczasowy przepis został rzekomo zmodyfikowany niewielkim uzupełnieniem w tym sensie, iż minister finansów może ustalać wyjątki. Ale nie wierzę w to, bo kto takie rzeczy mówi, ukazuje ministra jako głuptasa. Minister wie przecież, że nie może przy pomocy drobnego uzupełnienia przepisu wykonawczego zmienić praw konstytucyjnych dla piętnastu osób w republice.

Ach, właśnie wpadłem na pewien pomysł! Pan może mi dopomóc. Niech się Pan postara o to, żebym otrzymał honorarium za tę rozmowę. Niezbyt wygórowane, powiedzmy: piętnaście franków. Dzięki temu zdołam się zorientować jak to ze mną jest. A rezultat przekażę Panu później na widokówce. Gdyby zaś te plotki miały się jednak okazać prawdą, wiem już, czego mogę się spodziewać na przyszłość: Przyjdę na dworzec... a urzędnik

w okienku powie mi, że zostałem wykluczony z normalnego transportu kolejowego i powinienem jechać na stopniach... jak Murzyn. Przepraszam: jak postać pewnego Murzyna z dawniejszej literatury amerykańskiej (Paragraf 198, dyskryminacja rasowa).

A jak Pan sądzi — co będzie dalej?

VACULIK: Sądzę, że musi iść ku lepszemu. Istnieją ludzie spodziewający się zmian wskutek silnego wpływu Ameryki, burzliwych wydarzeń w Azji lub jakiejś pięknej rezolucji w jednej ze stolic Europy. Inni z kolei wierzą w oczyszczające działanie bankructwa naszej gospodarki. Wszystko to możliwe, lecz moim zdaniem jest to jedynie wykręt, wywodzący się ze zmęczenia i niechęci do zastanowienia się nad własnym życiem, na wypadek gdyby wszystko zostać miało tak, jak jest. A jednak ta ostatnia możliwość, dla praktycznie i aktywnie nastawionego człowieka, jest najbardziej realnym wyjściem obiecującym powodzenie jeszcze za życia.

Niekiedy zwracają się do mnie ludzie, borykający się z moralnym problemem, iż działalność ich w pewnej określonej sytuacji mogłaby zostać oceniona jako „kolaboracja”. Twierdzą, iż określenie to, pochodzące z okresu okupacji niemieckiej, tym razem jest niestosowne. Decydujące są pobudki, a ponadto rezultat. Jeśli ktoś z racji swej funkcji chce i potrafi tak działać, by zaufanie ludzi na przyszłość rosło, jeśli udaje mu się zapobiegać krzywdom i niesprawiedliwościom i jeśli na swoim stanowisku, czy też w swoim zawodzie tworzy wartości, które wzbogacają społeczeństwo, to nie wiem, kto miałby prawo go oskarżać. Kto zaś korzysta ze specyficznych cech tego okresu, aby na niekorzyść niektórych, a ze szkodą dla wszystkich, robić karierę, ten jest zwyczajnym łajdakiem, bez jakiegokolwiek oceny politycznej. Tak dzikie stosunki w końcu u nas nie panują, żeby nikt nie mógł dokonać wyboru czy chce stać się łajdakiem, czy nie. Przeżywamy męczarnie nie wskutek rozpalonego żelaza, lecz wskutek zimnej mamony. I nie wiem, czy najczęściej sprawa nie polega raczej na samoudręczeniu.

Ludzie chcą w spokoju pracować, osiągając z tej pracy radość i pożytek. Skoro zaś jest już tak, jak jest, muszą się jakoś urządzać, tak jak gdzieś indziej musieliby nastawić się na życie w skalnych pieczarach. Jeśli przydzielą mi tylko jeden pokój na mieszkanie, to tam przynajmniej pozamiatam, pootwieram okna, upiększę jakoś to pomieszczenie. Nawet mój przyjaciel Pachman przestrzegał tej zasady, także i w więzieniu. Brzydził się tak

zwanym „tureckim parkietem” — dziurą w podłodze, nad którą trzeba kucnąć. Kładł nad ową dziurę odwrócone bokiem krzesło, a gdy zdołał jeszcze uprosić swego towarzysza celi, by się odwrócił, srał jak Europejczyk. Czyż to na przykład była „kolaboracja”?

Od czasów mej młodości przypuszczałem, iż świat ulepszyć będzie można w ten sposób, że lepsi, tj. bardziej wykształceni, szlachetniejsi, mniej egoistyczni ludzie, i tak dalej, połączą się i spowodują przewrót. Było to naiwne. Przypatrując się bliżej historii i mając czas na rozmyślenia doszedłem do wniosku, iż świat ulepsza się w tej mierze, w jakiej ulepszają się na nim ludzie gorsi. Przy bezpośrednim zderzeniu ci „lepsi” bywali zawsze zdziesiątkowani, górą zaś byli ci inni, bardziej nadający się do rządzenia; nazywajmy ich odtąd już nie „gorszymi”, co budzi w nich gniew, lecz nazywajmy ich zgodnie z prawdą „silniejszymi”, co nawet lubią słyszeć.

A zresztą — skoro już mówimy o władzy i zdolnościach do jej zdobywania: któż właściwie jest naprawdę „lepszy”? Prawdą, że świat — biorąc pod uwagę potrzeby — jedynie bardzo powoli udoskonala się pod tym względem, lecz jeśli już, to tym pewniej. W dawnej Austrii też się przecież stopniowo — po nieudanej rewolucji 1848 roku — sporo polepszyło. A czy słynne narodowe odrodzenie czeskie w drugiej połowie minionego stulecia nie jest właściwie dziełem porewolucyjnej czeskiej reakcji? Zwycięzca nie wychodzi ze zwycięstw nieodmieniony!

Gdyby to, co teraz mówię, zostało opublikowane tu w kraju, wydałoby mi się, że stanowiłoby początek odstraszenia czytelników. Uważam jednak za nonsens działać przeciwko rządowi jedynie dlatego, że nie podobają mi się ludzie, którzy w nim siedzą. Przeciwnie, mam powody życzyć im, żeby się wreszcie, u diabła, poczuli dobrze na swoim miejscu. Dopóki jeden czuje się tam niepewny względem drugiego, płacić za ową niepewność mogą tylko ja. Jeśli ktoś natomiast mocno osiadł na swym urzędzie, może w końcu pomyśleć o własnej pracy. Stwierdzi wówczas, że nie takie to proste: będzie musiał przyciągać do niej ludzi według ich zdolności, będzie też chciał osiągnąć parę pozytywnych rezultatów, będzie chciał być szanowany i uznawany z racji tej pracy.

Uważam za słuszne nie rezygnować z krytyki, nie godzić się niepotrzebnie ze wszystkim, ale być również gotowym do pozytywnych reakcji na impulsy pozytywne. Nie przekształcać się wewnętrznie w nicość, lecz zachować własne zdolności i chęć wykorzystania ich dla współpracy.

Oczekuję zatem polepszenia głównie ze strony rządu i ludzi stojących u władzy. Oni i ich sprzymierzeńcy, ich tak zwane Młó-

de Kadry stworzą lepsze warunki, ponieważ sami będą ich potrzebować z chwilą, gdy w pracy swojej natkną się na bardziej subtelne zadania. Kto pracuje, musi przecież posługiwać się mózgiem. A mózg jest stary, przyjmuje wszelką naukę, lecz nieodmiennie jest też — rewizjonistą. Przepraszam: — rewizorem.

Rozmowę prowadził *Friedrich RENTSCH*

(Z upoważnienia *Friedricha Rentscha* tłumaczył *Witold Wirpsza*)

JADWIGA JURKSZUS i ADAM TOMASZEWSKY,
AUTORZY KSIĄŻKI „TORONTO, TRONTO, TRANA”,
ogłaszają przedpłatę na tom reportaży

I TO JEST MEKSYK

Tekst — około 300 stron, wkładka fotograficzna.

Cena książki w przedpłacie \$ 6,00 lub £ 2.50 lub równowartość
w innej walucie.

Wpłaty będą potwierdzone w prasie a nazwiska przedpłacicieli
zamieszczone w książce.

Zamówienia prosimy przysyłać na adres autorów lub
do Oficyny Poetów:

A. Tomaszewski, 5, Ridout St., Apt. A, Toronto 154,
Ont., Canada.
Poets' and Painters' Press, 146, Bridge Arch, Sutton
Walk, London, S.E.1. 8 XU, Great Britain.

ROBOTNIK

Organ Polskiej Partii Socjalistycznej — kwartalnik.
Omawia zagadnienia polskiego ruchu robotniczego.
Wychodzi lat 79 z czego 55 lat na uchodźctwie
ale zawsze dla kraju.

Prenumeratę zamawiać można w administracji:
84, Fordhook Ave., London, W.5., England.

List Otwarty do Związku Literatów Polskich

Z zimnym wyrachowaniem, Szanowni Koledzy, zostałem zmuszony do osiedlenia się na stałe w Europie Zachodniej. Chciałbym to uściślić: nie powiadam, że robię to z własnej woli; ani też, że zmuszonym się widzę; powiadam, że zmuszony *zostałem*. A znaczy to, że przymus ten nie jest przymusem wewnętrznym, ale że został mi narzucony z zewnątrz.

25 czerwca tego roku wszczęto przeciwko mnie w prasie polskiej nagonkę i w czasie, kiedy posiadałem jeszcze ważny paszport polski, obrzucono mnie wyzwiskami jako „byłego 'Polaka' ” i „byłego polskiego literata” oraz za pomocą spreparowanych cytatów zrobiono na mnie donos, jakobym w polakożerstwie przewyższył nawet gestapo. Zasugerowano więc, że Polakiem nigdy nie byłem, lecz że z ciemnych być może motywów nosiłem maskę Polaka od czasu narodzin po dzień dzisiejszy; przy okazji okłamano także polską opinię publiczną, jakobym w drodze formalno-prawnej rzekł się obywatelstwa polskiego: napastnicy wiedzieli w chwili napaści bardzo dobrze, że tak nie jest.

Zewnętrzną przyczynę tych napaści stanowiła wydana przeze mnie w Szwajcarii książka „Polaku, kim jesteś?”, gdzie w sposób bardzo osobisty usiłowałem dojść, co to znaczy być Polakiem w obliczu polskiej historii politycznej i duchowej tudzież we współczesności. Skorzystałem przy tym z dobrego prawa pisarza, aby swemu narodowi nie schlebiać: nie istnieje bowiem żaden naród, któremu należałoby schlebiać, ani też taki, jaki należałoby potępić. Ale, jako się rzekło, książka moja stanowiła jedynie zewnętrzny powód do napaści, na domiar w takiej właśnie formie. Jest dziś rzeczą dla mnie jednoznaczną, że nie tylko o mnie chodziło; ukazanie się mojej książki było paszkwilantom jedynie

na rękę, aby dać wyraz swej nienawiści wobec wszystkich samodzielnie myślących, w czym, przynaję, mają niejaką wprawę.

W jesieni 1968 roku, kiedy to trącające antysemityzmem procesy przeciwko studentom polskim dobiegły końca i kiedy już ogłoszono wyroki, ukazało się i moje nazwisko pośród nazwisk, które przyczyniły Polsce chwały; wymienione zostało w pewnym artykule*, napisanym przez oficera policji politycznej i zamieszczonym w organie Zrzeszenia Prawników Polskich *Prawo i Życie*. Zarzut brzmiał: nie studentów należało ukarać, lecz deprawatorów młodzieży; od dawna to znany zarzut. Wspominam o tym, co się stało przed czterema laty, gdyż pragnę wykazać, że nie pierwsza to napaść na mnie i że nie tylko mnie ona dotyczy. Stylistyka była podówczas ta sama, co i dziś; w listopadzie 1968 roku można było przeczytać: „polscy (?)” — ze znakiem zapytania w nawiasie — „pisarze”. Znamienne, że nową nagonkę przeciwko mnie wszczęło to samo pismo: organ Zrzeszenia Prawników Polskich, będący właściwie organem frakcji policyjnej, działającej wewnątrz partii i inspirowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w sprawach, dotyczących życia intelektualnego. Później dopiero inni pismacy nabrali odwagi.

Zelżono mnie, a znaczy to w istniejących okolicznościach: w sposób wedle przepisów polskiego prawa karnego karalny zarzucono mi rzekome popełnienie czynów karalnych, jak to: znieważanie narodu polskiego, uprawianie hitlerowskiej propagandy, beczczenie mowy polskiej. Okoliczności zaś są nadto takie, że przeciwko popełnionym wobec mnie czynom karalnym nie mogę się w Polsce bronić: żadne pismo i żaden cenzor nie odważyliby się na druk mojej repliki, żaden prokurator ani żaden sędzia nie dopuściliby mojej skargi. Przywileje policyjnego organu prawniczego i jego naśladowców stoją ponad prawem.

Polska placówka konsularna odrzuciła stanowczo moje podanie o przedłużenie ważności paszportu, powołując się na „właściwe władze”. Tak osiągnięto upragniony cel: miałem być wyłączonej z polskiego życia kulturalnego. Decyzja ta wszelako jest i niedorzeczna, i śmieszna. Jest niedorzeczna, ponieważ ani policjant, ani faraon nie mogą stanowić o tym, jakie wartości przetrwają w kulturze narodowej; i jest przy tym bez znaczenia, czy powstają one w kraju, czy za granicą. Jest śmieszna, ponieważ o mojej nieobecności pisarskiej w Polsce zdecydowano już przed laty: od roku 1966 nie zezwalano mi na zawarcie umowy wydawniczej na moje utwory oryginalne; postanowili tak głupi politycy, tchórzliwi zaś lub bezsilni wydawcy dawali im posłuch, jakkolwiek jedni jak i drudzy znali rangę mego pisarstwa, tak,

* Chodzi o artykuł Ryszarda Gontarza pt. „Milcz albo kłam”.

jak i ja sobie z niej zdaję sprawę. Jestem wraz z moimi pozostającymi w maszynopisie utworami tak czy owak w Polsce literacko nieobecny; cynicznie wydany na mnie wyrok banicji utwierdza tylko istniejący stan rzeczy.

Wiem, że Związek Literatów Polskich w mojej sprawie nic uczynić nie może, tak jak i przedtem nic w sprawie zelżonych pisarzy polskich uczynić nie mógł. Byłoby rzeczą nierealną, Szanowni Koledzy, żądać tego od Was. Los albo przypadek tak wszelako zrządził, że mogę się bronić na obczyźnie, i więcej jeszcze: mogę bronić mych przyjaciół, którym nie wydaje się książek, których rozmowy prywatne są podsłuchiwane, a mieszkania rewidowane, których listy są otwierane i czytane, których bez ustanku śledzi surowe oko faraona i policjanta.

Mimo wszystko optymizm mnie nie opuszcza; niechętnie używam słów „zawsze” i „nigdy”. Nie żegnam się z mym krajem, wycofuję się jedynie w obliczu faraona i policjanta.

Berlin Zachodni, w listopadzie 1972 roku

Witold WIRPSZA

“POLONIA”

KSIEGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Wiersze

Witold WIRPSZA

DAWNE, BARDZO DAWNE

Wielki władca kłamie w więzieniu,
 Wielka dusza kłamie w więzieniu.
 To bardzo dawna prawda.
 W więzieniu oddech jest nieczysty,
 W więzieniu ciało jest nieczyste,
 W więzieniu myśli są nieczyste.
 To bardzo dawna prawda.
 W więzieniu duch nieczysty kłamie,
 W więzieniu krew nieczysta kłamie,
 W więzieniu wielka dusza kłamie,
 W więzieniu kłamie wielki władca.
 Więzienie samo nie kłamie.
 To dawne, bardzo dawne.

Warszawa, latem 1968

POCZĄTEK ROKU (1970)

Wiadomo mi z komunikatów meteorologicznych,
 Z obserwacji aury i reakcji własnego ciała,
 Że zmiany ciśnienia atmosferycznego, temperatur
 (W ciągu tygodnia o czterdzieści stopni),
 Nagłe przejścia od zadymki do odwilży,
 Od senności do podniecenia, od mgły do

Przejrzystości, od miłości do nienawiści, od
 Lekarstw uspakajających do alkoholu: że to
 Wszystko jest na dłuższą metę nie do
 Wyrzyczenia; nie jestem w stanie uporządkować
 Mego życia. A nadto nie przystaje to do
 Niczego, nie jest żadnym symbolem albo przenośnią
 Wydarzeń psychologicznych, politycznych itd.
 Ten rok zaczyna się pustką, zamętem i
 Jest klimatycznie nieprzejrzysty. Ciekawe, co z tego
 Wyniknie, jeśli w ogóle istnieje zasada wynikania.
 Lekarze mówią, że klimat niszczy człowieka.

Warszawa, styczeń 1970

LATO 1970

Cezura z mgnienia rozwleczona
 Na trzy miesiące i oto już jesień, śnią się
 Siwe konie w śniegu, wszystko mający.
 Pod koniec sierpnia osłabła podobno epidemia cholery
 Nad Morzem Czarnym i u dolnego biegu Wołgi,
 Przedtem Dunaj wylał, dziwna zaś działalność
 Dziarskich dyplomatów wprawia w zachwyt,
 Zdumienie i trwogę: zależy kogo. Iluż
 Głupców. I komu śni się Święte Przymierze,
 Odrodzone w brudnych blaskach burzowca.
 Cezura rozwleczona, bo karty do gry
 Rozwleczone i rozwałęśane po wszystkich stołach,
 Zakryte i odkryte, stąd zamiecie
 U siwych koni i konie skazane na śnieg.
 To dławi. To milczy; mający. Mający,
 Co milczy zdławione. Te małe kraje:
 Polska, Węgry, Czechy, Słowacja, a niech je
 Cholera weźmie, skazane na śnieg,
 Ich ludność przeistacza się w porywaczy samolotów,
 W skłamanie anioły; poniewierka gniewu.
 I kto z kart ułoży sobie kartę i siwe
 Konie zaprzęże i weźmie bank, i zbankrutuje.

To lato parne i jakby garnek wtlóczono na łeb:
 —: Ciemno mi, duszno mi i spać mi się chce.

Berlin, sierpień 1970

Witold WIRPSZA

Stanisław WYGODZKI

15

Cieniom M. Cwietajewoj

*Dałem ci sznur na drogę,
starczyłby zwykły zwój drutu
do walizki ze zdartym rogiem,
z paltem i parą butów.*

*Dałem ci kawał sznura
na tę pośpieszną podróż,
na ewakuację ponurą —
pamiętkę nieszczodną.*

*Chciałem ci pomóc i teraz
wiem, zawistaś na sznurze.
I myślę z rozpaczą nieraz —
bez niego cierpiątałyś dłużej.*

17

*Te lekcje bólu, te lekcje losu —
sień lodowata, szerniały ganek,
nieschnące, w wichrze rozwiane włosy
i ten od domu daleko, ranek.*

*I te buciska, kubrak zajęczy
z szafy wydarty śpiesznie, od proga.
Drzwi niedomknięte bez granic jęczą,
śnieg wali oknem wprost na podłogę.*

*Drogi zimowe pośród zamieci
(gdzieś pozostały smutne aleje),
i gdy przestworzem huragan leci
zda się, że nigdy już nie zadnieje.*

*I w zawierusze strażę powoli
wiodą na linach zdyszane sfory,
jakby to jeszcze mogło zabołec
we mgle przedrannej i późnym wieczorem.*

24

*Mój cień na przesłuchanie włoką
A. Achmatowa*

*Mój cień na przesłuchanie włoką —
łysa czaszka, ryza bródka.
Smętne światło, smętny pokój
nocną porą wicher utkał.*

*A on milczy, czeka, czeka,
w jego dłoni sprawne pióro.
A za murem w lodach rzeka,
a nad rzeką ciemna chmura.*

*Jeden łokieć wsparł na stole —
czaszka, bródka, pióro, arkusz.
Śnieg na czaszce, mróz na czole,
zamiast źrenic z lodu szparka.*

*Milcząc czyta tom za tomem,
w oknie księżyc krążył wilczkiem
i świt wtrącał mnie do domu
gdzie śnieg padał milczkiem, milczkiem.*

25

*Drzewa, trawy mej tęsknoty
archangielskiej.
Garście piachu, grudy błota,
suche zielska.*

*Sople lodu, lustra wody,
garście soli.
Wyprawiali w noc podwodę
powoli.*

*Odprawiali, bez przepustki,
na Hajnówkę.
Górą, niebem, pośród pustki
księżyc-sówka.*

*Dłoń tężeje, żadnych wspomnień,
byleń dalej.
W Białowieży śniegu płomień
szron osmałił.*

*Byleń dalej, liczę, liczę,
na nic mapa.*

*I rozwiewa mroźny styczeń
wichru zapach.*

*On podporą strasznej drogi
spod Workuty.*

*Kubrak ściągną, zedrą z nogi
mokre buty.*

*Koń się zdyszał, mroźno, ciemno,
nie ma brzegu.*

*Nie płacz nade mną, nie klęcz nade mną
na śniegu.*

Stanisław WYGODZKI

Konfrontacje i zblżenia

Na prośbę z kraju (wyrażoną w dopisku do artykułu „Obowiązki”) wprowadzamy nowy dział KONFRONTACJE I ZBLIŻENIA. Będzie to jak gdyby publiczna rozmowa, w której każdemu głosowi z kraju towarzyszyć będą (na pokrewny temat) głosy Polaków przebywających za granicą. (Redakcja).

Obowiązki

Mamy, po marcu 1968 i grudniu 1970, poczucie niewątpliwego przełomu w dziejach polskiej myśli powojennej, a co za tym idzie — w sytuacji intelektualisty. Przełom ten określiłbym tak: ludzie konsekwentnie i logicznie myślący utracili ostatnie punkty oparcia w obrębie najszerzej rozumianej oficjalnej doktryny socjalistycznej (w wersji socjalizmu propagowanego i realizowanego w Polsce po 1945 roku). Dlatego dziś, każdy kto pragnie myśleć prawdziwie, bez względu na to czy przychyli się do socjalizmu, do liberalizmu czy do jakiegokolwiek innej doktryny, musi konstruować swoje wywody nawet już nie wbrew ale poza obrębem oficjalnej doktryny socjalistycznej. Innymi słowy: twórcza myśl społeczna nie może ani pozytywnie („rewizjoniści”) ani czysto negatywnie przyjmować doktryny oficjalnej za punkt wyjścia. Myślę, że do 1968 roku były jeszcze możliwe dwie inne postawy.

Pierwsza brała się z przekonania o możliwościach regeneracji doktryny oficjalnej i wyrażała się w uporczywym wydobywaniu wszystkich wewnętrznych sprzeczności, niedoskonałości i drobnych nawet jej potknięć. Walka z narzuconą doktryną przybierała postać wypominania jej głosicielom, że kalają istotę socjalistycznej ideologii, że zatem dla własnych brudnych celów niszczą możliwość zbudowania zdrowego społeczeństwa i moralnie systemu w oparciu o tę samą tylko mądrzej i właściwiej rozumianą

postawę ideową. Walkę tę prowadzili tzw. „rewizjoniści” — ale termin ten jest wieloznaczny i mylący.

Kiedy przekonano się jak bardzo jałową była ta postawa, wielu skłonnych było odmawiać jej reprezentantom wszelkich zasług. Niestety. Czym innym jest usprawiedliwione na pewno przekonanie, że po tej „wewnętrznej kontroli” nie należy sobie dziś niczego obiecywać a czym innym rozumienie jej historycznej doniosłości. Może wbrew jej głosicielom ta wewnętrzna krytyka odegrała decydującą rolę umożliwiając osiągnięcie dzisiejszej jasności, której uzyskanie inną drogą byłoby w Polsce niemożliwe. „Rewizjoniści”, niektórzy o świętych umysłach, zmusili oficjalną doktrynę do stanowczego odjęcia się od nich, a tym samym do rezygnacji z jakże cennej i wysokowartościowej pomocy intelektualnej. Oznajmiono w ten sposób, że doktryna nie potrzebuje żadnych świeżych soków, a w razie potrzeby gotowa jest sięgnąć po prymitywne intelektualnie, ale zawsze społecznie prężne wątki ideologii nacjonalistycznej. Stanowcza odmowa poddania się zabiegom renowacyjnym wzmocniona jeszcze agitacją nacjonalistyczną doprowadziła wiele umysłów z kręgu wewnętrznej krytyki do decyzji, na którą w innym razie byłoby znacznie trudniej się im zdobyć, a mianowicie do decyzji ostatecznego oddzielenia dorobku myśli oficjalnej od tradycji myśli socjalistycznej, do stwierdzenia: czym innym są podstawy myśli socjalistycznej a czymś zasadniczo im obcym teoria i praktyka uprawiana w Polsce lat powojennych. Był to krok niezbędny i ważny. Bo chociaż tęże opinie głosili ideologowie antykomunizmu od lat, to znacznie większe społeczne i intelektualne znaczenie miał fakt, że do takiego przeświadczenia doszli ludzie przez długi czas oddani oficjalnej doktrynie.

Dlatego właśnie marzec 1968 miał tak doniosłe znaczenie dla przemian polskiej świadomości politycznej. Zapewne i bez niego wewnętrzni krytycy doszliby do punktu rozstania z oficjalną doktryną, punktu nieuchronnego — ale nie stałoby się to w sposób równie dramatyczny, równie widoczny ani równie ostateczny. Natychmiast jednak po tym ostatecznym zerwaniu okazało się, że myśl „rewizjonistów” nie ma dalszego ciągu. Musiało tak być, skoro źródłem błyskotliwości tej refleksji był ściśły związek z doktryną oficjalną, ta negatywno-pozytywna odskocznia, żar wzniesany przez namiętne spory ludzi myślących z funkcjonariuszami oficjalnej doktryny. To, co na początku było nieporozumieniem, prostym nieporozumieniem intelektualnym nie przestało być do końca. Droga każdego z tych myślących może być jeszcze bogata i twórcza ale spór ideologiczny z oficjalną doktryną — ten szeroko rozumiany „rewizjonizm” — swoją rolę historyczną odegrał już do końca.

Drugą postawę możliwą przed 1968 i 1970 rokiem, postawę także ściśle zazębnioną o oficjalną doktrynę, możemy — znów nie bez uproszczenia — nazwać postawą antykomunistyczną. Nie myślę tu o antykomunizmie jako fragmencie poglądu na rzeczy-

wistość społeczną. Myślę o antykomunizmie jako o całościowej postawie światopoglądowej, osi pracy umysłowej, jako o gruncie, na którym wznoszone są budowle rozumu. Historyczna rola takiego antykomunizmu została spełniona poprzez wstępne udowodnienie ogromu zła i nieszczęść jakie przyniosły rządy komunistyczne, udowodnienie, że nie ma żadnych możliwości poprawy istniejących systemów, że pozostaje tylko je potępić. Była to postawa czysto negatywna, również postawa kontrolerów socjalizmu — tym razem od zewnątrz. Jej ograniczenia są oczywiste, ale znowu warto pamiętać o jej zasługach w walce z powszechną wśród intelektualistów fascynacją totalitaryzmem. Warto też pamiętać, że jej istnienie było związane z występowaniem głosu krytyki wewnętrznej. O ile bowiem skostniała doktryna oficjalna po 56 roku przestała być intelektualnie wartościowa, a więc groźna, o tyle myśl „rewizjonistów” musiała wydawać się antykomunistom groźnym kandydatem na miejsce doktryny panującej.

Tak rozumiany, czysto destrukcyjny antykomunizm stał się dzisiaj jałowy bowiem osiągnął już swój cel — upowszechnienie przeświadczenia o niesłuszności i społecznej szkodliwości oficjalnej doktryny socjalistycznej. Nie znaczy to, by nie należało dalej badać historii i rzeczywistości krajów socjalistycznych aby skutecznie wykrywać wszelkie próby przemycenia totalitaryzmu pod humanistycznym nazewnictwem. A jednak zbędne, bo nietwórcze, są dzisiaj wysiłki zmierzające do celu wyłącznie negatywnego: podważenia wiary w komunistyczną propagandę, zrozumienia rzeczywistości krajów socjalistycznych i komunistycznych jako nieuniknionej konsekwencji stosowania doktryny o dyktaturze proletariatu. Po grudniu 1970 i po okresie pierwszych pogromniowych nadziei szybko stosunkowo przeniknęło do świadomości potocznej przekonanie, że bez względu na takie czy inne próby uzdrowienia systemu źródła jego fałszu sięgają podstaw doktryny

Dokonując następnego uproszczenia możemy powiedzieć, że przed omawianym przełomem większość poważnie myślących intelektualistów (bo tylko o takich tutaj mowa) należała do jednej z dwu wymienionych orientacji. Nie wszyscy dawali na piśmie wyraz swoim przekonaniom — antykomuniści mieli zresztą znacznie trudniejszą sytuację, chociaż udawało im się trochę powiedzieć nawet w krajowych wydawnictwach. W tym więc okresie intelektualista spełniał swoje podstawowe obowiązki poprzez twórczy wysiłek wzbogacenia zasobów myślowych danej orientacji. Ważne staje się dzisiaj określenie obowiązków, jakie stoją przed człowiekiem pragnącym myśleć odpowiedzialnie a świadomym zarówno rozkładu „rewizjonistycznego” jak anachoryzmu „antykomunistycznego” sposobu myślenia.

Możemy powiedzieć, że dzięki osiągnięciom omówionych orientacji człowiek podejmujący dziś trud wyrobienia sobie poglądu na to, co należy czynić i jakie myślenie jest społecznie twórcze, znajduje się w znacznie lepszej sytuacji niż przed kilkunastu laty, po 56 roku, kiedy panowały powszechnie straszliwe niepo-

rozumienia ideowe. Stworzono więc zespół przekonań powszechnie niemal akceptowanych, które pozwalają postąpić naprzód zamiast spierać się z oficjalną ideologią. Można, nie ryzykując posądzenia o ślepotę, rozumować tak jakby oficjalna ortodoksja po prostu przestała istnieć. Bo też nie istnieje już ona w intelektualnym znaczeniu tego słowa. Można, ani nie pokładać w niej nadziei, ani nie żywić do niej nienawiści. Dziś już nikt chcący zachować minimum przyzwoitości intelektualnej nie powie TAK, zaś NIE trzeba mówić wszystkim społecznie i moralnie godnym potępienia faktom, ale nie ma potrzeby mówić tego ideowej próżni.

Możemy zatem wyruszyć w odmiennym kierunku. Nie zwlekajmy, bo posiadamy klarowny punkt wyjścia. Ponieważ jednak nasz „pytający się o swoje obowiązki” znajduje się w korzystniejszej sytuacji, ciężar na nim poważniejsze zadania. Ślad, którym miałyby podążać nie jest jeszcze przetarty i od jego decyzji będzie zależało jakie kierunki wytyczone będą polskiej myśli niepodległej. Nie ma możliwości uniknięcia współdecydowania o losach własnego społeczeństwa i unikanie zajęcia stanowiska jest dlatego intelektualnie fałszywe a społecznie szkodliwe. Naczelnym więc — dla mnie — i pierwszym obowiązkiem intelektualisty wobec przełomu jaki nastąpił, jest uporczywe poszukiwanie elementów własnej myśli pozytywnej. Jest twórcza refleksja formująca demokratyczny światopogląd i demokratyczną świadomość polityczną dla przyszłej Polski.

Obowiązek ten można uważać za w znacznym stopniu formalny, ale nie jest tak, bo jakże niewielu polskich intelektualistów zdaje się go rozumieć. Nawet ludzie poważni wolą pozostać na zasadniczym ale prymitywnym antykomunizmie oraz na uczciwej pracy w swojej dziedzinie. To było stanowisko obronne — dziś chodzi o pozytywne kształtowanie powszechnej świadomości społecznej i ten kto nie posłucha wezwania — sam siebie usunie na boczny i ślepy tor.

Obowiązek ten polega merytorycznie na zorganizowaniu pracy umysłowej wokół dwóch tematów: 1) jakie są warunki, możliwości i zasady działania demokratycznych organizmów społecznych; 2) jakie są warunki sprzyjające powstawaniu i rozwojowi myśli niepodległej. Refleksja skupiona wokół obu tematów musi obejmować zarówno pozytywne ich rozwijanie jak i analizę wszelkich przypadków uniemożliwiania demokracji i myśli niepodległej. W obręb pracy muszą wchodzić i tematy negatywne, takie jak analiza systemów antydemokratycznych, totalitarnych i analiza myśli zniewolonej.

Podjęcie powyższych tematów może być traktowane jako powinność tylko w przypadku zgody na pierwotne założenia. Myśl niepodległa jest bowiem możliwa tylko pod warunkiem iż uznamy, że prawda jest możliwa. Ze po długim zastanowieniu potrafimy czasem powiedzieć co jest prawdziwe i co prawdziwe nie jest, i że w miarę naszych niedoskonałych możliwości i ze

świadomością ograniczeń nakładanych przez okoliczności, potrafimy dać prawdziwe świadectwo. Ze prawdą jest zatem, iż dobru towarzyszy zło, a my potrafimy je wyraźnie odgraniczyć. Założenia te brzmią inaczej tak: wartością jest myśl niepodległa i wartością jest sprawiedliwość demokratycznej organizacji życia społecznego. Należy pamiętać, że choć oba te przekonania stanowią konkluzje rozmaitych racjonalnych wywodów, to w gruncie rzeczy nigdy nie znajdują do końca racjonalnego uzasadnienia, że wobec tego musimy pamiętać iż głoszenie ich, to umieszczanie ich u podstaw naszego świata wartości. Póki nie zdamy sobie do końca sprawy z tego, że głosząc pochwałę demokracji i myśli niepodległej budujemy świat wartości, dopóki będziemy skazani na jałową polemikę z tymi, którzy w imię przeciwnych wartości proponują równie racjonalne uzasadnienia. W polemikę z pragmatycznymi obrońcami ponurych wartości zniewolenia tkwiących poza oficjalną doktryną.

Podjęcie tak sformułowanego obowiązku ma również moralne znaczenie. Intelektualista w niczym nie różni się oczywiście od innych ludzi i tak jak oni jest zobowiązany do zajmowania postawy moralnej wobec wszystkich zjawisk w życiu społecznym, wymagających zajęcia takiej postawy. Powinien więc potępiać niesprawiedliwość, poniżenie, nędzę, powinien walczyć o usunięcie ich, powinien bez wahania interweniować w każdym przypadku, w którym naruszone zostały elementarne ludzkie prawa i nic go nie usprawiedliwia jeżeli postępuje inaczej. Jeżeli jednak uznamy, że przewodnimi tematami pracy umysłowej jest demokracja i myśl niepodległa, wówczas niemoralne staje się wszelkie postępowanie faktyczne czy umysłowe, które nie krzywdząc konkretnych ludzi uwłacza podstawom naszej refleksji, które godzi w niepodległość myśli i w fundamenty demokracji. Obowiązki trzeba zatem rozszerzyć na nakaz tropienia wszelkich tego rodzaju przestępstw, chociaż bowiem zło jakie powodują nie jest bezpośrednio szkodliwe, na dłuższą metę dotyka także wszystkich członków społeczeństwa włącznie z tymi, którzy nie mają świadomości doznawanych ciosów.

Jakie konkretne formy może przyjąć poświęcenie swej pracy sprawom demokracji i myśli niepodległej? Na pierwszym miejscu przytaczany jest zazwyczaj postulat pracy organicznej i wydaje się, że jeżeli pracą organiczną będziemy uważali za pozytywną działalność, zmierzającą do osiągnięcia częściowych rezultatów, do umożliwienia postępu, wówczas istotnie praca organiczna winna być naczelnym zajęciem intelektualisty. Jeżeli natomiast, jak to często bywa, pracą organiczną rozumieć jako sposób życia i wzór politycznej postawy przeciwstawiony rewolucjonizmowi, aktywizmowi i praktycznej działalności cząstkowej i całościowej w obronie moralnych imponderabiliów, czy na ostatek, w walce czynnej o niepodległość, w walce z ulotką, nielegalnym tekstem czy nielegalnym słowem w rękę — to taka praca organiczna sprzeciwia się głównym założeniom tutaj sformu-

mułowanym. O myśl niepodległą często trzeba walczyć nie tylko myślą ale i czynem i chociaż zawsze sprzeciw ducha będzie miał podstawowe znaczenie, to nie istnieje nic takiego jak myśl niepodległa w zniewolonym człowieku.

Intelektualista może odmówić wzięcia na siebie tych obowiązków, może głosić, że jego obowiązkiem jest nie walka o demokrację, ale utrzymanie jakiejś nieocenionej placówki za cenę wszystkich ustępstw. Lub, że badania, które prowadzi są tak ważne, że za to by pozwolono mu je swobodnie przeprowadzić do końca gotów jest pójść na wszelkie kompromisy. Póki sprawa dotyczy jego samego jest to walka o jego sumienie, do której możemy się nie wtrącać jeżeli nie uważamy tego za stosowne. Kiedy jednak występuje on jako osoba publiczna mamy wszelkie prawo żądać od niego by wypełniał swe obowiązki. Żądamy tego i dla jego dobra, bo kiepskie są wyniki pracy umysłowej prowadzonej przez człowieka o nieczystym sumieniu i zapaskudzonej biografii. Nie należy co prawda odrzucać z góry wszelkiego kompromisu — wiadomo jednak jak płynne są jego granice.

Wiele wynaleziono sposobów rozumowania wiodących do pozbycia się naczelných obowiązków. Jedni twierdzą, wnosząc to ze swego doświadczenia z okresu przed 1968 i 1970, że wszelkie wysiłki są nieskuteczne — i tak nic się nie da zrobić. Wiemy, jak głęboko niestuszny jest podobny pogląd. Doświadczenia, które się tu przywołuje, traktowane całościowo i wyłącznie, jako zamknięte, istotnie zdają się potwierdzać przekonanie o powszechnej niemożliwości. Jeżeli je jednak uznamy za wstęp do dalszej pracy zyskują natychmiast na znaczeniu. Opinia głosicieli niemocy jest nie tylko niestuszna, ale zbrodniczo szkodliwa. Grudzień 1970 udowodnił to ostatecznie. Odrzucając nadzieje na zwycięstwo myśli niepodległej, ludzie ci godzą się na zniewolenie i skazują na pogardę pokoleń, które przyjdą. Nie wolno tracić przekonania o ostatecznym zwycięstwie prawdy i dobra, o realności demokracji i myśli niepodległej w Polsce. Jeżeli bowiem przekonanie takie utracimy, to jak będziemy mogli bronić atakowanych zewsząd okopów człowieczeństwa. Przyjdzie tylko poddać się i uznać, że ponieśliśmy porażkę z kretesem.

Myślę też, że obowiązkiem intelektualisty jest głosić zwycięstwo demokracji i myśli niepodległej, głosić, że nie są to marysenne ani żadne mity, ale realności autentycznego życia społecznego, że tylko na tym fundamencie można budować myśl rzetelną i że tylko tak myśląc nie zbczy się z drogi na manowce zniewolenia, głupoty i zatracenia ludzkiej godności.

Rafał GURBANOWICZ

Wszystko

List Wielkopostny Sołżenicyna do Patriarchy Wszechrosyjskiego Pimena miał swój dalszy ciąg. Przypomnijmy jednak najpierw jego dwa główne fragmenty. Wytknąwszy cerkwi jej politykę ugodową (uważaną w dodatku przez dostojników cerkiewnych za „objaw wolności religijnej”), Sołżenicyn pisał: „Już poszło na przepaść minione półwiecze, już nie ma co szukać luzów w terażniejszości, ale jak ocalić przyszłość? Tę przyszłość, na którą złożą się ci, co dziś są naszymi dziećmi? Rzeczywisty i najgłębiej pojęty los naszego kraju zależy od tego, czy już ostatecznie utwierdzi się w pojęciu ludzi racja siły, czy też wyrwie się z zaćmienia i znowu zajaśnieje siła racji. Czy potrafimy odtworzyć w sobie niektóre choćby cechy chrześcijańskie, czy też roztrwonimy je wszystkie do końca w imię samozachowawczych rachub i zysków”. I w zakończeniu: „Ani przed ludźmi, ani tym bardziej w modlitwie, nie damy się zwieść myśli, że zewnętrzne więzy silniejsze mogą być od naszego ducha. Nie łatwiej było wcale w początkach chrześcijaństwa, a przecież utrzymało się ono i rozkwitło. I wskazało nam drogę: drogę poświęcenia. Ten, kto wyzuty jest z wszelkich nawet materialnych sił, dzięki poświęceniu zawsze zwycięży. I takie właśnie męczeństwo, godne pierwszych stuleci, stało się udziałem wielu naszych duchownych i wiernych: wszyscy to jeszcze dobrze pamiętamy. Ale w tamtych latach rzucano ludzi lwom na pożarcie, dzisiaj zaś można stracić tylko dostatek”.

Pimena wziął w obronę pop moskiewski Sergiej Żeludkow, w liście otwartym do Sołżenicyna. „Nie powiedział pan całej prawdy, Aleksander Isajewicz, lecz tylko część. Cała prawda jest taka, że legalna organizacja kościelna nie może być wyspą wolności w naszym społeczeństwie, opartym na jedynym kryterium i kierowanym przez jedyne centrum. Wolno się różnie zapatrywać na historyczne walory podobnego systemu społecznego, skrajnie jednokierunkowego... Moja opinia nie ma tu znaczenia, nikt zresztą mnie o nią nie pyta. Muszę natomiast stwierdzić z absolutną jasnością: istnieje system rządzenia skrajnie jednokierunkowy, w którym tkwi — nie wiadomo jak — obce mu ciało, rosyjska organizacja kościelna. Trwa ona w warunkach ściśle określonych. Nie dopuszcza nas się do wychowania dzieci i nawet dorosłych, nie zezwala nam się wielu innych rzeczy, które byłyby konieczne w autentycznym życiu kościelnym. Wolno nam jedynie odprawiać nabożeństwa w cerkwiach, i to przede wszystkim dla ludzi z wymierających pokoleń. Co mamy w tej sytuacji robić? Mówić: wszystko albo nic? Zejść do podziemia, które w obecnym systemie jest w ogóle nie do pomyślenia? Czy włączyć się do systemu i wykorzystywać chwilowo te możli-

wości, jakie nam pozostawiono? Rosyjska hierarchia cerkiewna wybrała to drugie. Stąd pochodzi całe zło, które pan opisał zgodnie z prawdą; i całe zło, o którym pan nie wspominał. Ale nie było innego wyjścia... Nie należy nikogo zmuszać do poświęceń i męczeństwa w Chrystusowym Kościele... Trzeba w sposób zdrowy uznać rzeczywistość”.

Sołżenicyn odpowiedział krótko. „Czego brak, to wewnętrznej obrony wiary: to że starowinki chodzą po pięćdziesięciu latach do cerkwi zależy od nich, a nie jest zasługą Kościoła. Została zagubiona siła wewnętrzna, oto powód do smutku. Zagubiła ją przede wszystkim hierarchia; im wyżej, tym nieodwołalniej. Pominał Ojciec główne rozwiązanie: w drodze osobistego poświęcenia wychować na nowo świat, który nas otacza. Nic nie można zrobić? Nieprawda, każdy może coś zrobić. Słyszał Ojciec o mnie przed dziewięć laty?... A więc istnieje wyjście. Zapewnia Ojciec, że otacza mnie milcząca aprobata wielu rodaków. W Kościele mniej jest tej aprobaty? Patriarcha nie cieszy się może poparciem milionów wierzących? Oczywiście, nie należy zmuszać do poświęceń. Ale zachęcać wolno? Czemuż to Ojciec chce zakazem obłożyć także zachętę?”.



Przytoczona kontrowersja ma posłużyć tylko jako klasyczny schemat, bez wnikania w meritum specyficznego problemu cerkwi. Warto jednak pamiętać, że sytuacja zarysowana w listach Sołżenicyna i Żeludkowa tłumaczy w dużej mierze rozkwit „sekt” chrześcijańskich w Rosji. Znamy to z bogatej już literatury przedmiotu, choćby z powieści Maksimowa *Siedem dni stworzenia* i ze studiów profesora Bourdeaux. Reakcją na „zdrowe uznanie rzeczywistości” przez hierarchię cerkiewną jest poszukiwanie przez falę oporu duchowego łożysk pozacerkiewnych; nie brak również dowodów fermentu w łonie samej cerkwi.

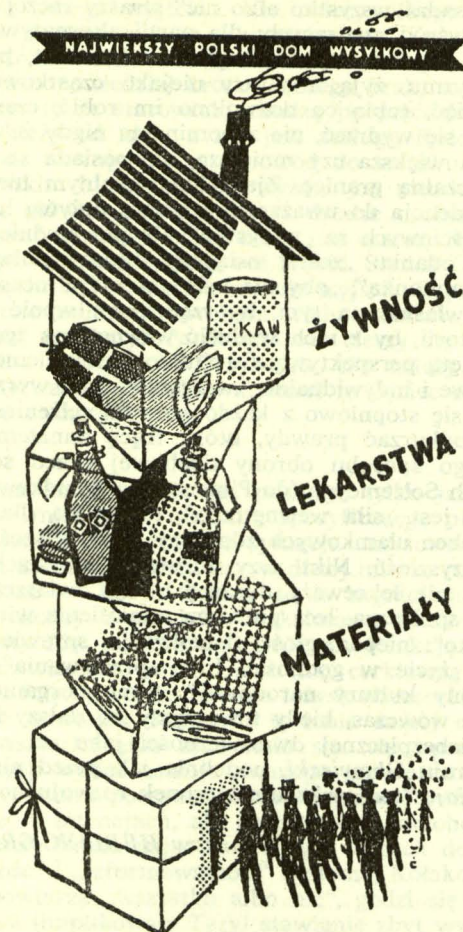
Zasada „wszystko albo nic” stała się więc, przy ocenianiu stopnia opozycji wobec ustroju zwanego „sowietyzmem”, czymś w rodzaju synonimu postawy „nierealistycznej”; więcej — szlachetnej może w intencjach, ale chorobliwej, samobójczej, zgubnej w skutkach. Namawiając w głośnych *Tezach* do uwierzenia w „plastyczność” i „reformowalność” systemu, Kołakowski ostrzegał że kto powtarza „wszystko albo nic”, godzi się w praktyce na „nic”. Gdyż (implikowały *Tezy*) stawianie zbyt wygórowanych postulatów, wytyczanie nieosiągalnych celów, rozgrzesza z bierności i często usprawiedliwia wręcz zło jednostkowe argumentem immanentnego zła „socjalizmu despotycznego”. Innymi słowy, jeśli się odrzuca skromną lecz realną szansę względnego poprawienia systemu poprzez nacisk społeczeństwa, spada się do roli niewolnika pasywnego; jeśli się w imię standartów bezwzględnych przekreśla wszelki kompromis z rzeczywistością, traci się na nią jakikolwiek częściowy bodaj wpływ, a równocześnie na co dzień korzysta się (we własnym co najmniej mniemaniu) ze swoistej amnestii moralnej.

Cała rzecz jest nieporozumieniem, przykładem chwytności formułek łatwych i uproszczonych. Należałoby zacząć od stwierdzenia, że zasada „wszystko albo nic” straszy raczej po przeciwnej stronie, wśród rządzących: dla partii alternatywa pełni władzy jest jej zupełną utratą. Rządzeni natomiast, pod panowaniem sowietyzmu, żyją z natury niejako cząstkowością: biorą co mogą wziąć, robią co dozwolono im robić, czasem wydzierają co daje się wydrzeć, nie zapominając nigdy że elastyczność władzy bywa większa czy mniejsza, ale posiada swoją sztywną i nieprzekraczalną granicę. Zjawiskiem realnym nie jest „nic”; jest nim tendencja do uważania, w miarę upływu lat, drobnych ustępstw częściowych za „wszystko”. Do powszedniego repertuaru wchodzi zdania: „został osiągnięty górny pułap koncesji”, „reszta jest mrzonką”, „oby nie było gorzej”. Proces „normalizacji” polega właśnie na tym, by rządzonym wpoić przekonanie o końcu historii, by z nich wydusić wewnętrzną zgodę na egzystencję z uciętą perspektywą. Gdy mrzonką są elementarne aspiracje zbiorowe i indywidualne, „wszystko” traci wyraźne kontury i utożsamia się stopniowo z każdorazowym zelżeniem przemocy.

Przykro odkurzać prawdy, które trącą banałem, nie widać jednak innego sposobu obrony duchowej przed sowietyzmem. W obu listach Sołżenicyna (do Pimena i do Żeludkowa) motywem nadrzędnym jest „siła wewnętrzna”, niezbędną dla zachowania dystansu wobec ułamkowych zdobyczy teraźniejszości i ocalenia wiary w przyszłość. Nikt przy zdrowych zmysłach w ustroju totalitarnym nie lekceważy doraźnych ulg, zwłaszcza wymuszonych presją społeczną, lecz punktem odniesienia winno być zawsze „wszystko”: niepodległość, demokracja, sprawiedliwość, praworządność, życie w godności. Idee „przetrwania”, „przeczekania”, „ochrony kultury narodowej”, „pracy organicznej”, mają sens jedynie wówczas, kiedy towarzyszy im dalszy i wyższy cel; nabierają niebezpiecznej dwuznaczności jako cel sam w sobie.

Głos z kraju *Obowiązki*, podobnie jak przed nim dokument „Ruchu” *Mijają lata*, wskazuje kierunek rozwoju nowej opozycji w Polsce.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



TAZAB
22 ROLAND GARDENS LONDON SW 7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4160

Archiwum polityczne

Lekcja wietnamska dla Europy

„Drogi Panie — albo jest Rosja słaba i zagrożona od Wschodu i wówczas nam nie zagraża, albo Rosja jest silna, zwarta i gotowa i wówczas nam zagraża. Na coś musi się Pan zdecydować. Nie może Pan natomiast w tym samym artykule twierdzić, że Rosja jest słaba wewnętrznie, zagrożona od Wschodu i równocześnie głosić, że wisi nad Europą jak miecz Damoklesa. Jeżeli Rosja jest słaba i zagrożona nie jest — zgodnie z logiką — mieczem Damoklesa”.

Mój Czytelnik, którego fragment listu zacytowałem powyżej — w sprzeczności z logiką ma rację i nie ma racji.

Bertrand Russell, laureat Nobla — był znakomitym matematykiem i logikiem. Był również katastrofalnym politykiem. Może dlatego był katastrofalnym politykiem, że siłą nawyku usiłował stosować kryteria matematyczno-logiczne do tak irracjonalnej dziedziny działalności ludzkiej jak polityka.

Trzeba walczyć o to by busołą życia zbiorowego narodów była logika i racjonalizm. Nie wolno jednak zapominać, że polityka jest polem napięć i wybuchów, głęboko odczuwanych pasji, namiętności i ambicji.

Polityka jest pełna sprzeczności, ponieważ człowiek jest pełen sprzeczności. To co dzieje się w północnej Irlandii dla logicznie myślącego, obcego obserwatora jest kłbowiskiem absurdów. Problem polega na tym, że bardzo trudno jest myśleć logicznie o północnej Irlandii, gdy się jest rodowitym północnym Irlandczykiem zamieszkałym w Belfaście. Wówczas — czy ktoś chce czy nie chce — staje się ogniwem jednego z wielu irracjonalnych procesów, które wstrząsają społeczeństwem północno-irlandzkim. Ten nieszczęsny i piękny kraj przypomina mężom stanu, że polityka to nie tylko ekonomia i *prosperity*, lecz dążenia i namiętności dla których ludzie poświęcają życie i odbierają życie innym. Jesteśmy niezmiernie daleko od fazy kiedy politykę będzie można powierzyć logicznie i beznamiętnie myślącym komputerom.

Lecz wróćmy do Rosji i Europy Zachodniej. Należałoby może powiedzieć, że zagrożenie sowieckie jest wtórne, ponieważ w pierwszej kolejności Europa zagraża sama sobie. EWG — w przeciwieństwie do Rosji i Ameryki, nie posiada żadnego „pogotowia kryzysowego”.

W Stanach Zjednoczonych prezydent i jego grupa bezpośrednich doradców — stanowią to pogotowie, które posiada władzę decydowania i działania w razie kryzysu. Widzieliśmy aparat prezydencki w akcji w kolejnych kryzysach koreańskim, kubańskim i wietnamskim.

EWG posiada, jak dotąd, cztery główne instytucje: Radę Ministrów, Komisję Europejską, Sąd i Parlament Europejski. Żadna z owych instytucji nawet w przybliżeniu nie pokrywa się z definicją „pogotowia kryzysowego”. Czy to oznacza, że EWG nie zagraża i nigdy nie będzie zagrażał żaden kryzys? Odpowiedź na to pytanie musi być negatywna. EWG — podobnie jak Stanom Zjednoczonym — każdej chwili może zagrozić kryzys. Natomiast różnica polega na tym, że Ameryka posiada „pogotowie kryzysowe” — natomiast EWG takiej aparatury nie posiada. To miałem na myśli twierdząc, że Europa zagraża sama sobie. Miasto, które nie posiada straży pożarnej nie tylko jest zagrożone pożarem, lecz stwarza realne niebezpieczeństwo pożaru.

Panowie w Brukseli odpowiedzialiby na to, że nam, tzn. EWG — nie zagraża „pożar”. Nie mamy Korei czy Wietnamu — nie mamy baz militarnych rozrzuconych po całym świecie — krótko mówiąc nie prowadzimy polityki globalnej. Naszym celem jest ekspansja gospodarcza i handel i nic poza tym.

Na pewno nie zagraża nam kryzys typu wietnamskiego i prawdopodobnie nie zagraża nam wojna. Niestety nie wynika z powyższego, że nie zagrażają nam kryzysy innego rodzaju.

Technologia powoduje tak znaczne przyspieszenie tempa postępu we wszystkich dziedzinach, że znaczny procent ludzi odnosi wrażenie, że żyje nie w swojej epoce. Słowo „postęp” w tym kontekście nie ma charakteru kategorii wartości. Nie twierdzą, że postęp oznacza zmianę na lepsze czy na gorsze — twierdzą natomiast, że zmiany następują tak szybko, że wyprzedzają zdolność asymilacji i adaptacji społeczeństwa.

Jeden z psychologów amerykańskich wysunął projekt — w mojej opinii słuszny — że w szkołach należy wykładać nie tylko historię, tzn. naukę o przeszłości, lecz również alternatywną futurologię, która zaznajamiałaby młodzież z różnymi projekcjami rozwojowymi przyszłości — tak by młodzi, gdy osiągną wiek dojrzały nie byli całkowicie zaskoczeni zmianą sytuacji.

Wybuchowy charakter postępu technologii powoduje kolejne przewroty w strategii militarnej, w organizowaniu produkcji przemysłowej, w komunikacji, w „inżynierii socjalnej” — nie mówiąc o biologii, medycynie itp. Suma owych przewrotów wyobcowuje nas z naszej własnej epoki, ponieważ do zasięgu i znaczenia owych przewrotów nie jesteśmy przygotowani.

Mamy dość przemian i rewolucji wszelkiego rodzaju i tu należy szukać nagłego i potężnego wzrostu konserwatyzmu w Ameryce, w Anglii i w innych krajach. Najbardziej popularnym hasłem jest: *law and order* — praworządność i ład. To jest reakcja na nieład a często chaos jaki powodują kolejne rewolucje technologiczne w różnych dziedzinach życia. Owe seryjne rewolucje powodują, że wiele instytucji staje się anachronizmami niezdolnymi do pełnienia swych tradycyjnych funkcji w zmienionych warunkach.

Wychowani i uwarunkowani historycznie a nie futurologicznie rozpatrujemy zawsze przyszłość w perspektywie historycznej. Mamy za sobą epokę niezmiernie bogatą w wydarzenia historyczne i historia przygniata nas w znacznie większym stopniu niż pokolenia uprzednie.

W przeszłości kryzysy społeczno-polityczne wyrażały się wojnami i rewolucjami. Można prowadzić technologicznie nowoczesną wojnę z krajem zapóźnionym w rozwoju przemysłowym. Przykładem takiej sytuacji był Wietnam. Lecz sytuacja uległaby całkowitej zmianie gdyby doszło do wojny pomiędzy dwoma supermocarstwami, tzn. pomiędzy Ameryką a Rosją.

Łatwo jest sobie wyobrazić rewolucję w jakimkolwiek kraju tak zwanego „Trzeciego Świata”. Lecz klasyczna rewolucja typu rewolucji październikowej — wydaje się wręcz nieprawdopodobna w krajach technologicznie wysoko zaawansowanych, jak Anglia czy Ameryka.

To wszystko nie oznacza, że super-mocarstwa i kraje technologicznie zaawansowane — jak Japonia — zdołały wytworzyć sytuację bezkonfliktową. W gruncie rzeczy istnieje współcześnie daleko więcej powodów do wojny niż w przeszłości i daleko więcej powodów do rewolucji niż w przeszłości. Pomiędzy Ameryką a Sowietami w momentach kryzysów nie doszło do wojny ponieważ w epoce nuklearnej wojna nie mieści się w swojej tradycyjnej historycznej definicji. Trzeba więc wynaleźć alternatywę wojny.

Klasy robotnicze w krajach wysoko uprzemysłowionych szukają alternatywy rewolucji, ponieważ rewolucja tradycyjna typu październikowego w Zachodniej Europie nie spełniłaby swojego zadania.

Mówiąc o kryzysach, które w niedalekiej przyszłości mogą zagrozić EWG — mam na myśli kryzysy nowego rodzaju bez historycznych precedensów. Fakt, że wojna nuklearna jest mało prawdopodobna (ufaśmy!) nie oznacza, że wkroczyliśmy w erę powszechnego pokoju. Fakt, że trudno sobie wyobrazić współczesnych robotników brytyjskich wieszających członków Izby Lordów na latarniach — nie oznacza, że brytyjska klasa robotnicza w błogostanie i pokoju będzie przypatrywała się biernie dalszemu rozwojowi wydarzeń. Zagrażają nam kryzysy tak wewnętrzne jak zewnętrzne lecz innego typu niż w przeszłości.

Lecz nim rozpatrzymy pewne alternatywy wojny i rewolucji chciałbym przedstawić Czytelnikom następujący problem. Jestem jak najbardziej za integracją Europy, tak w sensie gospodarczym

jak politycznym i wojskowym. Niemniej, obiektywny analityk musi przyznać rację Rosjanom, którzy głoszą, że EWG jest formacją „zimnej wojny”. Nie można zaprzeczyć, że EWG powstała jako odpowiedź na hegemoniczną politykę sowiecką i równocześnie jako odpowiedź na supremację gospodarczo-handlową Ameryki.

Ameryka stanowi kontynent i odrębną część globu, którą w XIX wieku nazywano „Nowym Światem” (*New World*). Lecz imperium sowieckie nie jest „Nowym Światem” i jego granica przebiega przez środek Berlina. Geograficznie, Rosja przed-uralska należy do Europy a Moskwa i Leningrad, tak historycznie jak i kulturalnie, są miastami europejskimi. Wspaniała literatura rosyjska XIX wieku była europejska — podobnie jak europejskimi kompozytorami byli Czajkowski czy Rachmaninow. Analogicznie, trudno by dziś zaliczyć Richtera czy Rostropowicza do muzyków azjatyckich. Dawid Oistrach — najświetniejszy współczesny odtwórca skrzypcowych koncertów Mozarta — jest kulturalnie stu procentowym Europejczykiem.

A jednak owa europejskość Rosjan jest problematyczna i na tym polega... problem. Ów dziwny problem stanowi istotę „żelaznej kurtyny” — nie tylko tej, która przebiega dziś przez centrum Berlina lecz i tej, która przed pierwszą wojną światową przebiegała przez Michałowice, kilkanaście kilometrów od Krakowa.

Robert Kaiser i Dan Morgan w swych reportażach z Europy Wschodniej, które ukazały się w *The Guardian* w styczniu br. podkreślali, że Polacy, Czesi, Węgrzy, Rumuni uważają się za Europejczyków. Cytowani autorzy dodali, że zachodni obserwator zwiedzający te kraje musi dojść do identycznego wniosku. To są kraje europejskie.

Polacy, Węgrzy, Czesi są bezsprzecznie Europejczykami. Lecz kim są Rosjanie?

Kaiser i Morgan, którzy znają dokładnie Związek Sowiecki i Wschodnią Europę powiadają: Rosjanie są Rosjanami i to jest wszystko co o nich można powiedzieć.

Stalin nazywał się czasem Azjata. Lecz Rosjanie nigdy nie identyfikowali się z Azją. Nie identyfikowali się również z Europą, którą uważają z jednej strony za symboliczny „owoc zakazany”, z drugiej strony za ojczyznę wszelkiej dekadencji i zgnilizny.

Kaiser i Morgan zauważyli, że granica polsko-sowiecka jest bardziej hermetyczna i lepiej strzeżona niż granica pomiędzy Węgrami a Austrią. Zauważyli również, że w czasie wizyty Nixona w Moskwie korespondenci prasy warszawskiej mieli znacznie trudniejszy dostęp do oficjalnych czynników sowieckich niż korespondenci amerykańscy.

Kaiser i Morgan zaobserwowali, że w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego — państwa satelickie zachowały ogromną różnorodność kulturalną a nawet gospodarczą. W ich opinii Bukareszt i Praga są bardziej różne niż Londyn i Mediolan.

Kaiser i Morgan dokonali również zdumiewającego „odkrycia”. Z licznych rozmów jakie przeprowadzili wysunęli wniosek, że

Polacy, Węgrzy czy Rumuni nie czują się zagrożeni przez państwa NATO, tylko czują się zagrożeni przez Związek Sowiecki. Amerykanie potrzebowali dłuższego czasu dla zrobienia tego odkrycia, lecz go w końcu dokonali. (Obaj powyżej cytowani dziennikarze są korespondentami *Washington Post*).

Kaiser i Morgan kończą swój reportaż uwagą, że Rosjanie są całkowicie osamotnieni w swoim imperium, ponieważ nie identyfikują się ani z Azją ani z Europą a tylko wyłącznie ze Związkiem Sowieckim. Dodajmy od siebie, że i nie wszyscy Rosjanie identyfikują się ze Związkiem Sowieckim.

Żaden imperializm nie opierał się na zasadzie „równi z równymi” lecz narody imperialne, które osiągały sukces górowały zwykle cywilizacyjnie i kulturalnie nad narodami podbitymi. Tak Rzymianie w starożytności jak i Anglicy w czasach nowożytnych górowali kulturą, ustrojem społecznym, technologią — nad narodami i szczepami, które włączyli w obręb swych imperiów.

Rosjanie zarówno za czasów carskich jak i obecnie odcinają się chińskim murem od Europy, nie tylko zachodniej lecz i wschodniej — ponieważ boją się Europy. Boją się Europy nie w sensie militarnym ani nawet nie w sensie ideologicznym tylko w sensie kulturalnym. Obawiają się, że prawdziwe zbliżenie zagrożiłoby tym wartościami, które stanowią istotę rosyjskości. Sowietyzm jest hodowcą i strażnikiem dawnego i głęboko zakorzonego kompleksu niższości wobec Zachodu. Zbędne dodawać, że choć ów kompleks jest wytłumaczalny historycznie — dziś jest tylko neurozą, z której Rosjanie muszą się wyleczyć.

Pisaliśmy wielokrotnie na tych łamach o „europeizacji” Rosji. Istotą takiego uleczenia musiałyby być przełamanie wyżej cytowanej neurozy. Rosjanie boją się fikcji — ponieważ w normalnych warunkach naród rosyjski tworzyłby kulturę i technologię, które znakomicie wytrzymałyby porównanie z Zachodem. Zamiast „samizdatu” mielibyśmy wielką literaturę rosyjską — świetną muzykę rosyjską — a Leningrad i Moskwa stałyby się w przeciagu jednego pokolenia wielkimi centrami kultury europejskiej.

Tej wizji Rosjanie się boją. Ponieważ na skutek wielowiekowego kompleksu nie ufają własnemu potencjałowi kulturalnemu. Rosyjskość może być kultywowana tylko w izolacji, ponieważ obce wpływy przyniosłyby jej zagładę.

Amerykanie nie muszą identyfikować się ani z Europą ani z Azją ponieważ zagarnęli nowy kontynent, na którym stworzyli nowy naród. „Amerykanin” jest pojęciem konkretnym odpowiadającym rzeczywistości. „Człowiek Sowiecki” czy jak ktoś woli „Radziecki” — jest biurokratyczną zbitką. Nie ma „ludzi radzieckich” tak jak nie było „ludzi austriackich”. Byli natomiast obywatele austriaccy różnych narodowości.

Rosjanie weszli do Europy i Europa będzie na nich coraz silniej oddziaływała. Kulturalnie z Europą „przegrają”. Oczywiście procesy tego typu są powolne i nie mogą stanowić podstawy dla spekulacji obejmujących najbliższą przyszłość.

W chwili obecnej istnieją na kontynencie dwa przeciwstawne bloki wojskowe, które Rosja — po wszystkich konferencjach rozbrojeniowych i europejskiego bezpieczeństwa — pragnęłyby zlikwidować na zasadzie wzajemności. Innymi słowy równoczesnemu rozwiązaniu uległyby Pakt Warszawski i NATO.

W zmodyfikowanej formie mogłaby to być propozycja do dyskusji. Po rozwiązaniu NATO, EWG przestałaby być formacją „zimno-wojenną”. Z chwilą gdy EWG przestałaby być konstrukcją „zimno-wojenną” — Moskwa nie mogłaby w zasadzie wysuwać żadnych zastrzeżeń w sprawie przystąpienia do EWG Polski, Węgier czy Rumunii.

Likwidacja obu „zimno-wojennych” paktów wojskowych miałaby tylko wówczas sens, gdyby otwierała drogę do pełniejszej integracji Europy. Oba cytowane paktów strzegą nienaruszalności „żelaznej kurtyny”. Jeżeli po likwidacji tych paktów „żelazna kurtyna” miałaby pozostać nadal nienaruszalna — likwidacja paktów nie miałaby ani celu ani sensu. Należałoby to Rosjanom jasno i otwarcie powiedzieć.

Angielskie przysłowie mówi, że nie można mieć ciastka i równocześnie go zjeść. Trzeba zdecydować się na jedno albo na drugie. „Żelazna kurtyna” stanowi istotę „zimnej wojny”. Nie można likwidować olbrzymiej aparatury „zimno-wojennej” z NATO i Paktem Warszawskim włącznie i równocześnie zatrzymać „żelazną kurtynę”. Albo likwidujemy „zimną wojnę” z „żelazną kurtyną” włącznie — albo wszystko pozostaje po staremu. „Zimna wojna”, której Pakt Warszawski i NATO są instrumentami, jest — jak każda wojna — stosunkiem dwustronnym. Nie może być zlikwidowana jednostronnie.



Powieści i filmy futurologiczne, czyli tzw. *science fiction* cieszą się zarówno w Ameryce jak i w Europie wielkim powodzeniem. Znaczny procent wynalazków i wydarzeń przepowiedzianych przez autorów *science fiction* sprawdził się. Statki kosmiczne i lądowanie na księżycu stanowią klasyczną ilustrację w tej sprawie.

Jeden z astronautów ostatniej misji na księżyc ujął w jednym zdaniu wynik tych ekspedycji: „Dowiedliśmy, że to, co jest niemożliwe — jest możliwe”.

Science fiction nie przedstawia sytuacji absurda, ale przedstawia to, co dzisiaj niemal niemożliwe, lecz może być za 50 lat będzie możliwe.

Przed kilku tygodniami oglądałem na telewizji amerykański film z serii *science fiction*, w którym czołową rolę odgrywało nieznane supermocarstwo o nazwie *Europe People's Republic* (Europejska Republika Ludowa). „Niemożliwe” — czyli w gruncie rzeczy możliwe?

Fakt, że amerykański autor i reżyser stworzyli tego typu *science fiction* dowodzi, że w umysłowości Amerykanów „Europejska Republika Ludowa” — choć niemal niemożliwa, jak lądowanie człowieka na Wenus — leży jednak w granicach przyszłych

możliwości. Nie jest pewne czy kiedyś wylądujemy na Wenus i nie jest pewne czy powstanie „Europejska Republika Ludowa” — lecz tak pierwszy jak i drugi projekt mieszczą się w granicach futurologicznych alternatyw.

Porzucmy jednak *science fiction* i posłuchajmy co na zbliżony temat ma do powiedzenia dyrektor Brytyjskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, Andrew Schoenfield, który w grudniu ub. roku w ramach tzw. *Reith Lectures* wygłosił sześć wykładów dotyczących polityki EWG.

Schoenfield rozpatrując możliwości kryzysu przytacza następujący wyimaginowany przykład. We Włoszech partia chrześcijańsko-demokratyczna, która stanowiła podstawę wszystkich rządów od czasu wojny — uległa rozłamowi lub znacznemu osłabieniu. Równocześnie komuniści, którzy w każdych wyborach zdobywają jedną czwartą oddanych głosów — wybitnie wzmacniają swoją pozycję. Powstaje rząd lewicowy w którym komuniści odgrywają poważną rolę. Następuje polaryzacja życia politycznego i w rezultacie dochodzi do gwałtownych starć i zaburzeń w miastach włoskich. Na ulicach toczą się walki pomiędzy członkami organizacji lewicowych i prawicowych. Rząd w którym większość stanowią komuniści ogłasza stan wyjątkowy i zawieszają konstytucję na czas nieograniczony. Tak oto, bez rewolucji, w sposób legalny, względnie semi-legalny zostałyby ustanowione w ramach EWG państwo komunistyczne.

Europejska Wspólnota Gospodarcza byłaby bezsilna w obliczu kryzysu tej miary.

Schoenfield pomija przesłankę, która w mojej opinii posiada wielką wagę. Osiągnęliśmy punkt rozwojowy, który oznacza, że ustanowienie rządu komunistycznego drogą „alternatywnej rewolucji” w jednym lub w kilku państwach EWG posiada większy stopień prawdopodobieństwa niż ustanowienie drogą „alternatywnej rewolucji” ustroju demokratycznego w jednym z państw satelickich we Wschodniej Europie.

Wydaje mi się jednak, że Sowiety nie przywiązują większej wagi do ewentualnych rewolucji w Europie Zachodniej. Moskwa nie ufa komunistom włoskim, francuskim czy brytyjskim. Sowiety swoje plany opierają na *power politics* a nie na ideologii. Gdyby kiedyś — co nie daj Boże — doszło do ustanowienia rządu komunistycznego we Włoszech — Kreml nie byłby zainteresowany włoskimi kołchozami czy PGR-ami, tylko domagałby się baz morskich dla swoich okrętów wojennych.

Włosi dopłacają do baz NATO na Malcie, ponieważ obawiają się, że w razie zerwania kontraktu z rządem maltańskim musieliby udzielić gościny we własnym kraju bazom amerykańskim i brytyjskim. Oczywiście spowodowałyby to gwałtowne protesty i demonstracje ze strony potężnej włoskiej partii komunistycznej.

Czy w sytuacji odwrotnej — protest niekomunistycznych partii i organizacji uniemożliwiłby komunistycznemu rządowi włoskiemu udzielenie gościny sowieckim bazom wojskowym trudno przewidzieć. Skłonny jestem przypuszczać, że Sowiety uzyskałyby

bazy. Nie jest jednak wykluczone, że Moskwa w późniejszej fazie zrezygnowałaby z baz i narzuciła Włochom status neutralny. Wiele wskazuje na to, że dalekofalowym celem Sowietów jest neutralizacja całego obszaru EWG a nie rewolucje, które przysporzyłyby Moskwie więcej kłopotu niż korzyści. EWG rozbrojona, bez baz NATO i wojsk amerykańskich, lecz prężna gospodarczo i powiązana szeregiem korzystnych układów ekonomicznych z Sowietami — odpowiadałaby Moskwie znacznie bardziej, niż nowe ugrupowanie komunistycznych państw semi-satelickich z których każde zgłaszałoby głośno prawo do własnej drogi do socjalizmu.

Swojego czasu wysuwaliśmy projekt pasa neutralnego, który obejmowałby państwa Wschodniej Europy. Na emigracji ów pomysł skrytykowano w myśl zasady: wszystko albo nic. Osobiście uważam i dziś, że status neutralny jest niepomrotnie korzystniejszy niż status satelicki. Austria jest w znacznie lepszej sytuacji niż Polska czy Czechosłowacja. O ile jednak neutralizacja czy finlandyzacja dla Polski czy Czechosłowacji oznaczałaby zmianę na lepsze — o tyle neutralizacja Europy Zachodniej oznaczałaby degradację i wstęp do kłęski. Ze statusu neutralnego nie przyszłoby Polsce nic gdyby równocześnie neutralizacji uległa cała Europa Zachodnia.

W związku z powyższymi możliwościami nie wszyscy zdają sobie sprawę z istoty roli wojsk amerykańskich na kontynencie. Obecność tych wojsk posiada poważniejszy wydźwięk polityczny niż czysto wojskowy. Podstawowym warunkiem zneutralizowania Europy Zachodniej jest ewakuacja wojsk amerykańskich z kontynentu. Problem należy sformułować następująco. Nie jest pewne czy nawet po ewakuacji Amerykanów powiedzie się Rosji dokonać finlandyzacji Europy Zachodniej. Natomiast jest stuprocentowo pewne, że obecność wojsk i baz amerykańskich na kontynencie czyni wszelki zamysł finlandyzacji czy neutralizacji Europy nie-realną mrzonką. Wniosek stąd prosty, że ewakuacja Amerykanów musi być pierwszym postulatem w polityce zmierzającej do ewentualnej neutralizacji Europy Zachodniej.

Jak wiadomo Francuzi są przeciwnikami MBFR (wzajemne, zrównoważone redukcje sił zbrojnych) — jak również są przeciwnikami bilateralizmu, tzn. układów pomiędzy super-mocarstwami, które wiązałyby nie tylko Sowiety i Stany Zjednoczone lecz również państwa NATO i Paktu Warszawskiego.

Francuzi proponują zamrożenie istniejących sił po obu stronach „żelaznej kurtyny”. Owemu zamrożeniu podlegałyby oczywiście również wojska i bazy amerykańskie w Europie Zachodniej.

Amerykane na to odpowiadają, że MBFR byłyby pożyteczne ponieważ, gdyby na skutek negocjacji podpisano nowy układ zapewniający obecność wojsk amerykańskich na kontynencie choćby w znacznie uszczuplonej formie — Kongres nie mógłby podjąć jednostronnej decyzji drastycznych redukcji czy całkowitej ewakuacji wojsk amerykańskich w Europie.

Dwa punkty można uznać za pewniki. Na dłuższą metę nie zatrzymamy wojsk i baz amerykańskich wbrew woli Kongresu.

I punkt drugi. Rosjanie dołożą wszelkich starań i gotowi będą zapłacić wysoką cenę, by pozbyć się Amerykanów z Europy.

W chwili gdy ostatni żołnierz amerykański opuści kontynent, choć pozornie nic się nie zmieni — status EWG ulegnie dramatycznej przemianie. Przywódcy sowieccy będą wówczas wiedzieli, że szantaż czy nawet lokalna interwencja zbrojna nie spowodują konfrontacji sowiecko-amerykańskiej a tym samym w kontekście polityki globalnej częściowa inwazja EWG byłaby operacją „nisokiego profilu” jak wojna w Wietnamie.

Jeden z polityków niemieckich (Straus?) powiedział kiedyś, że Niemcy zachodnie są gospodarczym gigantem i politycznym karłem. To samo można powiedzieć o Europie Zachodniej. EWG jest gospodarczym gigantem i polityczno-militarnym karłem.

Mówiąc o finlandyzacji EWG nie wyobrażam sobie, że eurokraci w Brukseli któregoś dnia uchwalą status neutralny dla Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Nie będzie potrzeba niczego uchylać ani niczego ogłaszać. Finlandyzacja jest stanem faktycznym a nie statusem prawnym w sensie norm prawa międzynarodowego. Jeżeli nie zdołamy zatrzymać Amerykanów na kontynencie do czasu kiedy EWG zechce i potrafi się dozbroić — finlandyzacja Europy Zachodniej jest nieuchronna.

Być może, że powiedzie się nam zatrzymać choćby znacznie zredukowane oddziały wojsk amerykańskich przez następne trzy czy cztery lata. Lecz czy EWG podejmie poważniejszy wysiłek w celu wzmocnienia swego potencjału militarnego — tego nie wiemy.



W końcowych uwagach, które pokrywają się z tytułem niniejszego artykułu — pragnąłbym przeanalizować wpływ wojny wietnamskiej na sytuację w Europie.

Wojna w Wietnamie utrwali w społeczeństwie amerykańskim przekonanie, że Stany Zjednoczone nie powinny angażować się w jakiegokolwiek wojnie zamorskiej. To jest wniosek ogólny. Kampania wietnamska dostarcza jednak również podstaw do wydedukowania kilku wniosków szczegółowych.

Nawet tak długotrwała i krwawa wojna jak w Wietnamie nie prowadzi do bezpośredniej konfrontacji zbrojnej super-mocarstw jeżeli zachowane są pewne warunki. Gdyby w Wietnamie północnym stacjonowała choćby niewielka armia sowiecka — Amerykanie mieliby do wyboru albo walczyć wyłącznie rękami południowych Wietnamczyków, albo zaangażować w akcji własne wojska i ryzykować wówczas totalną wojnę amerykańsko-sowiecką.

Przykład wietnamski zdaje się wskazywać, że tak Ameryka jak i Sowiety, gotowe są angażować swoje armie tylko tam, gdzie nie ma ryzyka bezpośredniej konfrontacji obu super-mocarstw. Ewakuacja Amerykanów z Europy umożliwiłaby Rosjanom szantaż czy nawet interwencję zbrojną bez ryzykowania zbrojnej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi.

Przykład Wietnamu dowodzi również, że super-mocarstwo „A” nie zaryzykuje wojny z super-mocarstwem „B” tylko w tym celu, by pospieszyć z pomocą swojemu sojusznikowi. Kapitalistyczne super-mocarstwo zaminowało porty państwa komunistycznego. Byłoby naturalne gdyby Moskwa wysłała notę do Waszyngtonu z żądaniem odminowania portów zaznaczając, że w braku pozytywnej reakcji ze strony Amerykanów, wojenna flota sowiecka odminuje te porty. Jak wiadomo nic podobnego się nie stało.

Gdy w roku 1956 Budapeszt dogorywał, na niebie węgierskim nie pojawił się ani jeden samolot amerykański. Gdy w końcu grudnia 1972 Amerykanie poddali Hanoi najcięższemu bombardowaniu znanemu w dziejach — na niebie Wietnamu nie pojawiła się ani jedna eskadra lotnictwa sowieckiego.

Wojny lokalne, gdy zachowane są pewne warunki, nie zagrażają pokojowi. Przez „pokój” Moskwa i Waszyngton rozumieją pokój pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. W ramach tego „pokoju” możliwe jest zbombardowanie Budapesztu czy Hanoi a w przyszłości innych miast w Azji czy w Europie.

Jak widzimy istnieją dwa typy pokoju. Pokój dla super-mocarstw, który musi być zachowany, i pokój dla państw drugiej klasy, który każdej chwili może być zerwany, pod warunkiem, że oba super-mocarstwa przestrzegają pewnych konwencji.

Przyłączenie zachodniego Berlina do NRD czy inna akcja tego typu — nie musi prowadzić do wojny, jeżeli w Europie zostaną stworzone warunki umożliwiające zachowanie pokoju pomiędzy obu super-mocarstwami. Całkowita ewakuacja Amerykanów z Europy uczyniłaby z EWG zespół państw drugiej klasy, które — podobnie jak oba Wietnamy — nawet w razie zbrojnego konfliktu nie zagrażają pokojowi światowemu, ponieważ pokojowi światowemu zagrozić może tylko konfrontacja zbrojna sowiecko-amerykańska.

The Guardian ogłosił artykuł (w pierwszej dekadzie stycznia br.) pod tytułem: „Po Wietnamie — kto będzie bronił Europy?”

Liberałowie — podobnie jak pewni marksiści — dbają przede wszystkim o czystość doktryny.

Nie jestem konserwatystą, lecz uważam, że premier Heath wykazał odwagę wprowadzając niemal socjalistyczną aparaturę kontroli cen i płac w celu zahamowania inflacji. Oczywiście popadł w jaskrawą sprzeczność z tym co głosił w swojej platformie wyborczej. Lecz co jest obowiązkiem polityka — czy nie popadać nigdy w sprzeczność, czy wskazywać realną drogę wyjścia nawet za cenę popadnięcia w sprzeczność?

Wierność doktrynie chroni polityka przed popadaniem w sprzeczność lecz równocześnie uniemożliwia mu stosowanie rozwiązań pragmatycznych, które wynikają z oceny każdorazowej sytuacji a nie z ideologicznych założeń doktrynalnych.

Podobnie jak redaktorzy *The Guardian* jestem zachodnio-europejskim liberałem. Lecz w stosunku do zbrojeń atomowych

EWG zmieniłem pogląd w znacznej mierze na skutek wojny w Wietnamie.

Amerykanie i Rosjanie nie skoczyli sobie do gardła, ponieważ są uzbrojeni atomowo. Faktem jest, że jedynym realnym gwarantem pokoju są bronie atomowe. Pragmatyzm polega na tym, że faktem przyznaje się pierwszeństwo przed ideologią czy doktryną.

Z powyższych przyczyn EWG posiadając po temu technologiczne możliwości — winna uzbroić się atomowo, nie z myślą o wojnie, tylko z myślą o zabezpieczeniu pokoju. Wiarygodny, w sensie potencjału, europejski odstraszak nuklearny stanowiłby kosztowną lecz realną polisę asekuracyjną, która zapewniałaby pokój Europie i zmusiłaby Sowiety do traktowania EWG jako partnera i sąsiada pierwszej klasy.

Przeciwnicy zbrojeń atomowych wysuwają zawsze argument, że nawet gdyby Stany Zjednoczone wycofały swoje wojska z Europy — chronieni będziemy nadal amerykańskim „parasolem atomowym”.

W grudniu ub. r. prez. Nixon nie radząc się dosłownie nikogo wydał rozkaz intensywnego bombardowania Hanoi. W owym okresie prezydent od półtora miesiąca nie zwoływał posiedzeń swojego gabinetu i nie kontaktował się ani z Kongresem ani z prasą. Do grudnia ub. roku żaden z prezydentów USA nie zdemonstrował w ten sposób swojej samodzielności. Prezydent zlekceważył zarówno burzę w Kongresie jak i burzę w prasie światowej. Dyplomacja à la Kissinger jest ściśle tajna i nikt nie wiedział jakimi przesłankami kierował się prezydent wydając rozkaz bombardowania Hanoi.

Zachowanie się prezydenta USA w grudniu ub. roku zawiera dla zachodniej Europy znamienne lekcje. Rozwinięcie w danym momencie „atomowego parasola” — co stanowić może o życiu lub śmierci Europy — zależeć będzie wyłącznie i dosłownie od decyzji jednego człowieka. Wystarczy porównać sylwetkę Nixona z senatorem McGovern'em, by zdać sobie sprawę jak różnymi ludźmi mogą być prezydenci Stanów Zjednoczonych.

Faktem jest, że prezydent USA może nie otworzyć „parasola atomowego” wbrew opinii Kongresu, Gabinetu, Rady Obrony, NATO i prasy całego świata. Konstytucyjnie nikt nie może go zmusić do podjęcia takiej decyzji i tylko prezydent jako naczelny zwierzchnik sił zbrojnych może nacisnąć lub nie nacisnąć odpowiedni guziczek w czarnej walizeczce, która mu towarzyszy wszędzie gdzie podróżuje.

W sumie należy stwierdzić, że Europejska Wspólnota Gospodarcza nie jest przygotowana do stawienia czoła kryzysowi ani zewnętrznemu ani wewnętrznemu. Wyłączając Stany Zjednoczone — EWG stanowi klub 9 najbogatszych państw świata. Byłoby nas stać stworzyć w obrębie dekady poważny odstraszak atomowy.

Stopa życiowa przeciętnego Chińczyka jest nieporównywalnie niższa od stopy życiowej przeciętnego obywatela EWG. Niemniej

Chińczycy z uporem i wytrwałością budują swój potencjał nuklearny i, jak doniosła prasa amerykańska, w zasięgu ich pocisków atomowych w roku 1975 znajdzie się Waszyngton i Tokio. Moskwa już dziś znajduje się w promieniu ich broni nuklearnych. Lecz Chińczycy w przeciwieństwie do EWG są zjednoczeni. My natomiast chorujemy na naszą historyczną europejską chorobę nacjonalizmów i przebrzmiałych ambicji, które wywodzą się z imperialnych tradycji, po których nie pozostało ani śladu ani popiołu. Cierpimy na nadmiar poczucia historycznego i na niebezpieczny niedowład poczucia rzeczywistości.

Na pytanie dlaczego musimy się zjednoczyć, uładzić i uzbroić — odpowiedź jest prosta. Choć zjednoczenie przychodzi nam opornie musimy się zjednoczyć i uzbroić ponieważ tym razem nikt nas nie będzie wyzwalał. Dosłownie nikt. Stany Zjednoczone w przymierzu z Japonią i w dobrych stosunkach z Chinami mogą spokojnie pogodzić się z finlandyzacją Europy zachowując globalną równowagę sił. Niezależna Europa Zachodnia potrzebna jest tylko Europejczykom — nie Amerykanom.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Burłacy znad Jordanu

- *Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie...*
- Państwo to znają. Nic dziwnego, ale kto pamięta ciąg dalszy...?
- *Do Płuzyn ciemnego boru*
- *Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,*
- *Byś się przypatrzył jezioru...*

Że to nic trudnego, że autor znany i że znane jest zakończenie. Jasne, ale tak, z ręką na sercu, kto pamięta całość? Nikt. I słusznie. A niżej podpisany słyszał niedawno to posłanie Mickiewicza Adama do Wereszczaki Michała, brata Maryli, wyrecytowane na pamięć, bez jednego błędu.

W Warszawie?

Nie, w Tel Avivie.

Przez aktora, zapewne?

Nie, przez pułkownika, w mundurze, w Min. Obrony, rzecznika samego Dajana.

Który pułkownik, nie mówiąc już o generałach, w Warszawie zna na pamięć całą „Świtez”? A tymczasem płk Pinkas L. dołożył mi jeszcze kilka Tuwimów, a nawet Światopełka Karpińskiego z przedwojennych *Wiadomości*. Ilu pułkowników w ogóle wie

kto to był Światopełk i co to były *Wiadomości Literackie*? L. od razu wyjaśnia: „Panie drogi, w ciągu ostatnich 35 lat mówiłem po polsku może razem wszystkiego kilka godzin, ale w 1937 roku zdałem maturę w gimnazjum w Koluszkach. A to, proszę pana, było prawdziwe gimnazjum”.

Po polsku rozmawiałem jeszcze z członkami rządu, dyrektorami MSZ, profesorami uniwersytetu, pisarzem Eliezerem L. prorokiem końca diaspory i wielkiego Izraela, z większością spotkanych dziennikarzy, z guidem Sergem R. (może kandydować do objęcia katedry z historii tej części świata na każdym uniwersytecie), ze wszystkimi paniami w upojne i białe piątkowe noce oraz z panią Rywką w Ejlacie („ja tu byłam przed Goldą”), która zaspokoila moje ostatnie pragnienie i nareszcie ugotowała mi prawdziwe ruskie pierogi.

Że to nie sztuka, powiecie. Istotnie, każde dziecko potrafi dziś dogadać się po polsku w Izraelu. Ale, uwaga, idzie zmierzch polskiego Izraela. Nadciąga Izrael rosyjski. Puszkina zastąpi Mickiewicza i to mimo, że po polsku udało mi się porozumieć nawet z panią Niną Mikoels, córką największego aktora żydowskiego w ZSSR. Pani Mikoels dementuje informacje jakoby jej ojciec był wielokrotnie wzywany przez Stalina aby o kremlowskim świecie recytować „Króla Leara” — ulubioną postać ojca narodów, potwierdza natomiast, że to od zamordowania (w Mińsku w 1948 roku) Mikoelsa przez gruzińskiego wielbiciela Szekspira zaczęła się ostatnia faza historii Żydów w ZSSR...

Część pierwsza czyli Genezis

Raizie Palatnik, 36-letniej bibliotekarce z Odessy, KGB nie dało zbyt wiele czasu na spakowanie walizek. Nie miała zresztą tak wiele do pakowania, jako że na dworzec poszła prawie prosto z obozu w Dnieprodzierżyńsku, przejętego przez KGB swego czasu bezpośrednio od SS. Przedtem jeszcze spędziła pięć miesięcy w więzieniu za domaganie się dla Żydów prawa emigracji do Izraela. W turmie rozrabiała nadal, zagroziła wszyciem sobie „zółtej łaty”, jeżeli nie będzie traktowana jak polityczna.

Lew Jofe, matematyk, ale „ja jestem raczej poeta”, w wieku lat trzydziestu, zajmował się, śmiesznie powiedzieć, tajnym, w kompletach, nauczaniem hebrajskiego. Dostał wobec tego wezwanie do wojska, bo to jest obowiązek każdego obywatela. Ale Jofe, choć poeta, wiedział o co chodzi. Po dwóch latach zaszczytnej służby, dojdzie pięć lat kwarantanny „z powodu tajemnic wojskowa”. Więc w sołdaty nie poszedł, tylko się ukrył i z ukrycia się awanturował. Najwyższe dowództwo poszło na kompromis: nie dwa lata a dwa miesiące i bez tajemnic wojskowych. Jofe nie miał wyboru, przecież i tak by go znaleźli. Uwierzył i, o cudzie, KGB dotrzymało słowa. Dwa miesiące, potem jeszcze 10 dni i był nad Jordanem.

Prusakowowie, Walenty i Ludmiła, przez dwa lata głodowali, bo od razu po złożeniu papierów, Walentego wylali z roboty. Potem się jeszcze mścili, dwa razy zamykali i wizy odmawiali. Aż, znowu cud w Moskwie. Ludmiła była jeszcze w szpitalu, gdzie powiła bezpaństwową córeczkę, kiedy telefon z OWIR'u (taka moskiewska ul. Koszykowa, czyli biuro paszportów MSW), oznajmił, że jest wiza i że mogą spływać, ale pod warunkiem, że od razu wont. „W 10 dni żeby was tu nie było”. Ze niemowlę? Nie trzeba było rodzić. Na szczęście w tym samym samolocie był pediatra, też bieżeniec...

Lew Lerner, inżynier, miał drogę raczej bezbolesną. Złożył, dostał, jak się należy, odmowę, potem nagle zgodę, potem zapłacił „podatek od mózgow” nawet za mamusię (73 lata, odpukać do 120, skończyła studia pedagogiczne w 1923 roku). I już byli w samolocie.

Tych czworo osób i jeszcze 44.996 Żydów sowieckich przybyło do Izraela w ciągu lat 1971 i 1972. To ich tropem odbyłem pielgrzymkę do Ziemi Świętej i Obiecanej i z dość liczną i przekonującą ich reprezentacją udało mi się porozumieć. Po wyeliminowaniu części drobiazgowo-historycznej, mało rewelacyjnej dla Polaków, którzy krótki kurs WKP(b) znają z teorii i praktyki, całość ujmujemy w formę greckiego chóru, a następnie dzielimy na głosy. A oto podstawowe partie:

Głos pierwszy: „My się już nie boimy”

Dlaczego jedziemy? To proste, jakiś kąt, jakieś „u siebie”, trzeba przecież w życiu mieć. W ZSSR wszyscy mają własny kraj, to przecież ojczyzna stu narodów. Ale tak się składa, że akurat żydowska ojczyzna znajduje się nie wewnątrz ZSSR a poza jego granicami. Nie, proszę pana, to nic nowego, to tylko niektórym się zdawało, że mogło być inaczej. W Rosji zawsze Żydzi byli i nigdy nie było łatwo w Rosji być Żydem. Nie, nie można było o tym zapomnieć, bo przecież w piątym wierszu dowodu osobistego jest to wyraźnie napisane. Nowe jest tylko to, że Żydzi wysnuwają z tego wnioski, i to publicznie, domagając się prawa wyjazdu do swojej ojczyzny. Pierwsze wnioski emigracyjne wpłynęły jeszcze w latach 50-tych w krajach bałtyckich, gdzie żyli jeszcze „przedwojenni” Żydzi i nawet autentyczni syjoniści. W innych częściach ZSSR, np. w Rosji czy na Ukrainie, pęd wyjazdowy ujawnił się później, po prostu dlatego, że musiało dorosnąć nowe pokolenie, które nie znało stalinowskiego terroru i przestało się bać. Nasi rodzice są niezdolni do protestu czy przeciwstawienia się władzy, są ciągle obezwładnieni latami Stalina. Ale czasy się zmieniły, nie ma już, w zasadzie, groźby likwidacji fizycznej. Jak dozorca puka do drzwi o piątej rano, to naszych starych musi uspakajać: „Nie, to nie to co Pan myśli, to tylko dom się pali”. My natomiast wiemy, że to policja i nie wstajemy nawet z łóżka...

Głos drugi: „Do asymilacji trzeba dwóch”

Punkt zwrotny to oczywiście wojna sześciodniowa i ta obłąkana propaganda antysyjonistyczna w ZSSR. Okazało się wtedy, że może oni i chcieli oddzielić antysyjonizm od antysemityzmu, ale im się to nie udało. W każdym razie, naród i aparat tej subtelnej różnicy nie wychwycili, dla nich nie było różnicy między gwiazdą Dawida a swastyką, dla nich syjoniści byli odpowiedzialni za wymordowanie Żydów w Babim Jarze, ich nie dziwiło, że ten młody człowiek, mimo zwycięstwa w olimpiadzie matematycznej, nie dostał się na studia w Kijowie a musiał jechać do Woroneża i to nie na długo, i że ojciec tego drugiego, lekarz — wylany pułkownik, od półtora roku nie może z powodu zwycięstwa Dajana uzyskać jakiegось zajęcia w Nowosybirsku. Resztę załatwił rok 1968, kiedy udało się w ostatniej chwili wywolić Pragę od syjonistów. Wówczas spływały ostatnie wątpliwości: tu się nigdy już nic nie zmieni. Przyszła chwila wyboru. Dla tych co nie jadą pozostaje tylko droga asymilacji. Ale nie takiej normalnej asymilacji. Normalnie bowiem do asymilacji potrzeba dwóch stron: tej co chce i tej co wchłania. W Rosji (nie mówiąc już o innych republikach) nikt Żydów, z wyjątkiem naturalnie Ojstrachów czy Plisieckich, nie chciał wchłaniać. Więc jedyna asymilacja możliwa to mieszane małżeństwa. To stary sposób, dzieci kończąc lat 18 będą mogły optować i w piątym wierszu paszportu będą mogły, półlegalnie, wpisać tę lepszą *nacjonalnot'*. Dla reszty-emigracja. Tylko w ten sposób, w ciągu kilku pokoleń, problem żydowski w ZSSR przestanie istnieć. Będzie lepiej i dla ZSSR i dla Żydów...

Głos trzeci: „Towarzyszu, bądźcie poważni...”

Kiedy mu powiedziałem, że taki a taki artykuł konstytucji gwarantuje wolność emigracji, oficer śledczy odparł: „Towarzyszu, bądźcie poważni, jaka konstytucja, tu jest biuro KGB”. W ogóle byli zaskoczeni. „Skąd — mówili w KGB — do was tyle odwagi, strajki głodowe urzędzacie, okupujecie lokal w Najwyższym Sowiecie, a nawet w KC i to na siedząco. Taki skandal w samo południe. Sam towarzysz minister musiał was uspokajać. I to się nazywa inteligencja, tfu”. To jest chyba podstawowa sprawa. Zaszło coś nowego, zawalił się stereotyp Żyda. Władze sowieckie przyzwyczajone były do społeczeństwa biernego, rozbrojonego, rozbitego. I w zasadzie Kreml się nie myli. Spójrzcie na ruch takiego Sacharowa. Przecież to zupełnie osamotniony człowiek, radzi bezbronnym ofiarom na jaki paragraf mają się powołać. Gdzie? Wobec kogo? Bądźmy rzeczywiście poważni! Żydzi na początku byli skłonni jak najbardziej aktywnie w tym ruchu uczestniczyć. Ale szybko okazało się, że znajdują się znowu

w większości, a w każdym razie, że będzie ich zbyt dużo. A to, jak wy w Polsce świetnie wiecie, w krajach socjalistycznych wystarczy, aby skompromitować każdy ruch przeciw władzy. Najpierw przecież was bili za to, że jesteście Żydami, a potem was lali za to, że chcieliście to ukryć. U nas, to samo. Integracja ideowa, znaczy się. I wtedy oba strumienie buntu się rozeszły. Żydzi doszli do wniosku, że się dosyć mieszało do nieswoich spraw i postanowili skończyć z uszczęśliwianiem na siłę narodów ZSSR. U was w marcu 68 Żydzi byli wszystkiemu winni. Na wasze szczęście, bo gdyby nie marzec, to byłibyście odpowiedzialni za grudzień 70. W ZSSR trzeba teraz kilku co najmniej pokoleń aby zniknęły ślady antysemickiej trucizny. Ona, jak stront, ma bardzo długi okres rozpadu...

Głos czwarty: „Po prostu, człowiek”

To co powiem zabrzmia cynicznie, ale tak to jest. Oczywiście, staramy się wykorzystać odprężenie na świecie. Wiemy, że w istocie rzeczy świata nic nie obchodzi ani los rosyjskich Żydów, ani los Rosjan, Polaków, Czechów itd. Świat sprzedał demokrację i wolność (na wschodzie) za odprężenie i spokojny stolec co rano. Świat się oczywiście myli, ale każdy, widząc, musi się uczyć na własnych błędach. Z jednym wyjątkiem: Żydzi już się nauczyli. I światowe żydostwo upomniało się o rosyjskich Żydów. Najbardziej, powiedzieli, kochano nas w 45 roku, kiedy się okazało, że w ciszy i nie wadząc nikomu daliśmy się dość dokładnie wymordować. Teraz, choć Żydzi to nie taka siła, jak *Prawda* to stale wmawia (40 lat po Goebbelsie), to wystarczy aby narobić szumu. Pociąg z 2.000 Żydów tropił Kosygina po całej Kanadzie i nie dawał mu spać. Pan ambasador Abrasimow zniżył się do zaproszenia delegacji Żydów francuskich, bo gdyby narobili oni hałasu w czasie wizyty Breżniewa, to Abrasimow mógłby stracić dobrą dewizową posadę. Wszystkie konferencje prasowe dygnitarzy sowieckich za granicą w 2/3 dotyczyły Żydów. Handel z USA wisiał na włosku, przerywano występy baletu, w Londynie na bruku przed salą gdzie występował chór dońskich czy innych kozaków jakiś facet na wiolonczeni wygrał swój apel o wypuszczenie jego żony i dzieci. Rosjanie się denerwowali, wściekali, próbowali procesów, kary śmierci, zsyłek, ale to wszystko tylko pogarszało sprawę. I w końcu musieli się pogodzić z rzeczywistością: ich Żydzi nie byli sami, ktoś za nimi się ujął. Zaczęli nas wypuszczać, a sprawa żydowska sprowadzona została do swych prawdziwych wymiarów. Nie stanowi ona części żadnego globalnego programu urządzania świata, nie jest elementem przetargowym w żadnych rokowaniach międzynarodowych, ani tym bardziej (Żydzi w każdym razie tego nie żądają) nie wymaga demokratyzacji ustroju sowieckiego. Jest to po prostu i wyłącznie sprawa ludzka. Koniec. Kropka.

Część druga czyli Exodus

Kółko się zamyka. Dawno temu Żydzi z Rosji, którzy myśleli, że komunizm to może i dobra rzecz, ale najpierw trzeba spróbować zbudować własny kraj, przyjechali do Palestyny. Na socjalizm, mówili, przyjdzie czas później.

50 lat później Golda Meir wita tych, którzy mogliby być jej wnukami. Przyjeżdżają znowu z Rosji, tylko, że jeżeli oni coś myślą, to właśnie akurat wprost przeciwnie do Goldy z 1922 roku. Ze mianowicie komunizm to bardzo zła rzecz i że jeżeli już trzeba go budować, to tylko nie we własnym kraju.

Golda Meir (Meerson z domu), premier Izraela, córka stolarza z ukraińskiego przedmieścia, między audiencją u Papieża a wizytą u prezydenta Nixona zdążyła powiedzieć: „Mamy miejsce dla wszystkich Żydów, których ZSSR zechce wypuścić: 10.000, 100.000, milion...” Otóż, choć na razie jest ich tylko 45.000, to już są niemałe problemy. Nie ulega kwestii, iż absorbcja rosyjskiej fali emigracyjnej to dla Izraela wielkie wyzwanie, próba sił większa i w perspektywie ważniejsza nawet niż przyjazd 700.000 Żydów z krajów arabskich. Na te tematy odbyłem także wiele rozmów, już nie tylko z „olim hadaszim” czyli nowymi emigrantami, ale także z „waticami” czyli starymi, w tym z ministrem Absorbacji Natanem Peledem, rodem z Odessy (60 lat temu) naturalnie.

Głos pierwszy: Na rozdrożu wiatrów

Niech nikt nie myśli, że wraz z przekroczeniem granicy rosyjskiej kończy się emigrancka przygoda, a zaczyna *dolce far niente*. Wprost przeciwnie, nowa odyssea się zaczyna. Pierwszy etap to Wiedeń, rozdroże wszystkich dramatów wschodnio-europejskich Żydów. Nikt tam nie wie ilu Żydów dziś przyjedzie, skąd, jacy, w jakim wieku, jakich zawodów, zdrowi czy chorzy... Rosjanie nigdy nie uprzedzają, sekret — powiadają, więc przedstawiciele Agencji Żydowskiej muszą być obecni wszędzie, w każdym punkcie strategicznym, na lotnisku w Schwechat, gdzie lądują Aeroflot, na dworcu gdzie staje „Chopin Express”, z którego wysypują się obecnie Żydzi bałtyccy czy z jeszcze dalszej północy (z Warszawy już prawie nikt, ten problem jest „ostatecznie rozwiązany”), a nawet na dunajskim dworcu wodnym, bo nigdy nie wiadomo co Rosjanom może przyjść do głowy. Baza tranzytowa mieści się w „pałacu” pani hrabiny Happach. Stary, odrapany budynek, stojący w środku parku, strzeżony jest przez ludzi i psy, a ostatnio i przez helikopter. Trzech panów o smągłych twarzach zostało niedawno aresztowanych przez policję austriacką na delikatną sugestię Interpolu czy innego Polu. Okazało się, że byli to Palestyńczycy z „Czarnego Września”, którzy mieli rzekomo sabotować albo paść pani hrabiny albo samolot z emigrantami. Spiskowców, jak to często bywa, zgu-

biła pewność siebie. Legitymowali się mianowicie paszportami... izraelskimi, które były jednak wystawione akurat w Jom Kipur, czyli największe święto żydowskie. Jest to dzień kiedy nawet największy bezbożnik w izraelskim MSW nie odważy się w Jeruzolimie wziąć pieczętki do ręki.

Głos drugi: „To jest normalny kraj”

Tranzytowy pobyt w Wiedniu nie przewiduje *Wien by night* ani żadnych innych uciech i, tym mniej, nie stanowi w żadnym stopniu wprowadzenia do aklimatyzacji. Prawdziwe problemy zaczynają się na lotnisku w Lod. W ciągu kilkudziesięciu a czasem tylko kilku godzin byli sowieccy Żydzi stają się Izraelczykami, przeskakują ogromny dystans. Spadają z nieba nieraz wprost ze średniowiecza i lądują w normalnie a może raczej w anormalnie skomplikowanym kraju. Szok jest tym większy, iż nigdy chyba w historii ZSSR dezinformacja nie była tak totalna jak obecnie, zwłaszcza jeżeli chodzi o Izrael. Emigranci *in spe* byli więc nie tylko wystawieni na codzienne zwyczajnie bombardowanie *double-talk*'iem, mową-trawą, propagandową anty-informacją, ale mieli poza tym tendencję do tłumaczenia sobie dokładnie odwrotnie wszystkiego co dotyczyło Izraela. Piekielny w *Prawdzie* obraz Izraela nabierał w efekcie barw iście niebiańskich, co, niestety, mimo historycznie bliskich związków tego kraju z niebem, nie odpowiada rzeczywistości... To jest normalny kraj, gdzie, jak mówił Bialik, żydowski policjant aresztuje żydowskiego złodzieja, nie mówiąc już o innych „przedstawicielach” normalności...

Głos trzeci: Ze swoim rabinem

Zaskoczenie było tym większe, że 85 procent emigracji sowieckiej z lat 71 i 72 stanowili Żydzi z peryferii Kraju Rad, stanowiący element w zasadzie nie do zasymilowania nawet w dalekiej przyszłości, tworzący egzotyczne grupy wśród egzotycznych narodowości ZSSR. Chodzi tu z jednej strony o Żydów bałtyckich lub besarabskich, pamiętających jeszcze „tamte czasy, wśród których nie brak autentycznych „przedwojennych” syjonistów. Ale przede wszystkim KGB wypuszcza Żydów z Gruzji, Buchary czy nawet Dagestanu. Są to Żydzi sefardyjscy o patriarchalnych nieraz zwyczajach, bardzo religijni, bardzo wielodzietni (dziewięcioro, to nie rzadkość). Na Kaukazie mieszkali oni od 2.500 lat od czasów Artaxerksesa, używają języków khartveli, farsi lub tat, a wybrali się w wędrówkę do Izraela nietyle z przyczyn politycznych, syjonistycznych, ile religijnych. Chodzi tu o mistyczny powrót na ziemię praojców. „Jeruzolima albo śmierć”, takie hasło rzucono w Gruzji z największą powagą. Nie radzę żartować. W Izraelu Gruzini chcieli mieszkać razem, wokół włas-

nej synagogi, z własnym rabinem. Kiedy się okazało, że to niemożliwe, nie możemy przecież zakładać czysto gruzińskich osiedli, dochodziło nawet do bójek. Teraz jest już spokojniej, choć wielu Gruzinów uważa, że za dużo u nas niewiernych, że to skandal, jeżeli piersi kobiece reklamują, na afiszu, nowy film. „Nauczyciel pali w klasie, siedzi na ławce i dyskutuje z uczniami. Co to za szkoła? Zabieram dziecko”. Gruzini tragarze podjęli pracę na lotnisku, pod warunkiem, że nie będą pracować w soboty. Trzeba było wynajmować zastępstwo, przecież samoloty lądują. Hebrajski znali, ale tylko pisany, nie rozumieliśmy ich wymowy, na początku wymieniano więc karteczki. Teraz już kłapuje. To wszystko sprawa czasu... Niedawno, kiedy zapomnieliśmy coś tam zrobić dla synagogi, westchnęli: „Jak sekretarz partii obiecywał, to dotrzymywał słowa...” Teraz już tak nie mówią...

Głos czwarty: Co robić z Einsteinami

Najłatwiej jest z robotnikami fizycznymi, ale nie ma ich za dużo. Są natomiast rodziny z dwoma często dyplomami uniwersyteckimi. To jest problem. Trafiają oni do centrów absorbcyjnych, gdzie się uczą hebrajskiego, a jest to język, zwłaszcza na użytek zawodowo-intelektualny, bardzo trudny. Ale nie chodzi tylko o język. Co mamy zrobić z prawnikiem, specjalistą od ustawodawstwa kołchozowego, albo ekonomistą, specjalistą od planowania po sowiecku. Nie wspominamy już o filozofach, materialistach dialektycznych itd. Muszą się przestawić i pewna deklasacja w sensie sowieckiej skali wartości społecznej jest nieunikniona. Ekonomisci muszą się nauczyć buchalterii, prawnicy — urzędowania, administracji itd. Są kłopoty z lekarzami. Mają szalenie wąską specjalizację, muszą się dokształcać w zakresie nowoczesnej aparatury czy najnowszych osiągnięć wiedzy i techniki medycznej. Gdyby jeszcze przyjeżdżali z własnymi pacjentami... Nawet inżynierowie muszą często zaczynać od laborantów. No, a naukowcy? Izrael ma światowy rekord liczby naukowców na głowę mieszkańca, Einsteiny znajdują naturalnie pracę natychmiast, ale inni... Nie ma forsy, nie ma bazy, a często nie ma rozumu. Nie potrafiliśmy np. stworzyć poważniejszej bazy filmowej. Wyjechali więc Ford, Sevela, nawet Lelouche chciał ale nie potrafił. Żydzi kręcą więc na całym świecie, tylko nie w Izraelu.

Głos piąty: „Panie, życia pan nie zna”

To wszystko prawda, ale najtrudniejsze są bariery psychologiczne. Rzeczywistość nie odpowiada wyobrażeniu, ale do warunków ekonomicznych i społecznych, człowiek się stosunkowo szybko dostosowuje. Znacznie trudniej jest uprawiać wolność.

Spotkałem na szuku w Tel Avivie faceta wyraźnie oszołomionego. Stał, wśród przelewającego się bardzo już lewantyńskiego tłumy i gapił na kiosk oblepiony setkami różnokolorowych i różnorodnych tytułów. Spytał o coś, kioskarka nie zrozumiała. Mówił po rosyjsku. Dotknąłem jego ramienia, drgnął i przerażonym głosem spytał: „Czego pan chce, kim pan jest”. On się po prostu bał. Kilka minut upłynęło, zanim się uspokoił, ale przez cały czas rozmowy rozglądał się wokoło. „Panie, pan nie zna życia. Oczywiście, że ja się jeszcze boję. Pan mówi, że pan zna Rosję. Moskwa to nie Rosja, żeby to zrozumieć trzeba być Żydem na prowincji”. I zmył się, nie zostawiając śladu. Minister Peled zaprosił do siebie do domu grupę odeskich (ziomkostwo!) Żydów. Nie chcieli wejść: „To nie dom ministra, tu nie ma straży”.

Krótko mówiąc, przez jakiś czas po wylądowaniu w Izraelu Żydzi z ZSSR są jeszcze sowietami. Trudno o ludzi mniej kochających komunizm niż emigranci z ZSSR. Nie chodzi tu o jakieś rozczarowania ideowe. Chodzi o ten koszmar jaki muszą przeżywać od chwili złożenia papierów do chwili wyjazdu. Ten idyotyczny system polegający na okrucieństwach zupełnie „niepotrzebnych”, bo przecież i tak wyjeżdżają, pozostawia niestychanie trwały osad goryczy. Ale, o, paradoksie, wynik jest często właśnie w sowieckim stylu. „Nowi” są alergiczni na wszelkie aspekty kolektywizmu, nawet kibucowego. Drażni ich nawet czerwony sztandar Histadrutu (związków zawodowych). Mają natomiast uwielbienie dla sztandaru państwowego. Po zapoznaniu się z dość nowoczesno-cynicznym stosunkiem młodego zwłaszcza sabry do „sztandaru” (zjawisko naturalnie powierzchowne, wiadomo, że jak trzeba to potrafią tego sztandaru bronić) rosyjscy neofici dochodzą do wniosku, że są „ostatnimi prawdziwymi syjonistami”. Jasza Kazakow, który domagając się wypuszczenia rodziców głodował przed siedzibą ONZ w Nowym Jorku, zarzucił władzom Izraela, że się po prostu boją i dlatego, a nie z przeczności, prowadzą politykę ostrożną i nie dopuszczają do przekształcenia sprawy rosyjskich Żydów w element międzynarodowej awantury. Nic dziwnego, że wśród najbardziej bojowych przedstawicieli nowej emigracji, tych, jak tu ich nazywają „prawdziwych kochanków Syjonu”, rysują się tendencje na prawo. Pani Markisz z synem (rodzina słynnego pisarza jidisz, Pereca Markisza, jednego z 25-ciu rozstrzelanych przez Stalina w sierpniu 1952 roku) uroczyście przystąpiła do Herutu, partii Begina, jednego z najstynniejszych b. Polaków w Izraelu. Rzecz odbyła się na cztery fajerki z wodotryskiem, na specjalnym otwartym zebraniu partyjnym. Ale nawet mniej skrajni uważają np., że największym błędem Izraela było niedeportowanie Arabów „przynajmniej z Jerozolimy” po sześciodniowym zwycięstwie. „Stalin — mówią — wywoził całe narody, Tatarów, Niemców znad Wołgi, Czeczenów, nawet Żydów byłby wywoził, a świat nawet nie drgnął. To czego wy się patyczkujecie?”. O terytoriach zajętych w 1967 roku, lepiej nie wspominać. „Nic nie

oddawać! Czy znacie wypadek, aby ZSSR oddał coś co raz zabrał?” Nie trzeba dyskutować, choć historycznie to nieprawda, a politycznie — niebezpieczne. Ale to też tylko sprawa czasu.

Głos szósty: Ale Goldę szanują

Mamy w Knesecie Chagala, ale nie mamy biur do pracy. Dlatego deputowani muszą się spotykać z dziennikarzami w kafeterii. Głośno, mniej wygodnie, ale przyjemniej, jeżeli w ogóle można mówić o przyjemności w kontekście spotkania z dziennikarzem. (Wzajemnie, proszę posta — dopisek B.). To prawda, że nowi mają skłonność do prawicy. Po tym co przeszli z tzw. „lewicą” w ZSSR trudno im się dziwić. Szukają ujścia dla nagromadzonej goryczy. Ale jest także prawda i to, że mimo sowieckiej nieufności do aparatu i biurokracji, którą uważają za nieludzką i przekupną, mają jednak respekt — to także sowieckie — dla władzy. Zwłaszcza, że to już władza żydowska. Nie lubią jak się krytykuje rząd, wrzaski w parlamencie, strajki, demonstracje uważają za przejaw anarchii. Ale Golda jest popularna, to przecież Żydówka, premier, i do tego z Rosji. Oczywiście, jest dużo nieporozumień. Nie mogą się odzwyczaić od warunków państwa-monopolistycznego pracodawcy, zaopatrzeniowca, dostawcy gratisowej szkoły, służby zdrowia, te rzeczy — społecznie biorąc — funkcjonowały, na pewno tam lepiej niż u nas. Nie mogą też zrozumieć i przyzwyczaić się do śruby podatkowej (a niby kto może?), a prywatny handel mieszkaniami uważają za zwyczajny czarny rynek (tak bardzo się zresztą nie mylą). Z tym wszystkim przypuszczamy, że skład polityczny wśród emigrantów odpowiadać będzie w końcu przekrojowi całego społeczeństwa izraelskiego. W październiku, po raz pierwszy w życiu, będą mieli prawdziwe wybory. Wtedy zobaczymy...

Głos siódmy: „Czym chciałbyś zostać jak dorosiesz?”

Absorbca — to czwarty budżet w rządzie izraelskim. Mamy 10.000 dolarów na urządzenie emigranckiej rodziny. To dużo pieniędzy, ale forsą to nie wszystko. Za mało ciągłe ciepła, zwyczajnego ludzkiego ciepła. Niewątpliwie faworyzowanie emigracji z ZSSR wywołało sporo zawiści wśród poprzednich pokoleń emigranckich. „My musieliśmy mieszkać w barakach, a oni wprowadzają się do pałaców” słychać często, tak jakby należało zmuszać Rosjan do cierpienia wstecz, do rozpoczynania w warunkach roku 45 czy 56. A dlaczego nie w warunkach z 1922 roku? Także od strony Żydów po-arabskich dochodzą protesty. „Czym te sowiety lepsze od nas, my ciągle czekamy na mieszkania, choć przyjechaliśmy przed kilku laty”. Mają rację, Czarne pantery podniosły hałas. I okazało się, że przy okazji Rosjan załatwiono także i zaległych Arabów. Normalny kraj, sporo za-

ległej krzywdy. Ale i sporo niezyczliwości bezinteresownej. Scenka z rewii w Tel Avivie: „Czym chciałbyś synku zostać jak dorosiesz?” — pyta tatuś. „Rosyjskim emigrantem” — pada odpowiedź. Ja mu tego nie życzę.

Oczywiście, że są niezadowoleni. Ale jednak mniej niż inni. Z każdej porcji emigrantów francuskich czy amerykańskich ok. 10 % wieje do kraju pochodzenia. Z 45.000 sowieckich Żydów tylko 150 osób, a więc jedna trzecia jednego procentu zawróciła. I to nie tylko dlatego, że nie mają dokąd wracać. Sporo z nich ma przecież rodziny w USA i gdzie indziej. Ale zostają. Z tych 150 zresztą niektórzy przyjechali specjalnie po to, aby manifestacyjnie wracać, innym nie powiodła się „specjalna” misja. „Przynajmniej to żydowski szpiedzy”, miał powiedzieć Ben Gurion, niektórzy się naprawdę pomylili i nie powinni byli w ogóle opuszczać ZSSR. Siedzą teraz na Malzgasse, na przedmieściu Wiednia, w ruderze, w skandalicznych warunkach i znowu czekają na rosyjską wizę. Powrotną, wjazdową. „Gdzie wam jest dobrze? — Po drodze”. W Wiedniu widać, że ten stary witz już się nie sprawdza. Z zawieszonych „po drodze” w cyniczny sposób korzysta sowiecka propaganda. Niektórzy już siedzą tam 18 miesięcy i służą jedynie do opłakiwania przed żurnalistami z *Nowosti* swej życiowej pomyłki i utraconego socjalistycznego raj. Nikt się nimi poza tym nie interesuje, to już nie Izraelczycy, a jeszcze nie Sowietci. Ale to przecież ludzie! Czy nikt się nad nimi nie zlituje?

Epilog — wszystkie głosy razem

Samoloty El-Al, lot specjalny Wiedeń-Tel Aviv, lądują w Lod późną nocą, kiedy „oficjalny” ruch ustaje. Jest zupełnie cicho, ale kiedy na końcu pasa zamigocze obrotowe światelko lądującej maszyny, z rogu lotniska podnoszą się głosy, dochodzi jakby łkanie. Maszyna kołuje, otwierają się drzwi, dobijają schody. Słychać okrzyki: „Wania, Masza, Chaim...”. Ukazują się dziwnie ubrani, z tobołkami w rękę, pierwsi pasażerowie. Stają na twardej ziemi, głęboko oddychają. W Wiedniu było zimno, śnieg leżał na lotnisku. W Lod jest ciepło. Uśmiechają się, zaciera się ostatni zarejestrowany błysk wiedeńskiego lotniska.

Był to afisz Aerofłotu:

„Rosyjska zima was zaprasza”.

BRUKSELCZYK

Pisane 12 lutego 1973

Kraj

Sprawa braci Kowalczyków

Sąd Wojewódzki w Opolu wyrokiem z dnia 8 października 1972 uznał Jerzego Kowalczyka winnym tego, że:

w okresie od 1968 roku do 5 października 1971 w Opolu, działając w celu wrogim PRL oraz w celu osłabienia władzy ludowej i wywołania zaburzeń — gromadził materiał wybuchowy, dokonywał stosownych pomiarów dla określenia ilości materiału wybuchowego koniecznej dla zniszczenia części budynku Wyższej Szkoły Pedagogicznej, sporządził ładunek i podłożył go w kanale centralnego ogrzewania na poziomie parteru pod środkową częścią budynku głównego, skonstruował dwa urządzenia podpalające i zamontował je, po to, by wysadzić w powietrze część budynku głównego WSP wraz z aulą, w której z okazji świąt państwowych odbywały się uroczystości, a nadto spotkania i akademie o charakterze politycznym oraz zebrania przedstawicieli władz politycznych i państwowych — aby w ten sposób dokonać gwałtownego zamachu na życie uczestniczących w tego rodzaju zebraniach działaczy politycznych i państwowych; następnie w zamiarze popełnienia tego czynu przebywał w warsztatach katedry fizyki w dniach 13 i 14 marca 1971, ale odstąpił od zamierzonego czynu, nie powiadamiając o tym władz powołanych do ścigania, zaś w lipcu i wrześniu przychodził do gmachu uczelni, aby zrealizować powyższy czyn, którego jednak nie dokonał z przyczyn od siebie niezależnych, gdyż w tym czasie zebrania się nie odbywały; zdecydowawszy się ostatecznie tylko na zniszczenie samego budynku, w nocy z 5 na 6 października 1971 spowodował podpalenie ładunku, na skutek czego nastąpiło zawalenie się posadzki auli, części stropu i zniszczenie wnętrza, co pociągnęło za sobą straty w kwocie około 4 milionów złotych na szkodę WSP w Opolu.

— to jest sąd uznał Jerzego Kowalczyka winnym przestępstwa z art. 11 § 1 w związku z art. 126 § 1 oraz z art. 127 pkt. 1 kk

— i za czyn ten skazał go na karę śmierci.

Brata Jerzego — Ryszarda Kowalczyka — sąd uznał winnym tego, że w celu osłabienia władzy ludowej i wywołania zaburzeń udzielił pomocy w wysadzeniu w powietrze części budynku WSP w Opolu,

— to jest winnym przestępstwa z art. 18 § 2 w związku z art. 127 pkt. 1 kk

— i za czyn ten skazał go na 25 lat więzienia.

Wspomniane artykuły brzmią:

Art. 11 § 1: Odpowiada za usiłowanie, kto w zamiarze popełnienia czynu zabronionego swoim zachowaniem się zmierza bezpośrednio ku jego dokonaniu, które jednak nie następuje.

Art. 18 § 2: Odpowiada za pomocnictwo, kto chcąc, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, albo godząc się na to, dostarcza jej środków, udziela rady lub informacji, lub też w inny sposób ułatwia popełnienie tego czynu.

Art. 126 § 1: Kto w celu wrogim Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dopuszcza się gwałtownego zamachu na życie funkcjonariusza publicznego lub działacza politycznego, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 10 albo karze śmierci.

Art. 127: Kto w celu osłabienia władzy ludowej, wywołania zaburzeń lub nastrojów powszechnego niezadowolenia albo poważnych zakłóceń w funkcjonowaniu gospodarki narodowej:

1) niszczy, uszkadza lub czyni niezdatnymi do użytku zakłady lub urządzenia albo inne mienie o poważnym znaczeniu dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej;

2) uniemożliwia lub utrudnia prawidłowe funkcjonowanie zakładów, urządzeń albo instytucji o poważnym znaczeniu dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci.

Wyrok, wydany w sprawie braci Kowalczyków przez Sąd Wojewódzki w Opolu, został utrzymany w mocy przez Sąd Najwyższy.

To, że Jerzy Kowalczyk usiłował dokonać wysadzenia w powietrze auli WSP w czasie zebrania, w którym braliby udział działacze polityczni — zostało przez Sąd orzeczone na podstawie wyjaśnień złożonych w śledztwie przez Ryszarda Kowalczyka. Ryszard Kowalczyk zeznał mianowicie w śledztwie, że jego brat, Jerzy, planował dokonanie wybuchu już w dniu 13 lub 14 marca 1971, w czasie zebrania partyjnego z udziałem między innymi ówczesnego premiera, Józefa Cyrankiewicza, zamiaru tego poniechał jednak ze względu na to, że w tym czasie Ryszard Kowalczyk miał zdawać egzamin doktorski. Następnie Jerzy Kowalczyk miał — zdaniem — brata — ustalać kolejne daty wybuchu na lipiec i wrzesień 1971, lecz w tym czasie nie odbywały się w auli żadne zebrania. Ryszard Kowalczyk twierdził dalej, że usilnie

starał się odwieść Jerzego od zamiaru spowodowania wybuchu w czasie, kiedy w auli znajdowałoby się ludzkie, i że Jerzy w końcu uległ jego namowom i od tego zamiaru odstąpił.

W aktach śledztwa stwierdzono, że w czasie składania tego zeznania Ryszard Kowalczyk bił głową o ścianę i znajdował się w stanie skrajnego zdenerwowania.

Bracia wykonali wspólnie wszystkie czynności przygotowawcze i skonstruowali urządzenie zapalające, które Jerzy Kowalczyk przyniósł na miejsce i włączył nocą z 5 na 6 października 1971.

Bracia Kowalcykowie pochodzą z biednej, wielodzietnej rodziny chłopskiej z okolic Pułtuska. Motywem ich czynu był, jak zgodnie twierdzili, negatywny stosunek do ustroju, panującego obecnie w PRL.

Na rozprawie Ryszard Kowalczyk odwołał swoje zeznania ze śledztwa i twierdził, że od początku obaj zamierzali wysadzić budynek w powietrze w momencie, kiedy był pusty. Tłumaczył on, że pomówił fałszywie brata w śledztwie, będąc w stanie załamania psychicznego i w celu ratowania własnego życia. Jerzy Kowalczyk zarówno w śledztwie jak na rozprawie zaprzeczał, aby miał kiedykolwiek zamiar dokonać zamachu na życie ludzkie.

Sąd dał jednak wiarę zeznaniom Ryszarda Kowalczyka złożonym w śledztwie i na nich oparł wyrok. Pomówienie Ryszarda Kowalczyka jest jedynym dowodem przeciw Jerzemu Kowalcykowi w kwestii, o której mówi art. 126 § 1 kk.

Obrona podważała wiarygodność wersji podanej przez Ryszarda Kowalczyka w śledztwie. Wersja ta bowiem mogła leżeć w jego interesie jako współoskarżonego i została odwołana na rozprawie. Nadto obrona stała na stanowisku, że gdyby nawet pomówienie to odpowiadało prawdzie, to Jerzy Kowalczyk odstąpił od zamiaru dokonania zamachu na życie działaczy politycznych i nie wyszedł w tym zakresie poza stadium przygotowań, póki bowiem nie przyniósł do budynku WSP urządzenia zapalającego, nie mógł przystąpić do wykonania zamachu. Kwalfikacja zatem z art. 11 § 1 w związku z art. 126 kk jest błędna, a czyn Jerzego Kowalczyka wykazuje co najwyżej znamiona przestępstwa przewidzianego w art. 127 pkt 1 kk.

Sąd Najwyższy w swoim wyroku zajął się drobniejszymi przestępstwami, które dodatkowo zarzuca się oskarżonym. Wymiar kary, zdaniem Sądu Najwyższego, jest uzasadniony z uwagi na negatywną, według tegoż Sądu, sylwetkę moralną oskarżonych, w szczególności z uwagi na to, że poza przestępstwem z art. 126 § 1 i 127 pkt 1 kk popełnili oni również inne przestępstwa (między innymi takie, że postępowanie w sprawach o te przestępstwa zostało umorzono na mocy amnestii). Sąd Najwyższy odrzucił stanowisko obrony w sprawie zarzutu z art. 126 § 1 kk, lecz swego własnego stanowiska w tej sprawie nie umotywował.

W Polsce kara śmierci ma — wedle obowiązującego ustawodawstwa — charakter wyjątkowy.

Art. 30 § 2 kk głosi: „Karą zasadniczą o charakterze wyjątkowym, przewidzianą za najcięższe zbrodnie, jest kara śmierci”.

Art. 30 § 3 kk głosi: „Za przestępstwa zagrożone karą śmierci oraz w innych wypadkach przewidzianych w ustawie można orzec karę zasadniczą 25 lat pozbawienia wolności”.

Obecnie losy braci Kowalczyków zależą od ewentualnego wniesienia rewizji nadzwyczajnej lub ułaskawienia. Do wniesienia rewizji nadzwyczajnej uprawnieni są: Minister Sprawiedliwości, Prokurator Generalny PRL i Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego (art. 464 kpk). Stosowanie prawa łaski należy do uprawnień Rady Państwa (art. 25 1/10 Konstytucji PRL).

Art. 500 kpk brzmi:

„§ 1. W wypadku wydania wyroku skazującego na karę śmierci, a także w razie utrzymania takiego wyroku w mocy sąd wydaje niezwłocznie opinię w kwestii ułaskawienia. Po uprawomocnieniu się wyroku sąd przedstawia akta Pierwszemu Prezesowi Sądu Najwyższego.

§. Jeżeli Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego i Minister Sprawiedliwości wypowiedzą się o braku podstaw do wniesienia rewizji nadzwyczajnej, Prokurator Generalny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jeżeli również nie znajduje do niej podstaw, przedstawia niezwłocznie akta sprawy Radzie Państwa wraz ze swym wnioskiem w kwestii ułaskawienia. Do czasu rozstrzygnięcia tego wniosku wyrok nie ulega wykonaniu”.

Art. 109 § 1 kkw brzmi: „Karę śmierci wykonuje się niezwłocznie po nadejściu zawiadomienia, że Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski”. Art. 110 § 1: „Karę śmierci wykonuje się przez powieszenie [...]; wykonanie następuje w miejscu zamkniętym, niepublicznym”.

Po roku 1956 sądy w Polsce niejednokrotnie orzekały karę śmierci. Jeśli jednak pominąć kary orzekane przez sądownictwo wojskowe, to sprawa Jerzego Kowalczyka jest od lat piętnastu trzecim przypadkiem orzeczenia tej kary za przestępstwo, które nie spowodowało pozbawienia kogokolwiek życia (Sąd przyznaje nawet, że w tym wypadku ostatecznie nie było nawet zamiaru pozbawienia życia kogokolwiek). Dwa poprzednie wyroki zapadły w sprawach gospodarczych (pozwala na to obecnie art. 134 § 2 kk). Pierwszym był wyrok w procesie kieleckim, w postępowaniu doraźnym, w sprawie o nadużycia w handlu skórami (1961). Wyrok wymierzono oskarżonemu Dedo, który został następnie ułaskawiony. Drugim był wyrok również w postępowaniu doraźnym, w sprawie o nadużycia w przemyśle mięsnym, przeciwko oskarżonemu Wawrzeckiemu. Ten wyrok wykonano. W niektórych sprawach gospodarczych prokurator żądał kary śmierci, jednakże sąd do tego żądania się nie przychylił.

Kara śmierci została zniesiona w większości państw cywilizowanych, a tam, gdzie jeszcze ciągle ustawowo istnieje — nie jest od lat wykonywana. W krajach obozu socjalizmu sytuacja jest odmienna, ale teoretycznie podkreśla się wyjątkowy charakter tej kary (cytowany przepis — art. 30 § 2 kk).

Zespołowi sędziowskiemu w Opolu przewodniczył Zygmunt Jaromin, prokuratorami byli: Jerzy Jamka i Czesław Piątkowski.

W skład kompletu orzekającego Sądu Najwyższego wchodził sędziowie Antoni Hapon, Stefan Kaciczak, Aleksander Kafarski, Henryk Kempisty i Wacław Sikorski.

Jeden z dwóch ławników, Lewiński, dowiedział się dopiero na dzień przed procesem, że ma być ławnikiem w tym procesie i nie miał w ogóle przed procesem dostępu do materiałów dotyczących procesu.

Ekspertyza psychiatryczna była przeprowadzona przez doktora Różyckiego, dyrektora szpitala więziennego w Grodzisku, który w kołach naukowych nie ma dobrej opinii, gdyż jego badania idą z reguły na rękę sądowi. Obrona ponadto stwierdziła, że czas przeznaczony na egzamin psychiatryczny był stanowczo za krótki i nie wystarczający dla rzetelnego zbadania.

21 stycznia rb. Rada Państwa PRL skorzystała z prawa łaski w stosunku do Jerzego Kowalczyka zamieniając mu karę śmierci na karę 25-ciu lat więzienia. Decyzja ta m.in. została wymuszona ostrą reakcją społeczeństwa na barbarzyński wyrok. Do Sejmu wpłynęło ok. 6.000 podań, petycji i prośb. (Redakcja)

Z okazji procesu braci Kowalczyków następujący dziennikarze zachowali się poniżej godności i etyki dziennikarskiej:

Maria Chodyniecka, artykuły: *Nienawiść rodzi zbrodnię*. „Trybuna Opolska”, nr 234 z 24. 8. 1972; *Przeciw prawu — także z zemsty i dla zysku*. „Trybuna Opolska”, nr 257, z 28. 8. 1972; *Metody*. „Trybuna Opolska”, nr 240, z 31. 8. 1972; *Sami na siebie podpisali wyrok*. „Trybuna Opolska”, nr 257, z 17. 9. 1972.

Maciej Piotrowski: *Zamach*, „Kulisy”, nr 37 z 10. 9. 1972.
Stanisław Hoc: *Wybuch*, „Prawo i Życie”, nr 20 z 1. 10. 1972.

Integracja a zjednoczenie

Wstęp

Tekst niniejszy jest próbą określenia stanowiska w sprawie kierunków rozwoju ruchu młodzieżowego na wyższych uczelniach. Wyrażając jedynie własne poglądy czynimy to w oparciu o doświadczenia i refleksje kilkuletniej działalności na szczeblu wydziałowym ZMS i ZSP na Uniwersytecie Warszawskim. Ze względu na zakres naszych doświadczeń będziemy rozważać jedynie środowisko akademickie. Jego względna autonomia usprawiedliwia takie ograniczenia. Mamy nadzieję, że proponowana przez

nas płaszczyzna rozważań jest wolna od partykularyzmu środowiskowego i jest możliwa do przyjęcia przez wszystkich zainteresowanych przyszłością ruchu młodzieżowego.

Wspomniana płaszczyzna polega na badaniu wszystkich istniejących lub hipotetycznych struktur, z punktu widzenia stwarzanych przez nie *możliwości integracji środowiska*. Spróbujmy sprecyzować to pojęcie. Przez integrowanie społeczności akademickiej rozumiemy, po pierwsze, wspólny proces formułowania miejsca i zadań tego środowiska w obliczu zmian społecznych i cywilizacyjnych — a więc innymi słowy proces uświadamiania sobie celów nowej inteligencji. Po drugie, integrowanie polega na likwidacji tych podziałów i nierówności wewnątrz środowiska, które są uwarunkowane społecznie, a w szczególności wynikają z dezintegracji społeczeństwa w ogóle. Po trzecie wreszcie, niezbędnym składnikiem musi być wspólne działanie w celu rozwiązania wspólnych problemów, zaangażowanie w sprawy środowiska, a przez to i w sprawy ogólniejsze.

Tekst nasz, wychodząc z określenia specyfiki społeczności akademickiej w świetle problemu tak szeroko pojętej integracji, zawiera próbę zarysowania pozytywnej propozycji modelu ruchu młodzieżowego, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki wychowawczej i wyprowadza z niej, oparte o krytykę sytuacji obecnej, wnioski co do kierunków zmian stanu aktualnego, mające, naszym zdaniem, zwiększyć możliwości autentycznej integracji. Propozycje nasze są nieszczegółowe, ponieważ uważamy, że model docelowy należy traktować dynamicznie, a konkretne rozwiązania muszą być wypracowywane przez możliwie szeroki krąg zainteresowanych.

W dalszym ciągu próbujemy ocenić aktualne tendencje zmian modelowych, uwzględniając przy tym nasze rozeznanie w nastrojach środowiska wobec tych tendencji. Za reprezentatywny dla projektów zjednoczeniowych uważamy referaty S. Cioska z dnia 5. X na naradzie kierowniczego aktywu studenckiego ZSP, ZMS i ZMW, oraz z dnia 7. X na posiedzeniu Rady Naczelnej ZSP. Całość rozważań prowadzi nas do przekonania o słuszności następującej tezy:

Projekty zjednoczeniowe wobec organizacyjnego ruchu młodzieżowego grożą pogłębieniem dezintegracji środowiska studenckiego.

I. O zadaniach programowych

Punktem wyjścia do formułowania zadań programowych wynikających z postulatu dążenia do integracji społeczności akade-

mickiej, a co za tym idzie do proponowania modelu ruchu młodzieżowego, który byłby w stanie realizować te zadania jest omówienie pewnych cech charakteryzujących społeczność studencką.

Podstawową cechą tego środowiska jest niejednorodność wynikająca stąd, że studenci rekrutują się z różnych warstw i środowisk społecznych. Wyraża się ona w różnicach nawyków, aspiracji, uznawanych wzorców kulturowych i stylu życia. Na to wszystko nakłada się szereg okoliczności, które naszym zdaniem stanowią dalsze przesłanki rozważań o integracji. A oto te okoliczności:

— Wspólne wyodrębnione miejsce w społeczeństwie, wynikające z jednej strony z niezależności od większości struktur społeczeństwa „wytwórców dóbr”, z drugiej zaś perspektywy „bycia przeszłością” w świetle tzw. rewolucji naukowo-technicznej. Intensywna nauka — czynność kreująca środowisko studenckie — jest gwarantem tej przyszłościowej perspektywy.

Szczególna waga problemów określanych jako socjalno-bytowe, co wynika z braku stabilizacji materialnej, przy czym większość tych problemów jest wspólna dla dużej części społeczności akademickiej.

Zadania integracyjne związane z powyższymi faktami prowadzą do konieczności *reprezentacji środowiska na zewnątrz* oraz *obrony jego interesów ekonomicznych*.

— Bardzo ściśle uzależnienie warunków życia i pracy studenta od sprawności działania struktury administracyjnej. Wszelkie nawet, niewielkie uchybienia w jej działaniu spowodowane formalizmem, niekompetencją i biurokracją są bezpośrednio odczuwalne przez środowisko i stwarzają możliwość zakłócenia normalnego toku pracy studentów.

Sytuacja ta stwarza potrzebę pełnienia *funkcji kontrolnych* wobec administracji, a także utworzenia funkcjonalnego *systemu współzarządzania*.

— Studia to nie tylko czas kształcenia, to także okres kształtowania się dojrzałych postaw, oraz określania swych poglądów na zjawiska i problemy społeczne.

— charakterystyczna prężność środowiska przejawiająca się w dużym potencjale twórczym w dziedzinie kultury oraz gotowość do nowatorstwa i nieakceptowania zastanego *status quo*, które w odpowiednich ramach strukturalnych mogą być czynnikiem dynamizującym życie społeczne.

Z przesłanek tych wynika istnienie powszechnie dostępnej *bazy materialnej* dla wszelkich inicjatyw w dziedzinie kultury oraz potrzeba działalności organizacji patronującej takim poczynaniom i popularyzującej je. Wreszcie jasna jest zasadność istnienia orga-

nizacji *ideowo-politycznych* mających wpływać na oblicze środowiska i stwarzać formy udziału w *aktywności poza środowiskiem*.

II. Zarys pewnego modelu

Przedstawione powyżej potrzeby, które musi zaspokajać ruch młodzieżowy wymagają ze względu na swe zróżnicowanie jakościowe dostatecznie adekwatnych i elastycznych rozwiązań organizacyjnych. Poniżej będziemy się starali uzasadnić, że dobrym modelem jest struktura oparta na następujących trzech składnikach:

- samorząd,
- powszechna organizacja studencka,
- organizacja ideowo-polityczna.

Schemat ten nie zaskakuje oryginalnością, bo np. analogiczny złożony z rad robotniczych, związków zawodowych i organizacji politycznych istnieje obecnie w Polsce w zakładach produkcyjnych, zaś inny, zewnętrznie podobny system funkcjonuje na wyższych uczelniach. Krytycyzm wobec tego ostatniego uzasadnia potrzebę szczegółowego opisanie elementów modelu i związków zachodzących między nimi.

1) Samorząd — to kolegialny organ, złożony z przedstawicieli pracowników naukowych i studentów współzarządzający daną jednostką administracyjną uczelni. Jednostką, która zastręga na szczególną uwagę jest, gdy mówimy o samorządzie, wydział (instytut), ponieważ na tym szczeblu winna zapadać większość decyzji dotyczących bezpośrednio studentów i pracowników nauki, w szczególności tych, które odnoszą się do procesu dydaktycznego. Dlatego też dalej, mówiąc o samorządzie, będziemy mieli na myśli organ samorządowy działający na szczeblu wydziału (instytutu). Nie oznacza to jednak, że negujemy konieczność istnienia organizacji samorządowych działających na innych szczeblach. Jednakże wychodząc z założenia, że samorząd może sprawnie i skutecznie działać jedynie wówczas gdy posiada dostateczny zakres kompetencji, uważamy, że potrzeba powołania ciał samorządowych na niższych szczeblach musi wpływać ze specyfiki wydziału (instytutu). Na szczeblu uczelni na pewno powinien istnieć organ samorządowy, jednakże wydaje się to w obecnej sytuacji zbyt abstrakcyjne, aby formułować szczegółowe zasady jego działania.

W skład samorządu na szczeblu wydziału wchodzi, według ustalonego klucza, przedstawiciele pracowników naukowych i studentów wybrani w bezpośrednich wyborach, odpowiednio przez wszystkich studentów i wszystkich pracowników. Samorząd

ze swego grona wybiera przewodniczącego, którego funkcja zbliżona byłaby do dzisiejszej roli prodziekana do spraw studenckich, co określa w zarysie zakres kompetencji opisywanego organu. Część decyzji bieżących przewodniczący powinien podejmować samodzielnie, jednakże należy prawnie zabezpieczyć to, by w istotnych sprawach decydowano kolegialnie.

Oprócz właściwego samorządu, który ze względu na funkcjonalność nie może być zbyt liczny (5-7 osób), konieczne jest istnienie społecznych komisji problemowych otwartych dla wszystkich zainteresowanych, które przygotowują materiały dla pracy samorządu i projekty decyzji. Wymieńmy tu np. komisje stypendialne i zasiłkowe.

Naczelną zasadą działania samorządu powinna być otwartość posiedzeń, od której mogą być czynione odstępstwa jedynie w wypadku rozpatrywania spraw personalnych.

Należy podkreślić, że samorząd nie może być bezpośrednio zależny od żadnych organizacji społecznych i politycznych. Działając na mocy aktów prawnych posiadając kompetencje określone odpowiednimi przepisami. Wywieraniem wpływów na kształt tych przepisów, oraz zabezpieczeniem materialnym i pomocą organizacyjną służyć winny organizacje społeczne, w pierwszym rzędzie związek zawodowy pracowników i powszechna organizacja studencka. W szczególności właśnie te organizacje organizują wybory przedstawicieli do samorządu.

2) Zabezpieczenie działalności przedstawicieli studenckich w samorządzie jest pierwszym głównym zadaniem organizacji powszechnej. Instancje tej organizacji nie biorą bezpośrednio udziału we współzarządzaniu daną jednostką administracyjną uczelni, a jedynie uzgadniają postulaty studenckie i przekazują je organom samorządowym. Ponadto instancje te sprawiają pośrednią kontrolę nad studenckimi przedstawicielami w samorządzie, oceniają ich działalność, a w wypadku złej pracy tych przedstawicieli mają prawo zorganizować nowe wybory. Należy zaznaczyć, że w funkcji sprawowania kontroli nad pracą samorządu dana organizacja bierze pod uwagę postulaty i oceny studentów, wnioski płynące od niższych ogniw i od organizacji politycznych, natomiast nie musi się kierować decyzjami swych instancji wyższych. Zasada ta umożliwi skuteczną obronę interesów środowiska i większą drożność kanałów przepływu informacji „z dołu do góry” wewnątrz organizacji.

Drugim zadaniem organizacji powszechnej, związanym ściśle z poprzednim, jest reprezentowanie interesów środowiska na zewnątrz.

Następna funkcja polega na stwarzaniu ram umożliwiających działalność społeczną wszystkim studentom i inspirowanie do

podejmowania takiej działalności. Chodzi tu między innymi o udostępnianie wszystkim możliwości współuczestnictwa w ruchu artystycznym, rozwijanie masowej turystyki studenckiej, wzbogacenie form wypoczynku i rozrywki, wreszcie opiekowanie się ruchem naukowym studentów. Jedynie powszechna i otwarta organizacja może rzetelnie spełniać te funkcje.

3) Wpływ na kształt oblicza środowiska, to główne zadanie organizacji ideowo-politycznych. Funkcje swe te organizacje reaku, a nie na mocy formalnych uprawnień w stosunku do samorządu, organizacji powszechnej, czy administracji. W szczególności organizacje ideowo-polityczne są miejscem wypracowywania form i zadań aktywności dla innych struktur studenckich. Ich członkowie powinni brać udział w pracach innych struktur zapewniając w ten sposób stałą, naturalną łączność organizacji z problemami studentów. Tak określone miejsce organizacji ideowo-politycznej w środowisku umożliwi im odgrywanie roli pomostu między społecznością studencką, a całym społeczeństwem. Ażeby spełniać to zadanie, muszą one stwarzać możliwości dla autentycznego uczestnictwa studentów w życiu politycznym i być forum dla precyzacji miejsca i zdań młodej inteligencji w kraju.

Poprzez rozwój tych form działalności, organizacje ideowo-polityczne stają się elementem dynamizującym opisaną strukturę ruchu młodzieżowego.

Zatrzymajmy uwagę na wychowawczych aspektach opisywanego modelu. Jego główną zaletą jest dostosowanie do *podmiotowych form wychowania*.

Dzięki samorządowi rozwijać się może inicjatywa, odpowiedzialność, gospodarność i samodzielność. Pełna zależność od środowiska stwarza szansę kształtowania elastycznych metod działania bez formalizmu i biurokracji, co pociąga oczywiste skutki wychowawcze.

Kompetencje organizacji powszechnej i względnie duża niezależność poszczególnych szczebli prowadzących do pogłębienia znajomości spraw środowiska wykształca postawy obywatelskie, poprzez zasady partnerstwa wobec władz i pracowników naukowych. Wielość możliwości społecznego zaangażowania dostępnych dla każdego, przygotowuje do podejmowania pracy społecznej w przyszłych miejscach zatrudnienia i staje się środkiem generalnego eliminowania tak powszechnie krytykowanej znieczulicy.

Organizacje ideowo-polityczne spełniają funkcje wychowawcze w inny sposób wobec swych członków, a w inny wobec całego środowiska. To ostatnie polega, po pierwsze, na dawaniu przykładu postaw i czynów uznawanych za pozytywne, co wywiera określoną presję moralną. Dalej idąc, zwróćmy uwagę na to, że organizacje te będąc zmuszone do aktywnej działalności na

szczeblu najniższym, ułatwiają każdemu autentyczne samookreślenie i precyzję poglądów. Ponadto, ze względu na swą łączność z życiem pozauczelnianym, organizacje te mogą przełamywać izolację społeczności studenckiej w stosunku do spraw i problemów innych środowisk.

Uzyskanie autentycznego, szerokiego wpływu na oblicze środowiska studenckiego wymaga od organizacji wysokiego poziomu ideowego, oraz oparcia działalności na uznawaniu za własne wszystkich problemów środowiska, a także zasad pozytywnej selekcji w procesie awansu organizacyjnego. O wewnętrznej roli wychowawczej organizacji stanowi również to, że jej pozycja w ruchu młodzieżowym będzie powodować tendencję do integracji członków wobec wspólnych wartości.

Ostatecznie więc można stwierdzić, że opisywany model może stworzyć przesłanki do przezwyciężenia społecznych barier rozwoju osobowości, oraz dla eliminacji dwulicowości i zakłamania w życiu codziennym.

III. Konfrontacje z rzeczywistością

Przejdźmy do naszkicowania kilku uwag o tych wyróżnikach sytuacji obecnej, które wydają się ważne w świetle opisanego wyżej modelu.

Zewnętrzna znajomość sytuacji ruchu młodzieżowego mogłaby skłaniać do przekonania, że jego charakter i struktura odpowiadają w dużej mierze wizji opisanej poprzednio. Istnieją przecież organy samorządowe — Rady d/s młodzieży, istnieje i rozwija się ZSP, powszechna organizacja będąca na mocy statutu „powołaną do reprezentacji i obrony interesów studentów w Polsce”, działają wreszcie organizacje ideowo-polityczne ZMS i ZMW operujące również daleko poza środowiskiem akademickim.

W rzeczywistości jednak ta zgodność z naszą wizją modelową jest formalna. Spełnienie funkcji integracyjnych w opisanym na początku sensie tego słowa jest utrudniane, w niektórych wypadkach uniemożliwiane przez co najmniej takie okoliczności, jak:

- fikcyjność, a więc właściwie brak samorządu,
- brak precyzacji i rozdziału kompetencji poszczególnych organizacji,
- nikłość form wychowania podmiotowego (samowychowania).

Jasne jest, że uzasadnienie tych zarzutów wiązać się musi z analizą całości kształtu struktury szkolnictwa wyższego. Nie robiąc tego, w sposób ogólny wspomnijmy tylko o charakterze przeprowadzonych po 1968 roku zmian ustawowych dotyczących

szkół wyższych, będących podstawą prawną obecnej struktury samorządowej. Otóż zmiany te zredukowały wpływ ciał kolegialnych uczelni na bieg spraw. Prawo decyzji należy do rektora, dziekana, dyrektora instytutu, mianowanych odgórnie, którzy mogą, ale nie muszą zasięgać opinii pracowników nauki i studentów. Zrozumiały się staję wobec tego fakt, że Rady d/s młodzieży są ciałem doradczym kierownika danego szczebla i nie posiadają żadnych uprawnień wykonawczych. Już to okazuje fikcyjność tego typu samorządu. Ponadto w radach tych reprezentują młodzież nie przedstawiciele wybrani w powszechnych wyborach, ale oddelegowani członkowie z każdej organizacji. Ponieważ w tych ostatnich istnieje zależność od instancji wyższych, więc trudność spełniania funkcji naprawdę samorządowych zostałaby nawet gdyby zwiększyć uprawnienia tych rad.

Sytuacja, w której wszystkie organizacje młodzieżowe są traktowane przez administrację jako reprezentantki środowiska prowadzi do tzw. sporów kompetencyjnych. Polegają one na tym, że każda z organizacji dąży do tego, by to właśnie jej głos został uwzględniony przez władze przy podejmowaniu decyzji. Jakkolwiek absurdalna mogłaby się wydawać sytuacja, w której ideowo-polityczne organizacje skupiające jedynie część środowiska pretendują do reprezentowania ogółu studentów na równi z organizacją powszechną, jest ten stan wynikiem kryzysu ideowych form działania ZMS i ZSW. Zanik autentyczności życia ideologicznego tych organizacji z ostatnich lat zmusił je do zajęcia się sprawami „ogólnostudenckimi”, bez przestrzegania jakiegokolwiek podziału kompetencji, co doprowadziło do tarć między aparatami organizacji. Ambicją każdego z nich było uzyskanie większej aprobaty i przewagi, przy czym nie chodziło tu o aprobatę środowiska, ale władz uczelni i spoza uczelni.

Opisane uniezależnienie roli ZMS i ZMW w strukturze uczelni od siły ideowej i zakresu wpływu ideologicznego, na studentów spowodowało brak zainteresowania działalnością wychowawczą.

Zaznaczmy na koniec, że rozwój wychowania podmiotowego powinien przebiegać wraz z rozwojem przedmiotowego wykształcenia, a to wymaga bardzo daleko idących zmian w strukturze szkół wyższych.

◆
Spróbujmy wreszcie zastanowić się nad tym, jakie powinny być kierunki zmian, aby wychodząc z aktualnej sytuacji ułatwić realizację celów integracyjnych. Dotychczasowe rozważania usprawiedliwiają jak się zdaje, następującą propozycję.

Po pierwsze rozwój struktury i uprawnień samorządu, któ-

rego rolę będzie wyznaczał zakres nadanych mu kompetencji. Uważamy, że rozwój ten powinien przebiegać od dołu, tzn. najpierw należy stworzyć samorządy na wydziałach, a w trakcie ich działania opracowywałoby się zapewne przesłanki rozszerzenia struktury samorządnościowej na szczebel uczelni.

Po drugie, zmiany w ZSP polegające na odformalizowaniu metod pracy, zwiększeniu autonomii niższych instancji i stworzeniu realnych form możliwości kontroli działania organów Zrzeszenia przez wszystkich członków.

Po trzecie, wzrost pewnej niezależności organizacji studenckich od administracji uczelni.

Po czwarte, w celu rozdzielenia kompetencji uznanie ZSP za jedyne reprezentanta ogółu studentów.

I wreszcie niezbędna jest zmiana zakresu działań i kryteriów oceny organizacji ideowo-politycznych. Ich rola w środowisku powinna być odzwierciedleniem autentycznej działalności na niższych szczeblach, nie zaś wynikać z formalnych uprawnień.

Oczywiste jest poza tym, że szczegółowsze propozycje wynikają bezpośrednio z modelowego opisu z rozdziału I.

IV. Niebezpieczeństwo zjednoczenia

Przedstawieniu projektu zjednoczenia organizacji młodzieżowych w szkołach wyższych i utworzeniu jednej masowej ideowo-politycznej organizacji o nazwie Socjalistyczny Związek Studentów Polskich nie towarzyszy żadna próba argumentacji, że zmiany te pozwolą lepiej wykonywać zadania ruchu studenckiego.

My sądzimy, że zrealizowanie tego projektu na pewno nie zmniejszy dezintegracji środowiska, przeciwnie pogłębi ją. Ażeby to wykazać zauważymy na początek, że projektowany model charakteryzuje się dwoma, naszym zdaniem zasadniczymi cechami. Po pierwsze, powstanie jedna organizacja studencka łącząca w sobie funkcje ideowo-polityczne z funkcjami typu związkowego. Po drugie, część studentów znajdzie się poza ramami tej jedynej organizacji studenckiej ponieważ mają w niej obowiązywać „podwyższone kryteria członkowskie”. W ten sposób społeczność studencka zostanie pozbawiona organizacji powszechnej, reprezentującej jej interesy. Poniżej zwracamy uwagę na najważniejsze konsekwencje tej sytuacji.

A. *Nastąpi podział środowiska na uprzywilejowanych i niezorganizowaną resztę.*

Studenci niezorganizowani nie będą mogli wybierać, kontro-

lować, czy nawet krytykować tych, którzy będą ich jedynymi przedstawicielami. Ponadto będą oni podlegali decyzjom niezależnych od nich organów tej „ideowo-politycznej” organizacji w zakresie opiniowania, dofinansowań na obozy turystyczne i naukowe, udziału w praktykach zagranicznych itp. Dla wielu z tych studentów puste rubryki w ankietach dotyczących pracy społecznej nie będą wynikiem niechęci do takiej pracy lecz wad struktury, w której się nie znaleźli. Dyskryminacja studentów niezorganizowanych polegać będzie również na ich gorszej sytuacji w stosunku do kolegów z organizacji w wypadku brania opinii od SZSP, które decydują często o istotnych sprawach.

Ujmując zjawisko ogólniej, zwiększanie uprawnień ruchu studenckiego w stosunku do administracji zamiast być czynnikiem integrującym środowisko poprzez rozszerzenie zakresu wspólnych decyzji, stanie się przyczyną pogłębienia omawianego podziału wśród studentów.

Zwróćmy jeszcze uwagę na dwie sprawy, które dotyczą w zupełności namacalny sposób każdego studenta. Pierwszą z nich jest kwestia zaliczania stażu organizacyjnego jako stażu związkowego, co dotychczas ma miejsce w odniesieniu do członków ZSP. Jeszcze więcej wątpliwości budzi problem członkostwa w Międzynarodowym Związku Studentów. W tym wypadku nie widać żadnych przesłanek tego aby członkostwo takie przyznać wszystkim studentom, ponieważ udział w MZS mają narodowe związki studentów. W ten sposób studenci niezorganizowani będą pozbawieni olbrzymich udogodnień w turystyce zagranicznej, jak np. 50 % zniżki cen biletów kolejowych, zniżki opłat w niektórych domach noclegowych, bezpłatny wstęp do pewnych muzeów czy nawet prawo wstępu do klubów studenckich.

B. Wystąpią zakłócenia w pełnieniu funkcji reprezentacji i obrony interesów środowiska.

Nie jest dobrym rozwiązaniem łączenie w jednej organizacji funkcji ideowo-politycznych. Wynika to nie z prostej sprzeczności tych funkcji, ale z innego typu relacji wymaganych pomiędzy poszczególnymi szczeblami organizacji ideowo-politycznej z jednej i organizacji typu związków zawodowych z drugiej strony oraz innego stopnia zależności od administracji i władz politycznych, wymaganego dla obu tych struktur.

Istnieje więc uzasadniona obawa, że SZSP nie będzie egzekwować obowiązków administracji w stosunku do studentów lecz stanie się instrumentem manipulacji, działającym dla potrzeb tejże administracji. SZSP nie będzie w stanie, w warunkach wielości i jakości konfliktów istniejących w środowiskach akademickich,

spełniać roli silnego partnera administracji, zdolnego sprawnie i szybko likwidować napięcie wynikłe ze zmian sytuacji studentów czy też wprost z naruszenia ich uprawnień.

C. Niemożliwe będzie skuteczne funkcjonowanie samorządów.

Proponując powstanie SZSP mówi się o tym, że dziś w środowisku studenckim samorząd nie istnieje, ale w przyszłości istnieć będzie. Zauważmy, że nieporozumieniem jest sądzić, że może reprezentować środowisko na zewnątrz czy też zabezpieczać samemu swe uprawnienia organizacja „ideowo-polityczna”. Po zjednoczeniu studenckim zapleczem organizacyjnym samorządu może być tylko SZSP. Biorąc pod uwagę omawiane zakłócenie zdolności reprezentowania interesów całego środowiska i inne wady strukturalne SZSP, można wątpić czy organizacja ta zdoła zabezpieczyć warunki prawidłowego funkcjonowania samorządu.

D. Niepokoją skutki wychowawcze projektowanego zjednoczenia.

Sytuacja, w której przynależność do organizacji ideowo-politycznej jest połączona z pewnymi profitami ekonomicznymi i uprzywilejowaniem w strukturze akademickiej jest wysoce niemoralna. W takich warunkach dla ludzi ideowych akt wstąpienia do tej organizacji może zostać zdyskredytowany istnieniem tych przywilejów, natomiast dla wielu chęć uzyskania ich będzie właśnie powodem wstąpienia.

Jest naturalne, że dla realizacji przedłożonego zadania struktura wykształca narzędzia zapewniające najbardziej widoczne efekty. Tym narzędziem w stosunku do zadania „kształtowania właściwych postaw politycznych” może stać się presja wynikła z uprawnień SZSP. Perspektywa utraty jedyne forum działalności społecznej, lub przywilejów materialnych może skutecznie eliminować przejawy krytycyzmu, zwiększyć zakres obłudy w życiu codziennym i strach przed wychyleniem się. Wszystko to pogłębi atomizację środowiska, utrudniając i tak niełatwe w świecie współczesnym kontakty między ludźmi.

E. Proces powstawania SZSP prowadzi do oderwania się od mas studenckich.

Projekt powstania SZSP jest wynikiem ugody aparatów trzech organizacji młodzieżowych; ma być on rozwiązaniem sporu o kompetencje i miejsce na uczelni. Spór ten nie angażował ogółu studentów nic więc dziwnego, że pogłoski o zjednoczeniu zaskoczyły ich. Co więcej, każdy kto zna środowisko, wie że studenci odnoszą się w większości co najmniej nieufnie do projektu.

Z drugiej strony brak definitywnych ustaleń wraz z panującym jednocześnie przekonaniem o nieuchronności zjednoczenia,

doprowadził wśród działaczy młodzieżowych do przyjmowania postaw asekuranckich mających być punktem wyjścia do dalszej kariery. Z tym wszystkim łączy się polityka sterowania dyskusjami, wytłumienia oddolnych głosów krytyki, skrywanie sprawy przed opinią publiczną. Polityka ta robiona poprzez naciski administracyjne i zakazy organizacyjne może być zilustrowana choćby przez odmowę przeprowadzenia jakiegokolwiek szerszej akcji ankietowej. Jednocześnie atmosferę kształtują coraz wyraźniejsze próby stwarzania faktów dokonanych. Wyraża się to w tzw. porozumieniach międzyorganizacyjnych, próbujących stworzyć wrażenie, że Uczelniany Komitet Współpracy Organizacji Młodzieżowych jest najwyższą instancją ruchu młodzieżowego na uczelni i dlatego na niższych szczeblach legalne są tylko te działania, które mają jednoczesną aprobatę wszystkich trzech organizacji.

Cała ta sytuacja potwierdza, że mające nadejść zjednoczenie polega na połączeniu aparatów istniejących organizacji wbrew woli większości studentów. Wynika stąd, że wchodząc na drogę zjednoczenia aparat odcina się od środowiska studenckiego. Nowy aparat będzie więc zawdzięczał swoje powstanie od sił spoza środowiska i będzie od nich uzależniony. Zależność ta będzie coraz silniejsza w miarę wdrażania polityki zjednoczeniowej wbrew niechęci studentów. Zauważmy, że w miarę postępowania alienacji aparatu, na kształt organizacji w coraz większym stopniu wpływają wewnętrzne tarcia, które z kolei przejawiają się w walkach personalnych. W konsekwencji wpływ członków na całość organizacji zmniejszy się w porównaniu z obecną sytuacją w ZSP. Reprezentowanie bazy społecznej organizacji stawać się będzie w coraz większej mierze fikcją. Nie oznacza to oczywiście, że nowy związek nie będzie się zajmował zaspokajaniem potrzeb studentów, ale wybór w wypadku konfliktu między interesami studentów, a polityką władz będzie z góry przesądzony.



Wreszcie zauważmy, że rozgoryczenie studentów jest wzmacniane przez natężenie obecnych napięć wynikłych z niezaspokojenia potrzeb bytowych a szczególności dobrze znanych kłopotów z zatrudnieniem, stypendiami, mieszkaniami itp. Do tego dochodzi fakt, że możliwość wprowadzenia zjednoczenia traktowana jest jako zaprzeczenie tendencji polityki pogrudniowej, rozumianej jako zwiększanie roli związków zawodowych i ich niezależności, a także dążność do sytuacji, w której przynależność do organizacji politycznej nie wiąże się z przywilejami.

Biorąc to wszystko pod uwagę, obawiamy się, że urzeczywistnienie obecnie projektu zjednoczenia będzie jedynie formalnym

sukcesem aparatów. Pociągnię to za sobą nieobliczalne straty wychowawcze.

Młodzież, a w konsekwencji całe społeczeństwo, może drogo zapłacić za dzisiejsze błędy.

Warszawa, 6. X. 1972

Konrad BIELIŃSKI,
Stanisław KRAJEWSKI,
Jacek STRZEMIECZNY

Wobec Zjednoczenia

(propozycja strategii)

1) Opis (bynajmniej nie kompletny).

Już od zeszłego roku krążą pogłoski o tym, że odnośne władze pracują nad kwestią zjednoczenia organizacji młodzieżowych. Pozostając w zasadzie nieoficjalnymi, plotki te nasilały się stopniowo osiągając ostatnio status prawdziwości. Podajmy pewne plotki ilustrujące ten proces. Początkowo na łamach organu studium dziennikarskiego UW *Merkuriusz* ukazały się luźne wypowiedzi, agitujące za zjednoczeniem. Już na wiosnę 1971 roku odbyły się w niektórych szkołach zebrania, na których działacze ZMS średniego szczebla zapowiadali rychłe połączenie wszystkich organizacji młodzieżowych włączając w to nawet harcerstwo. To ostatnie zostało zdementowane przez S. Olszowskiego podczas tzw. Trybuny Obywatelskiej. Ponadto samo zjednoczenie zostało określone jako niepewne a w każdym razie odległe. Wzmianki komentowane jako zapowiedź zjednoczenia zostały poczynione na VI Zjeździe PZPR w grudniu 1971 roku. W styczniu 1972 roku na spotkaniu z aktywnym UW, przewodniczący Rady Naczelnej ZSPS. Ciosek ujawnił, że dyskutuje się nad dwoma koncepcjami zjednoczenia:

- szerszą: wszystkie organizacje młodzieżowe w skali ogólnopolskiej,
- węższą: stworzenia powszechnej, jednolitej, ideowo-politycznej organizacji studenckiej.

Kolega Ciosek nie sprecyzował jednak bliżej, kto dostąpił zaszczytu brania udziału w dyskusji, my jednak możemy zapew-

nić, że łaska ta nie spłynęła na studentów. Zapewne w myśl hasła: studenci do nauki — działacze za was myślą.

Aura tajemniczości towarzyszy sprawie zjednoczenia po dziś dzień. Temat ten jest jednym z licznych tabu naszej prasy, w tym także prasy studenckiej. Co prawda uważny czytelnik mógł wy-czytać, w którymś z wiosennych numerów *ITD* wzmiankę o go-rącym poparciu wyrażonym przez delegatów uczelni warszawskich dla idei zjednoczenia, ale nie zmienia to faktu, że opinii publicznej nie powierzono, nie tylko dyskusji, ale nawet informacji, o rozwoju sytuacji. Poza tym wzmianka ta była po prostu fałszywa. Umieszczenie jej, oraz inne fakty związane z kolejnym narastaniem i opadaniem fali pogłosek, świadczyły o przetargach trwających w ciszy gabinetów. Wraz z cichnięciem pogłosek, nie-ktorzy działacze niższych szczebli ZSP wierzyli, że zachowując milczenie nie wywołują wilka z lasu. Rzeczywistość jednakże znowu pokazała, że milczeniem i biernością nie zapobiega się niepożądanym zjawiskom. Po prostu traci się na nie wszelki wpływ.

Wraz z początkiem bieżącego roku akademickiego studenci pierwszego roku na oficjalnych spotkaniach z przedstawicielami RU ZSP UW dowiedzieli się, że powstanie Socjalistycznego Związku Studentów Polskich należy uważać za pewne.

Tak oto wyżej wspomniana koncepcja zwyciężyła.

A przecież żaden kompetentny organ nie ogłosił jeszcze żad-nych decyzji. Za to na listopad zapowiedziano Plenum KC PZPR poświęcone sprawom młodzieży. Można spodziewać się, że uchwa-li ono odpowiednie wytyczne, których jedyną realizacją zajmą się zapewne zjazdy trzech organizacji przewidziane na po-czątek przyszłego roku. Wspomnijmy tu na marginesie, że Ple-num KC w sprawie młodzieży Gierka zapowiedział już po kato-wickim zlocie młodzieży w lipcu 1971 roku.

W ten sposób władze chcą nas postawić przed faktem doko-nanym, traktując młode pokolenie jako bezwolny przedmiot ma-nipulacji.

Przedstawione powyżej fakty pokazują, że zjednoczenie trak-towane jest jako wewnętrzna sprawa aparatu władzy. Ale prze-cież skutki *zjednoczenia dotyczą nas wszystkich*.

Dlatego też w dalszym ciągu zajmujemy się próbą zrozumienia przyczyn opisanego procesu. W następnej części spróbujemy prze-widzieć następstwa przewidywanych zmian i ocenić je z punktu widzenia potrzeb i interesów zwykłego studenta. W oparciu o to sformułujemy w części końcowej minimalne postulaty niezbędne zdaniem do zapobieżenia złu.

2) *Analiza* (całkiem niezupełna)

Przypomnijmy najpierw, że w latach czterdziestych było wiele organizacji tak na uczelniach jak i poza nimi, zaś stworzenie jed-nego scentralizowanego ZMP przypada na początek okresu „błę-dów i wypaczeń” (1948 r.). W 1950 r. powstało ZSP mające charakter związków zawodowych. Odnowa w 1956 r. zmiatając ZMP doprowadziła do powstania kilku organizacji młodzieżo-wych, z których w toku popaździernikowej normalizacji utwo-rzono ZMS i ZMW (1957 r.).

Wypada obecnie zastanowić się, dlaczego okres pogrudniowy stworzył tendencje zjednoczeniowe. Widać, że wyczerpująca ana-liza wymagałaby badań i dyskusji naukowych, które są obecnie nie do zrealizowania. Uczynimy jednak pewne uwagi dotyczące aktualnego stanu wpływów istniejących organizacji i zaangażowa-nia młodzieży studenckiej, a także zmian tego stanu w obliczu przesilen z ostatnich lat. Sytuacja ta znana jest w wypadku UW, ale nie widać powodów, by uczelnia ta różniła się zasadniczo od innych.

Niesposób charakteryzować tej sytuacji bez spojrzenia w prze-szłość. Naturalnym progiem w działalności ZSP i ZMS były wy-darzenia marcowe 1968 roku. Dla ZMS stały się one końcem wewnętrznych sporów ideologicznych i politycznych, a konsolida-cja osiągnięta przez wyeliminowanie „wroga” zlikwidowała reszt-ki autentyzmu. Objawy rozkładu, który objął obie organizacje związane są kryzysową sytuacją w skali całego kraju. Głębsza analiza wykracza poza niniejsze rozważania, podkreślmy tylko, że naturalną reakcją na represje i związaną z walką polityczną niezdrową atmosferą społeczną, przejawiającą się np. w „polowa-niach na czarownice” był marazm środowiska studenckiego. Oczy-wiście w tej sytuacji działalność organizacji musi się zamykać w formalnych pozorach, a w najlepszym razie ograniczać się do „małego pozytywizmu”.

Nie jest rzeczą dziwną, że polityczny, i ideologiczny w za-sadzie, kryzys w mniejszym stopniu objął organizację typu zwią-zków zawodowych jaką jest ZSP. Obiektywne potrzeby środowis-ka nie straciły przecież na aktualności, przeciwnie sytuacja byto-wa studentów uległa pogorszeniu.

Katastrofa grudniowa, stawiając na porządku dnia sprawy ekonomiczne, warunki bytowe i rolę związków zawodowych, stworzyła atmosferę sprzyjającą rozwojowi ZSP. Dysproporcja między aktywnością ZSP i ZMS powiększała się ciągle. Przyczy-ną jest, po pierwsze, fakt, że po bankructwie ZMS właśnie ZSP zaczęła coraz bardziej skupiać aktywne społecznie jednostki. Po

drugie zaś względnie luźne ramy organizacyjne pozwalały komórkom wydziałowym ZSP na do pewnego stopnia niezależną działalność (ograniczoną oczywiście odpowiednio przez panujące realia). Ci, którzy bywali na konferencjach uczelnianych ZSP na UW w okresie pogrudniowym, wiedzą jak bardzo różniły się one atmosferą od dawniejszych.

Opisane powyżej zjawiska nie uzyskały widocznie aprobaty. Chęć ich zahamowania wydaje się być *pierwszą* główną przyczyną wprowadzenia jedności w ruchu młodzieżowym. Jest to ponowna próba nagięcia rzeczywistości do koncepcji totalnego zorganizowania młodzieży wokół władzy.

3) *O c e n a* (oczywiście subiektywna)

W tym miejscu chcielibyśmy podkreślić, że tendencji zjednoczeniowych nie potępiamy *a priori*; mogą być one pozytywne, gdy wynikają z pewnych rzeczywistych potrzeb bazy społecznej organizacji, będących kandydatami do zjednoczenia. Rozpatrując te potrzeby konsekwentnie, z punktu widzenia zwykłego studenta, a nie działacza młodzieżowego, bądź przedstawiciela władzy, spróbujmy zastanowić się nad celami, które winna realizować organizacja masowa, działająca w środowisku studenckim. Uwzględnimy przy tym te momenty, które wydają się najważniejsze dla kształtowania codziennej atmosfery i dla kierunku rozwoju świadomości studenta.

Uważamy więc, że ocenę powszechnej organizacji młodzieżowej należy przeprowadzić mając na względzie następujące okoliczności:

- 1) stopień dostępności świadczeń socjalno-bytowych, kulturalnych, turystycznych itd. dla członków środowiska, w którym organizacja działa, poza tym poziom, jakość tych świadczeń;
- 2) zakres realnego wpływu członków na kształt organizacji i skuteczność obrony interesów tego środowiska;
- 3) siła przeciwdziałania atomizacji tego środowiska;
- 4) rodzaj treści ideowych i wychowawczych przekazywanych członkom; rodzaj upowszechnianych postaw oraz cechy sprzyjające awansowi organizacyjnemu.

Rozważania, które przeprowadzimy w świetle tych kryteriów, pozwalają według nas na sformułowanie następującej tezy:

Zjednoczenie pogorszy i tak obecnie złą sytuację!

Rozpatrzmy więc kolejno punkty 1-4.

Po pierwsze, zakłada się, że ze względu na podwyższone kryteria przynależności i upolitycznienia organizacji, pewna część

obecnych członków ZSP opuści szeregi nowopowstałego SZSP. Osoby te pozbawione więc będą prawa do świadczeń czynionych przez organizację jak np. różnego rodzaju zniżki, możliwość korzystania z dofinansowania na obozach i innych atrakcyjnych imprezach itd. Poza tym pozostanie na pewno znane zjawisko nagradzania za pracę społeczną (czytaj: działalność w organizacji), opinii organizacyjnych, które bardzo często decydują o przyznaniu nagród, wyjazdów, o uzyskiwaniu lepszych miejsc pracy itd. a zatem dyskryminacja osób spoza organizacji zarysuje się zapewne bardzo wyraźnie. A ponadto im większa będzie niechęć do nowej organizacji, tym większe będą zapewniane przez nią korzyści, mające zachęcić do wstępowania, aby spełnić postulat powszechności.

Po drugie, przypomnijmy, że mające nadejść zjednoczenie polega w istocie na zjednoczeniu aparatów istniejących organizacji wbrew woli większości studentów. Jest to chyba jasne dla każdego, kto ma kontakty w środowisku akademickim. Poza tym pośrednim, ale przekonującym dowodem jest ukrywanie sprawy przed opinią publiczną, brak otwartych dyskusji i badań opinii studenckiej. Jako przykład obawy przed prawdą niech posłuży fakt odmowy zrobienia ankiety wśród studentów UW, pomimo zalecenia Plenum RU ZSP UW. Wynika stąd, że wchodząc na drogę zjednoczenia aparat odcina się od środowiska studenckiego. Nowy aparat będzie więc zależny od sił spoza środowiska, którym zawdzięcza swoje powstanie. Zależność ta będzie coraz silniejsza w miarę wdrażania polityki zjednoczeniowej wbrew niechęci studentów. Zauważmy wreszcie, że w miarę postępowania alienacji aparatu, na kształt organizacji w coraz większym stopniu wpływają wewnętrzne starcia, które z kolei przejawiają się w walkach personalnych. W konsekwencji wpływ członków na całość organizacji zmniejszy się w porównaniu z obecną sytuacją w ZSP. Reprezentowanie interesów bazy społecznej stanie się w dużej mierze fikcją. Nie oznacza to oczywiście, że nowy związek nie będzie się zajmował zaspokajaniem potrzeb studenta, ale wybór w wypadku konfliktu między interesami studentów a polityką władz będzie z góry przesądzony.

Po trzecie, istnienie tej monopolistycznej organizacji jeszcze bardziej pogłębi atomizację środowiska. Dając jedynie dostępne forum działalności publicznej i jednocześnie egzekwując dyscyplinę organizacyjną będzie ona skutecznie eliminowała różnorodność postaw ludzkich i form możliwej aktywności społecznej. Konieczność dostosowania się do obowiązującego schematu zwiększy strach przed wychyleniem się i zakres obłudy w życiu codziennym, co utrudni i tak niełatwe w życiu współczesnym głębsze kontakty między ludźmi.

Jedność będzie koniecznością strukturalną i dopustem bożym. Po czwarte wreszcie, zwróćmy uwagę na fakt zwiększonej alienacji aparatu organizacyjnego. Pociągnie ona za sobą nasilenie, dobrze znanego w naszym życiu społecznym, zjawiska związania awansu organizacyjnego z konformizmem, posłuszeństwem wobec wyższych instancji, umiejętnością angażowania się w układy personalne, taktycznym stosowaniem sloganów politycznych etc. Już to zaciąży zasadniczo na działalności wychowawczej SZSP.

Zastanówmy się jeszcze nad charakterem i zakresem oddziaływania ideologicznego na młodzież w nowej organizacji. Wiara w zwiększenie tego oddziaływania wydaje się być *drugim* głównym powodem zjednoczenia. Mechanizm tej ideologizacji znamy przecież nie od dzisiaj. Polega on na organizowaniu obowiązkowych szkoleń, na których prelegenci nieodmiennie przekonują, że pełna afirmacja i realizacja aktualnych zadań postanowionych przez władze, to jedynie słuszna postawa. Być może przez rozszerzenie zakresu reklamy coca-coli osiąga się wzrost jej spożycia, na pewno jednak zwiększenie grona słuchaczy takich szkoleń nie poszerzy kręgu ludzi ideowych. Zwiększenie frekwencji na szkoleniach poprzez dyscyplinę organizacyjną nie zmienia przecież tego zasadniczego momentu, jakim jest brak przesłanek dla dokonywania świadomych wyborów ideowych. Monopolistyczna pozycja organizacji stworzy dobry grunt dla rozwoju wszelkich form nietolerancji, a w takich warunkach nie ma miejsca na kształtowanie ideowych postaw.

4) Propozycja (wręcz arbitralna)

Każdy, kto zgodzi się z dotychczasową argumentacją, powinien dojść do wniosku, że zjednoczenie jest złem, któremu należy się przeciwstawić — choćby przez odmowę wstąpienia do nowej organizacji. Ale czujemy przecież, że czegoś brakuje w tym wniosku. Nie uwzględniliśmy bowiem kryterium skuteczności.

Zapewne wielu członków aparatu ZSP zgodziłoby się na nasze wywody, przynajmniej w pewnym stopniu. Jak wiemy w *żadnym* stopniu nie wpływa to na wybór ich postawy. Będąc obecnie przekonani o nieuchronności zjednoczenia, stali się oni jego gorącymi zwolennikami. Chcąc pozostać w aparacie *muszą* tak uważać. Żadne argumenty, żadna racjonalna ocena, nawet ewentualne własne poglądy, nie mają wpływu na ich postawę. Racjonalizując swe zachowanie, przedstawiają oni jako jedynie skuteczne i jedynie możliwe następujące stanowiska: należy włączyć się do pracy nad realizacją nieuchronnego zjednoczenia, aby w ten sposób uzyskać wpływ na kształt nowej organizacji oraz móc zapo-

biegać negatywnym skutkom tej doniosłej zmiany w naszym ruchu młodzieżowym. Bezasadność tych nadziei staraliśmy się właśnie wykazać poprzednio. Akceptacja zjednoczenia wyklucza walkę z tym złem, które jest od niego nieodłączne.

Sytuacja działaczy młodzieżowych nie byłaby tak interesująca, gdyby nie fakt, że jest ona analogiczna do sytuacji każdego studenta. Tak jak działacz chce pozostać działaczem, student chce pozostać studentem wraz ze wszystkimi prawami tego stanu. Obawa przed utratą różnych świadczeń i odsunięciem na margines może zasadniczo wpłynąć na wybór dokonywany przez poszczególne studentów, a nawet doprowadzić do analogicznych jak w aparacie racjonalizacji postawy akceptującej zjednoczenie.

W ten sposób każdy student poddany jest ordynarnemu szantażowi!

Jakże głęboko niemoralna jest sytuacja, w której nie ma miejsca na racjonalne oceny, a wybór ideowy sprowadza się do prostego dylematu: pozbawić się elementarnych uprawnień studenckich, czy też zachować je?

Jedyną świadomą wobec szantażu postawą jest zanegowanie go w całości. Likwidacja szantażu polega w tym wypadku na zapewnieniu *każdemu* studentowi prawa do wszystkich świadczeń ekonomicznych, do korzystania z imprez kulturalnych, naukowych i turystycznych, niezależnie od przynależności organizacyjnej. Ponadto musi nastąpić oddzielenie struktury samorządnościowej uczelni i systemu reprezentowania środowiska na zewnątrz od organizacji politycznej jaką ma być ZSP.

Otóż wydaje się, że w istniejących warunkach realizacja tych minimalnych wymogów jest możliwe w wypadku spełnienia następującego postulatu:

ŻĄDAMY NIEZALEŻNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO STUDENTÓW!!!

Jasne jest, że walka o realizację tego żądania jest skuteczną drogą do eliminacji tego zła jakie niesie ze sobą zjednoczenie. Tajnym, odgórnym aktem totalizacji ruchu młodzieżowego wbrew woli studentów przeciwstawiamy strategię oddolnego, jawnego dążenia do rozwoju demokracji. Strategia ta bowiem zakłada rozwój form samorządności, angażowania środowiska w rozwiązywanie jego własnych problemów, w czynną obronę własnych interesów, w walkę z indolencją biurokratyzowanej, nieczułej na studenckie problemy struktury władzy. W ten sposób można osiągnąć sukcesy w integrowaniu środowiska, w kształtowaniu wartościowych postaw wśród jego członków, wpajaniu ideowości nie-deklaratywnej.

Uczyńmy na koniec uwagę na użytek tych, którzy czują związek z realizacją tzw. polityki pogrudniowej. Należać przecież do

niej miało zwiększenie roli związków zawodowych i ich niezależności, a także dążność do sytuacji, w której przynależność do organizacji politycznej nie wiąże się z przywilejami.

Nasze postulaty idą — w przeciwieństwie do nadchodzącego zjednoczenia — w tym właśnie kierunku.

Warszawa, 15. XI. 1972

Konrad BIELIŃSKI,
Stanisław KRAJEWSKI

Autorzy powyższego dokumentu są doktorantami Studium Doktoranckiego Matematyki Polskiej Akademii Nauk. W zeszłym roku ukończyli studia i zgodnie ze statutem ZSP mogą jeszcze przez rok uczestniczyć w pracach organizacji.

Tekst powyższy został wywieszony na Tablicy Ogłoszeń ZSP, Wydziału Matematyki UW, na VII piętrze Pałacu Kultury, jednak na żądanie władz wydziału został z niej po jakimś czasie zdjęty.

Uchwała studentów U.W.

My, studenci Wydziału Matematyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego zgromadziliśmy się na Walnym Zebraniu dnia 8. XII. 1972, aby wyrazić — ukształtowane w wyniku dyskusji na Wydziale — nasze stanowisko wobec projektów zjednoczenia organizacji młodzieżowych w szkołach wyższych.

Budzą nasz niepokój metody lansowania koncepcji zjednoczeniowych: tłumienie głosów krytykujących zjednoczenie, przedstawianie opinii kierownictw organizacji młodzieżowych jako głosu ogółu studentów, brak dyskusji w prasie, stwarzanie wrażenia, że sprawa jest przesądzona.

Obawiamy się, że metody te i wywołany przez nie brak łączności między poszczególnymi środowiskami studenckimi stwarzają niebezpieczeństwo podjęcia decyzji wbrew woli i interesom studentów.

Dlatego stwierdzamy:

Musi istnieć ogólnopolska organizacja wszystkich studentów, mająca charakter związku zawodowego, powołana przede wszystkim w celu:

- reprezentowania i obrony interesów środowiska,
- zaspokajania potrzeb socjalnych i kulturalnych studentów,
- zapewniania każdemu studentowi pola i bazy do działalności społecznej.

Zdecydowanie sprzeciwiamy się każdej próbie odebrania nam prawa do takiej organizacji. Za próbę taką uważamy formowanie projektu zjednoczenia organizacji młodzieżowych na wyższych uczelniach.

Dodatek: Żądamy ogólnostudenckiego referendum w sprawie zjednoczenia po przeprowadzeniu dyskusji na wszystkich uczelniach i wydziałach.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Jak zwykle w końcu stycznia prasa sowiecka opublikowała dane statystyczne o wykonaniu planu za 1972 rok. Tym razem nie było normalnych zwycięskich fanfar. Rok ubiegły przyniósł poważne klęski sowieckiej gospodarce. Dochód narodowy powiększył się jedynie o 4 %, zamiast 6,2 % przewidzianych przez plan, rzeczywisty dochód na głowę, wzrósł o 3,7 %, zamiast 5,2 % według planu. Również wydajność pracy znacznie odbiegała od zaplanowanej.

Jak wiadomo rok ubiegły był specjalnie katastrofalny w gospodarce rolnej. Zły urodzaj zbóż, jeszcze gorszy kartofli i buraka cukrowego.

W 1964 roku taki nieurodzaj spowodował upadek Chruszczowa. Breżniew znalazł znacznie wygodniejsze dla siebie wyjście. Na początku lutego br. gazety podały, o dymisji ministra Gospodarki Wiejskiej, Władimira Mackiewicza, który zajmował to stanowisko z pewnymi przerwami od 1955 roku. Znaczenie tego faktu związane jest jednak nie z dymisją Mackiewicza, a z tym że ministrem Gospodarki Wiejskiej ZSSR został Dimitri Polanski, członek Politbiura, zajmujący stanowisko 1-go zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów. Z jednej strony nominacja Polańskiego świadczy o głębokim kryzysie sowieckiego rolnictwa, z drugiej zaś ilustruje gwałtowną walkę toczącą się na szczytach sowieckich. 56-letni Polański jest jednym z najmłodszych członków Politbiura. Nie wiadomo czy objąwszy stanowisko ministra Gospodarki Wiejskiej zostanie nadal członkiem Politbiura. Ale nie obawiając się być fałszywym prorokiem można z całą stanowczością stwierdzić, że stanowisko na którym go posadzono nie przyniesie mu laurów. Bez zasadniczej zmiany polityki rolnej żadne zmiany na stanowisku ministra nie mogą pomóc.

A tymczasem Breżniew potrafił wyeliminować z walki o władzę niebezpiecznego przeciwnika.

Zdawałoby się, że nie tak dawno, bo w 1966 roku, występując na posiedzeniu sekcji prozy sowieckiego Związku Pisarzy, oceniającej powieść A. Sołżenicyna „Oddział chorych na raka”, Beniamin Kawierin zapewniał, że: „przyszła nowa literatura — ze starą — gadzinową, pełzającą... skończone”. Dziś jest jasne jak przesadnym był optymizm Kawierina. „Gadzinowa literatura” zapełniła strony sowieckich pism literackich, wychodzi w milionowych nakładach.

Już poprzednio pisałem o przykładach tej „literatury” i podkreślałem, że czołowe miejsce zajmują w niej utwory pisane na zamówienie KGB przez byłych współpracowników tej instytucji, aktywnych do dnia dzisiejszego współpracowników „organów”, łączących działalność w „literaturze” z pracą w „organach”. Podkreślałem również, że ci „pisarze” specjalizowali się w ostatnich czasach w pisaniu książek „demaskujących” niektóre podejrzone narodowości Związku Sowieckiego. W pierwszym rzędzie, ma się rozumieć, demaskuje się Żydów, potem idą Gruzini, Ormianie itd.

Tym razem przyszła kolej na Polaków. W miesięczniku *Newa* (nr 12) opublikowano pierwszą księgę (pisarzem sowieckim płaci się od ilości stron) powieści Wasilja Ardamatskiego pt. „Dwie drogi”. Pisarz ten — jak mówią — ma od dawna dostęp do archiwów CZEKA — OGPU — NKWD i wydał niemało dzieł sławiących „bohaterskich czekistów”. To właśnie on napisał powieść o słynnej prowokacji, tj. o Truscie Antysowieckiej Organizacji stworzonej przez OGPU. Z pomocą Trustu zwabiono na terytorium sowieckie Wiktora Sawinkowa.

Akcja nowej powieści Ardamatskiego toczy się w pierwszych latach po rewolucji — w Rosji — na Łotwie — w Polsce (Warszawa) — w Gdańsku i w Berlinie. Głównym bohaterem jest rosyjski emigrant, Siergiej Drużyłowski, który najpierw służy w polskim wywiadzie, a później w niemieckim.

Główne uderzenie autora (jego mocodawców) jest skierowane przeciwko rosyjskiej emigracji. Lecz przy okazji Wasilij Ardamatskij okazuje swoje gwałtownie niechętnie uczucia w stosunku do Polaków. Ciągłe pojawiają się w tej książce uwagi o polskiej krwi, która zawiera specjalnie nieprzyjemne dla autora właściwości. „Jeśli w kimś płynie polska krew, to nie ma znaczenia czy jest jej dużo, czy mało, ważne jest tylko to, że jest i wówczas mamy do czynienia z człowiekiem specjalnego pokroju”. I znowu: „W waszych żyłach płynie polska krew. Przysłuchujcie się jej głosowi jak najczęściej a wszystko będzie dobrze”. Problem krwi musi w ostatnich czasach niezmiernie żywo interesować sowieckie „organy” jeżeli pisarze KGB do problemów rasy i krwi przywiązują tak wielką wagę. Polski wywiad (w książce pojawiają się dawno, zdawałoby się, zapomniane w literaturze sowieckiej terminy: „białopolacy”, „polscy panowie”) werbuje rosyjskich emigrantów do walki z Republiką Sowiecką. To jest wyraźne ostrzeżenie dla dzisiejszych rosyjskich emigrantów: w

szeregach polskiego wywiadu, w szeregach niemieckiego i wśród samych emigrantów jest pełno sowieckich agentów. OGPU czuwa!

W miesięczniku *Oktiabr* (nr 1, 1973) powieść „Zamach” jest podpisana nieznanymi nazwiskami: Anatolij Biezugłow i Jurij Kłarow. Już w pierwszych słowach informują oni dumnie o przynależności do potężnego zastępu pisarzy-czekistów lub czekistów-pisarzy.

„Zamach” jest napisany jeszcze gorzej niż „Dwie drogi” — jeśli to w ogóle możliwe — ale jest tym specjalnie interesujący że dotyczy okresu, o którym już dawno nie pisano w literaturze sowieckiej: połowa lat 30-tych, początek „Jeżowszczyzny”, pierwsze kroki „wielkiego terroru”.

Powieść ta, poświęcona działalności milicji moskiewskiej, ściśle współpracującej z NKWD, rozpoczyna się rozdziałem opisyującym zabójstwo Kirowa. Jak wiadomo, na XX-ym, a potem na XX-im zjeździe Chruszczow przytoczył wiele faktów przekonująco świadczących, że w zabójstwo Kirowa był zamieszany Stalin. W nowej powieści autorzy wracają do starej, przedchruszczowowskiej wersji: zabójstwo Kirowa, był to terrorystyczny akt, dokonany przez opozycję — zinowiewowców i trockistów.

Do niedawna „organy” czekistów chwalono za ich działalność w ochronie państwa przed wrogiem zewnętrznym, za ich bezwzględna walkę z wrogiem poza granicami Związku Sowieckiego. „Zamach” to pierwsza w ostatnich latach książka chwalać NKWD za walkę z wrogiem wewnętrznym. To jakby dyrektwa na dzień dzisiejszy. Nasze nieszczęście — oświadcza w powieści jakiś kompetentny towarzysz, — polega na tym, że „niszczyliśmy wrogów klasy robotniczej z opóźnieniem”. Że wrogów niszczone, temu kompetentny towarzysz nie zaprzecza, ale niszczone ich dopiero od chwili, gdy ujawniali się jako wrogowie — wymienia kontrrewolucyjnych oficerów, mienszewików, eserów, kułaków. Ale towarzysz ten jest przekonany, że wrogów należy niszczyć zawczasu, nim jeszcze się ujawnią, należy niszczyć wrogów potencjalnych. I jakby przewidując zastrzeżenia mięczakowatych współczesnych inteligentów dodaje: „Humanitaryzm to sztuka złożona”. I mimowoli powstaje pytanie, czy w ogóle nam jest potrzebna ta „złożona sztuka”.

Autorzy „Zamachu” z lubością przywracają (do literatury — widocznie z nadzieją przywrócenia ich do życia) takie znakomite słowa jak GUŁAG — Główny Zarząd Łagrów, jak USŁON — Zarząd Sołowieckich Łagrów Specjalnego Przeznaczenia, jak Biełomorkanał, jak „socwredy” — społeczno szkodliwe elementy i wiele innych... Wszystkie te słowa autorzy muszą zaopatrywać odnośnikami. Czytelnicy — młodzi — ich nie znają, ale autorzy są przekonani, że znać je trzeba. To jeszcze nie historia...

Raz jeden tylko pojawia się w „Zamachu” nazwisko Wodza: generalna linia partii pokrywa się z linią stalinowską. Co naturalnie jest najzupełniej słuszne. Ale należy przyznać, że Stalina

jest tu niewiele. Ten brak z nadmiarem wypełnia powieść Aleksandra Czakowskiego pt. „Blokada”.

Aleksandr Czakowski ma w swoim dorobku już z dziesiątek książek. Zajmuje stanowisko naczelnego redaktora *Litieraturnoj Gaziety* i mnóstwo innych w kierownictwie Związku Sowieckich Pisarzy. Szereg ostatnich lat poświęcił stworzeniu monumentalnej (ze względu na ilość stron) powieści o blokadzie Leningradu w okresie wojny. W ostatnim numerze miesięcznika *Znamia* (nr 1, 1973) ogłoszono czwartą księgę tej powieści. Tak szczegółowego i tak apologetycznego opisu działalności Stalina w okresie wojny nie było dotąd w literaturze sowieckiej. Czakowski postawił sobie za cel sprostowanie całej wojennej literatury, stworzonej w okresie „odwilży”. W pierwszym rzędzie „Blokada” ma zretuszować obraz wojny, namalowany przez Konstantina Simonowa w jego powieściach „Żołnierzem nikt się nie rodzi” i „Żywi i martwi”. Powinna również poprawić portret Stalina, przedstawiony przez Simonowa. Simonow pisząc swoje książki w latach 1960-1964 mógł jeszcze mówić o tym, że Stalin w październiku 1941 roku „w krytycznych dniach po upadku Możajjska, polecił zlikwidować wielu z tych, którzy jeszcze siedzieli i których słusznie lub niesłusznie uważał za niebezpiecznych dla siebie w razie wojennej katastrofy. Potem, gdy w lipcu 42-go znów oceniał położenie jako rozpaczliwe, zatelefonował do Berii i polecił mu przygotować jeszcze jeden spis...” Czakowski stwierdza w swej powieści, zgodnie z nowymi tendencjami, że „Stalin w dniach wojny bardzo się różnił od Stalina z okresu przedwojennego”. Stalin jest przedstawiony według starych wzorów jako genialny dowódca, człowiek o żelaznej woli, a jednocześnie subtelnie wyczuwający ból i cierpienia narodu, krótko mówiąc ojciec narodu.

Niewątpliwie, pierwszym przejawem tej „gadzinowej” literatury, którą przedwcześnie chciał pochować Benjamin Kawierin, jest chęć przypodobania się polityce dnia dzisiejszego. Był czas, kiedy było można, wtedy i Czakowski wymyślał na Stalina. Teraz płaci się tym, którzy chwalą mądrego wodza narodów, a więc i Czakowski chwali. Szczególnie charakterystycznym przykładem tej „gadzinowej” literatury są także niedawno wydane w książce wspomnienia Galiny Sieriebriakowej pt. „O innych i o sobie”. W 1967 roku Instytut Literacki w Paryżu wydał pt. „Huragan”, wspomnienia Galiny Sieriebriakowej „Smiercz” o prawie 20-tu latach spędzonych w więzieniach i łagrach. Sieriebriakowa napisała te swoje wspomnienia po ogłoszeniu „Jednego dnia Iwana Denisowicza”, kiedy wydawało się, że można, a co ważniejsze trzeba, pisać prawdę o Stalinie. Ten okres już minął. „Smiercz” był wydany tylko w języku polskim. A w nowych wspomnieniach Galiny Sieriebriakowej nie ma już ani słowa

o aresztowaniach, o więzieniach, obozach. Nie włączyła do swej książki nawet wspomnienia o Borysie Gorbatowie, które było opublikowane w 1963 roku w *Litieraturnoj Rossiji*. Gorbатов przyjechał w 1949 roku do Almy-Aty dowiedział się, że gdzieś w Kazachstanie żyje na zesłaniu Galina Sieriebriakowa i wysłał do niej list z propozycją pomocy. List ten trafił do NKWD i wtedy stworzono sprawę Gorbatowa. W 1963 roku Galina Sieriebriakowa pisała, że „ten nieostrożny, śmiały i dobry uczynek” Gorbatowa „dodał mi wiele sił... utrwalił wiarę w ludzi, a więc w sprawiedliwość i szczęśliwą przyszłość”.

W 1973 roku Sieriebriakowej nie starczyło odwagi, by włączyć ten ustęp o odwadze wykazanej przez człowieka w 1949 roku. Widocznie pisarka żyje już „w szczęśliwej przyszłości” i nic jej już więcej nie potrzeba.

„Gadzinowi” pisarze dobrze wiedzą, że istnieją i pisarze z prawdziwego zdarzenia. Z żywymi autentycznymi pisarzami sprawa jest prosta: nie drukuje się ich. Ze zmarłymi trochę trudniej, no ale i tu znaleziono sposób, starają się ich — według określenia Nadieždy Mandelsztam — „usynowić”. Taka operacja jest obecnie przeprowadzana w stosunku do Osipa Mandelsztama. Co prawda, nie pozwalają jeszcze drukować jego wierszy. Zajął się nimi jeden z najbardziej prawowiernych oficjalnych krytyków, Aleksandr Dymyszyc, i od czasu do czasu pisze o nich interpretując je „tak jak trzeba”.

W kolejnym corocznym zbiorze „Dzień poezji” figuruje i Osip Mandelsztam, ale znów nie jako poeta, ale jako reporter, który zrobił w 1923 roku wywiad z młodym wietnamskim komunistą, odwiedzającym Moskwę. Potem ten komunista stał się głośny pod nazwiskiem Ho Szi-minh. Wywiad ten nie ma nic wspólnego z wielkim poetą Osipem Mandelsztamem. Ale we wstępie, napisanym przez tegoż Dymyszyc, udowadnia się, że Mandelsztam przejawiał żywe zainteresowanie „procesem rozwoju międzynarodowego ruchu rewolucyjnego”. Dymyszyc bardzo chciałby udowodnić, że Osip Mandelsztam był podobny do niego i do innych „gadzinowych” pisarzy.

W dążeniu do „usynowienia” niepodobnych do siebie, sowieccy literaturoznawcy idą i na małe, śmieszne fałszerstwa. Pismo *Woprosy Litieratury* (nr 9, 1972) ogłosiło wybór listów Borysa Pasternaka do różnych adresatów, a w tej liczbie trzy listy do Osipa Mandelsztama. Te ostatnie poddano drobiazgowej i głupiej cenzurze. Pasternak np. pisze w końcu 1924 roku: „Wczoraj u Asiejewa słyszałem znakomity dowcip o tym z czego powstała powódź. Okazuje się, że Newa dowiedziała się, że mają ją nazwać Różą Luksemburg i wystąpiła z brzegów”. Ten żart ma się rozumieć wykreślono. Cenzura wykreśliła również z listów Pasternaka wszystkie pozdrowienia dla żony Mandelsztama, Nadieždy Jakowlewny. Za jej „Wspomnienia” zdecydowano widocznie stworzyć wrażenie, że jej nie ma i nie było.

Wyliczając literackie wydarzenia ostatnich miesięcy nie można nie odnotować wyjątkowego wypadku: wywiadu z sowieckim pisarzem, który pojawił się w *Play-Boy'u* (grudzień 1972). Nie trudno się domyśleć, że wywiadu udzielił Jewgienij Jewtuszenko, którego *Play-Boy* żartobliwie nazwał „krewkim przywódcą rosyjskiej poezji”. Wypowiedzi mistrza, zajmujące siedem z połową bitych stron, sprwadają się do trzech zasadniczych wywodów: ja, Jewgienij Jewtuszenko, poeta, którego w Związku Sowieckim „czytają wszyscy”, jedyny wybitny poeta, dobrze znający świat kapitalistyczny i socjalistyczny. To jest pierwszy wywód. Drugi: Związek Sowiecki — synonim świata socjalistycznego — w ciągu jednego, dwóch pokoleń stanie się narodem intelektualistów, już dzisiaj jest to kraina wolności i on, Jewtuszenko, dziwi się dlaczego niektórzy ludzie za granicą niepokoją się o wolność w Rosji. Jednym z dowodów tej wolności jest fakt, że w Rosji nie ma antysemityzmu. Poeta tłumaczy to tym, że „jest absolutnie niemożliwe być komunistą i antysemitą, są to bowiem dwie wzajemnie wykluczające się pozycje”. Jeśli by kto w to powątpiewał, to Jewtuszenko ma argumenty: przeciw antysemityzmowi występował Lenin, Majakowski i sam Jewtuszenko. Trzeci wywód: Stany Zjednoczone nie są bynajmniej tak kulturalnym, postępowym, wolnym krajem, jak ojczyzna Jewtuszenki. W USA nie czyta się wierszy w telewizji, w USA są obłudni politycy w rodzaju E. McCarthy'ego, który najpierw zgodził się przeczytać z estrady utwór Jewtuszenki, w którym było zdanie: „Gwiżdzy w twoim sztandarze Ameryki — to są dziury od kul”, ale potem rozmyślił się — sowiecki poeta nie może mu tego wybaczyć. Zresztą w zakończeniu Jewtuszenko podkreślił, że i amerykańskie społeczeństwo zmienia się na lepsze, że rodzi się w nim pogarda do pragmatyzmu, do wulgarnego materializmu, do obłudy.

Mimoходом sowiecki poeta wskazał na wspólnego wroga dwóch wielkich narodów: na Chiny, w których — jak wiadomo Jewtuszenko — nie znają Szekspira, Majakowskiego i Beethovena.

W chwili, gdy ukazywał się wywiad w *Play-Boy'u* w Moskwie wyszedł zbiór wierszy poety pt. „Śpiewająca tama”, w którym czołowe miejsce zajmuje poemat „Pod skórą posągu wolności”. W tym poemacie Jewtuszenko bardzo szczegółowo wyklada swoje pretensje do Stanów Zjednoczonych: zamordowanie Martina Luthera Kinga i braci Kennedy, mordowanie Murzynów, Indian, nędzę, policję, brak wolności itd. Poemat ten liczy 56 stron i został już wystawiony przez moskiewski teatr *Na Tagance* (co prawda reżyserowi Ju. Lubimowowi nie dano pozwolenia na podróż do Stanów Zjednoczonych: pojechał tam jedynie znawca dzikiego zachodu, Jewgienij Jewtuszenko). Ponadto Jewtuszenko wydał już drugi tom wierszy „Droga numer jeden”, w którym także wiele miejsca poświęca okropnościom życia na Zachodzie.

A mimo to i niezależnie od zewnętrznych objawów miłości okazywanych mu przez kierownictwo partii i rządu, poeta zaczyna się niepokoić. Niewątpliwie są po temu powody. Od 1962 roku wszystkie książki Jewtuszenki wychodzą w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Parafrazując znane przysłowie, można powiedzieć o sowieckich poetach: powiedział mi w jakich nakładach cię drukują, a powiem ci kim jesteś. Jedynie Andriej Wozniesiński wydawany jest — co prawda tylko od 1966 roku — w 100-tysięcznym nakładzie. Przedostatni tom Jewtuszenki wyszedł w normalnym nakładzie, ale ostatni — „Droga numer jeden” — tylko w 50-tysiącach egzemplarzy. Jest więc powód do niepokoju.

W poprzednim przeglądzie prasy pisałem o listach Anatolia Gładilina i Bułata Okudźawy zamieszczonych w *Litteraturnoj Gaziecie*, w których protestują przeciwko wydawaniu ich książek na Zachodzie. Akcja trwa nadal. 13 grudnia 1972 *Litteraturnaja Gazieta* (nr 50) wydrukowała nowy list Arkadija i Borysa Strugackich, protestujący przeciwko publikowaniu ich fantastycznej powieści „Brzydkie łabędzie” w „antysowieckim wydawnictwie Possev”. Bracia Strugaccy w krótkim liście trzykrotnie powtarzają jedno i to samo: nie podoba się im wydawnictwo, które wydało ich powieść: „kategorycznie protestujemy przeciwko wykorzystywaniu naszej twórczości przez wyżej wymienione wydawnictwo”. Pisarze ani słowem nie mówią o swojej książce, ani słowem nie odżegnują się od „Brzydkich łabędzi”.

Należy przypuszczać, że podobne listy stały się warunkiem możliwości drukowania w wydawnictwach sowieckich. Można by wylizywać na palcach jednej ręki pisarzy, którzy odmówili ich pisania. Można także dyskutować na temat co powinien robić pisarz w Związku Sowieckim, albo np. w Polsce. Ale ja chciałem tu podkreślić co innego: fantastyczna powieść „Brzydkie łabędzie”, napisana w 1967 roku, odrzucona przez wszystkie sowieckie czasopisma i wydawnictwa i wydana na Zachodzie, jest wybitnym wydarzeniem literackim, które pozwala stwierdzić, że rosyjska literatura żyje i dzisiaj, tylko że w ojczyźnie nie chcą jej wydawać.

Nie dawno pisałem w *Kulturze* o dwóch poprzednich książkach Strugackich, o powieściach satyryczno-fantastycznych: „Ślimak na skłonie” i „Bajka o trojce”. „Brzydkie łabędzie” należą do tego samego rodzaju, chociaż jest w nich mniej fantastyki, a satyra jest subtelniejsza. Jest to filozoficzna antyutopia o brzydkich kaczątkach, które jednak nie przekształciły się w piękne łabędzie, które nie spełniły nadziei. Jest to jedna z najbar dziej „dorosłych” książek w rosyjskiej literaturze ostatnich lat, jeśli za cechę dorosłego człowieka należy uważać rezygnację z iluzji.

Akcja powieści toczy się w jakimś dziwnym państwie, na którego ulicach wiszą hasła: „Prezydent — ojcem narodu”, „Armia — nasza groźna sława”, gdzie oficjalni pisarze powtarzają: „Człowiek — to brzmi dumnie”, chociaż tych pisarzy, i nie tylko ich, przez cały czas biją po twarzy. Bohatera tej książki, modnego pisarza Baniewa, wysyłają do odległego prowincjonalnego miasta za to, że w czasie rozmowy z prezydentem, który jednocześnie jest szefem rządzącej partii, demonstracyjnie wytarł sobie policzek, gdy „z uźębionej paszczy prezydenta” bryzgała ślina. Baniew szybko znajduje w mieście wesołe towarzystwo, pije wódkę i rozmyśla: „Dlaczego my wszyscy jesteśmy takimi tchórzami? Czego się właściwie boimy? Boimy się zmian. Nie będzie można pójść do literackiej knajpy i wypić kieliszek czystej... Odźwierny nie będzie się kłaniał... Złe, gdyby do kopalni... To rzeczywiście bardzo złe... No, ale to się zdarza rzadko, to nie te czasy... Zmiękczenie obyczajów. Sto razy o tym myślałem i sto razy dochodziłem do wniosku, że nie ma właściwie powodu do strachu, ale mimo wszystko boję się”.

Nie boją się tylko ci, których naród nazywa „mokrieci”. Żyją oni niedaleko miasta, otoczeni drutem kolczastym, nie jest to jednak żydowskie getto, ale coś w rodzaju między gettem, a miasteczkiem akademickim.

Najważniejszą sceną powieści, jest spotkanie pisarza Baniewa z uczniami. Dzieci odmawiają zaakceptowania jego świata i jego poglądów na przyszłość świata. Marzenia bohaterów Baniewa (i samego pisarza) o społeczeństwie przyszłości: wszyscy są syści, nikt nie traktuje drugiego, jest spokój — dzieciom nie odpowiadają. „Dla was i dla waszych bohaterów taka przyszłość jest w pełni zadowalająca, ale dla nas to cmentarz. Koniec nadziei. Ślepa uliczka... Wymyślaliście na rządy i porządki, jakbyście nie wiedzieli że na lepsze rządy i na lepsze porządki wasze pokolenie... po prostu nie zasługuje”. Na zarzuty Baniewa że są bezlitośni, jeden ze słuchaczy odpowiada: „Wcale nie jesteście bezlitośni... Przecież my bynajmniej nie zamierzamy rozwałać waszego starego świata. Zamierzamy zbudować nowy. To wy jesteście bezlitośni: nie wyobrażacie sobie budowania nowego, bez niszczenia starego”.

W końcu dzieci odchodzą od rodziców, przenoszą się z miasta do „mokrieców”, którzy nauczyli ich myśleć po nowemu, odchodzą, jak niegdyś odeszły za fletem szczurołapa dzieci z Hammeln. „Mokrieci” razem z dziećmi rozpoczynają pokojową ofensywę na stary świat i stary świat się wali — uciekają „sługi narodu, ojcowie narodu” uciekają źli, chciwi, sprzedajni. Dobro zwycięża nad złem.

Niełatwa, miejscami zaszyfrowana, pełna aluzji i symbolów, powieść Strugackich mówi o nowych prądach we współczesnej sowieckiej literaturze i myśli społecznej.

Adam KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

Zmiany personalne

Delikatna sytuacja wytworzyła się wokół obsadzenia stanowiska prezydenta Republiki. Mandat prezydenta wygasa w marcu 1973, a wydaje się mało prawdopodobne, by na następną kadencję wybrano Ludvika Svobode. Ostatnio KC wydał polecenie, by telewizja ograniczyła się do publikowania jedynie bezdźwiękowych sprawozdań z jego licznych podróży po fabrykach i spółdzielniach produkcyjnych, a to głównie dlatego że generał-prezydent, który wykazuje poważne objawy sklerozy starczej, zaczął w jednym ze swych wystąpień mówić o Dubczeku, w sposób nie mogący wywołać zadowolenia w obecnym kierownictwie.

Wysuwane są tu i ówdzie przypuszczenia co do osoby następcy generała. Wśród kandydatów wymieniana się m.in. Jozefa Lenarta, który za czasów Novotnego był premierem a obecnie jest pierwszym sekretarzem partii słowackiej. Kandydatura ta była jednak dość krytykowana. Tak na przykład Viliam Szalgovitz, jeden z głównych reprezentantów tendencji kolaboracyjnych w sierpniu (i po sierpniu) 1968, na zebraniu aktywu partyjnego kraju zachodnio-słowackiego zaproponował na to stanowisko samego Husaka. Z kolei Husak i Bilak nie są tym zachwyceni, jako że obsadzenie najwyższego stanowiska państwowego przez Słowaka mogłoby wywołać opory w Czechach. Wymieniane są więc nazwiska Aloisa Indry (obecnego przewodniczącego parlamentu federalnego) oraz premiera rządu federalnego Lubomira Štrougala.

Ponieważ — jak już stwierdziliśmy — Husak ma wielu zwolenników, którzy chcieliby go widzieć na stanowisku prezydenta Republiki (co oznaczałoby przecież wzmocnienie jego pozycji jako sekretarza generalnego partii), a istnieją przy tym poważne przeszkody i to nie tylko natury narodowościowej — łącznie najwyższych stanowisk partyjnych i państwowych przypominałoby czasy Novotnego sprzed stycznia 1968 — rozważane jest więc wprowadzenie poprawek do konstytucji i powołanie kolektywnej „głowy państwa” według wzorów sowieckich.

Antonín Novotný krytykuje Husaka

Antonín Novotný, który po odwołaniu go ze stanowiska prezydenta Republiki w marcu 1968 zawieszony został w prawach członka partii, jest obecnie znów aktywny i — choć przebywa na emeryturze — bierze udział w pracach jednej z grup komisji rewizyjnej KPCz. Właśnie w związku z pracami wymienionej grupy wystosował on list do prezydium KC, w którym to liście wytyka kierownictwu likwidację tysięcy ofiarnych funkcjonariuszy oraz zastąpienie ich karierowiczami i oportunistami, którzy pragną jedynie czerpać korzyści osobiste z zajmowanych stanowisk. Novotný pisze, że przyczyną obecnego kryzysu gospodarczego jest odrzucenie przez obecne kierownictwo husakowskie reformy gospodarczej z roku 1965. Novotný ostrzega przed kontynuacją sekciarskiej polityki wobec inteligencji, zwłaszcza technicznej, co jego zdaniem prowadzi do pozostawiania w tyle we współzawodnictwie z Zachodem.

W związku z powyższym listem wychodzące na emigracji LISTY w numerze z listopada 1972 zastanawiają się nad przyczynami tego faktu. No-

Novotny nie starał się wykorzystać swego obalenia w styczniu 1968, nie starał się występować w roli „ofiary” postycziowej polityki, choć — jak stwierdzają LISTY — miał do tego moralne prawo, a pewne koła sowieckie i rodzime wyraźnie go do tego namawiały. Jego wystąpienie należy tłumaczyć głębokim kryzysem w łonie partii oraz walkami frakcyjnymi, które kryzys ten potęgują. Szanse Novotnego na powrót do aktywnego życia politycznego uznać należy za minimalne, zważywszy że Sowietci nie lubią przywracać przywódcy na którym już raz się sparzyli. Ponadto Novotny nie przejawiał w ostatnim okresie swych rządów zbyt dużego zrozumienia wobec breżniewowskiej teorii i praktyki tzw. ograniczonej suwerenności, odrzucał z uporem sowieckie projekty umieszczenia wojsk sowieckich na terytorium Czechosłowacji i przejawiał pewną samodzielność poglądów po obaleniu Chruszczowa, czego mu Breżniew z pewnością nie wybaczył.

LISTY tłumaczą zachowanie Novotnego z jednej strony chęcią zdystansowania się wobec kierownictwa husakowskiego, ponieważ wierzy w jego rozpad i przesunięcia na szczytach, z drugiej zaś liczy na zmianę polityki sowieckiej w Europie. W Pradze krążyły pogłoski jakoby były dowódca wojsk sowieckich, generał Majorow, zaprosił Novotnego do swej siedziby w Milovicach na rozmowy, po których miał on wojskowym samolotem sowieckim udać się na błyskawiczną wizytę do Moskwy, gdzie miał go przyjąć sam Breżniew.

Ponieważ Majorow został latem odwołany, powiadają że stało się to wskutek nalegań Husaka, który nie lubił jak jego przeciwnicy zjeżdżają się jeden po drugim do Milovic. Ponadto Husak wrócił z Krymu z poparciem Breżniewa, który wobec europejskiej konferencji bezpieczeństwa nie pragnie żadnych zmian personalnych.

A Rudolf Barak czeka

Byłoby rzeczą nader ciekawą przesledzenie, jak na tle historii z Novotnym przedstawia się sprawa innego byłego dygnitarza, byłego ministra spraw wewnętrznych i byłego członka prezydium KC, Rudolfa Baraka. W ostatnim okresie krążyły bowiem pogłoski o możliwym powrocie do łask tego człowieka, który w okresie gdy znajdował się u szczytu swej potęgi napisał list do Chruszczowa, zawierający skargi na Novotnego. Novotny zdaniem Baraka był nieszczerzy wobec Związku sowieckiego na tle sporu z Chinami. Novotny jak wiadomo postanowił zemścić się na swym ministrze (list Chruszczow odesłał Novotnemu), który stawał się niewygodny: z jednej strony jako minister spraw wewnętrznych za dużo wiedział o procesach politycznych lat 1949-54 (które obciążały Novotnego, ale nie jego), a ponadto stawał się coraz bardziej popularny. Zrobiono więc Barakowi proces, zarzucając mu m.in. machinacje walutowe (co budziło pewne wątpliwości od samego początku) po czym w roku 1962 skazano na 12 lat więzienia. W czasie „praskiej wiosny” Barak został z więzienia zwolniony. Pełna jego rehabilitacja napotykała na trudności jako że jego dawny zastępca z MSW, Lubomir Sztrougal, był dość aktywny w nagonce przeciw niemu. Barakowi udało się jednak odzyskać legitymację partyjną; ze stanowiska nie wykwalifikowanego robotnika awansowany został na kierownika zakupów w Wytwórni Papierów Wartościowych w Pradze.

Podobno jego stary przyjaciel a obecny szef rządu czeskiego Josef Korczak, członek kierownictwa husakowskiego, proponował mu już wiele intratnych posad na fotelu ministra spraw wewnętrznych rządu czeskiego kończąc. Barak jednak nie wykazuje pośpiechu. Stanowczo odmawia jakiegokolwiek współpracy z Lubomirem Sztrougałem.

Karol SZWEDOWICZ

Kronika kulturalna

100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego

Zamawiając u mnie artykuł dla *Kultury* z okazji stulecia urodzin Adama Krzyżanowskiego (1873-1973), Jerzy Giedroyc postawił mnie w nielada kłopotcie. W rzeczy samej piszę teraz „nekrolog” mistrza i protektora mej młodości już po raz trzeci. W końcu 1939 roku nadeszła do Londynu i Paryża wiadomość, na szczęście, jak się później okazało, nieprawdziwa, ale która obiegła cały świat, że Adam Krzyżanowski, wywieziony wraz z całą grupą profesorów U.J. (wśród nich mój niezapomniany profesor U.J. i wieloletni, wielki publicysta *Czasu*, Stanisław Estreicher) do obozu w Sachsenhausen pod Berlinem, miał tam zginąć: i wówczas z tej okazji napisałem płomienne wspomnienie o Adamie Krzyżanowskim w dopiero co nowo-otwartym *Słowie* Stanisława Mackiewicza, które zostało wznowione w Paryżu. Pamiętam jak dziś, że to wspomnienie (którego tekstu oczywiście nie mam, jak zresztą żadnych innych mych papierów) kończyło się zwrotem: „a my, cośmy Go znali i kochali, czym możemy Go pożegnać, jak tylko łąą serdeczną w oku?”. Na szczęście Adam Krzyżanowski wrócił cały z więzienia we Wrocławiu i z obozu w Sachsenhausen do Krakowa (w dniu 7. 2. 1940), i zbierał skrętnie wszystkie o sobie wspomnienia z powodu tego domniemanego zgonu, oraz informacje o nabożeństwach za jego duszę: jakimś cudem i ten mój nekrolog w paryskim *Słowie* dotarł do niego już w czasie wojny, i w pierwszym swym liście do mnie, już po zakończeniu wojny oczywiście, Pan Adam serdecznie mi za to wspomnienie dziękował; podkreślał, że ze wszystkich wspomnień o nim to właśnie mu się najbardziej podobało, i dodawał, że w testamentie polecił, by to wspomnienie ze *Słowa* odczytano na jego prawdziwym pogrzebie, zamiast mów pogrzebowych. Później widocznie zmienił zdanie, dość że w testamentie przesłał

mi tylko pozdrowienia. Z tejże okazji tej niedosłej śmierci ogłosiłem nekrologi Pana Adama w londyńskim *Times*'ie i w BBC, oba oczywiście utrzymane w innym, czysto sprawozdawczym tonie, ale też ich tekstu nie posiadam od wielu lat. Gdy profesor zmarł w 1963 roku, znajdowałem się wówczas w Monachium, i pamiętam, że wówczas, na prośbę mego krakowskiego kolegi i przyjaciela, też ucznia Pana Adama, Michała Bojarskiego, napisał i wygłosił o nim wspomnienie w sekcji polskiej Radia Wolnej Europy, a także napisałem o nim obszernie wspomnienie w londyńskim *Dzienniku Polskim*. Ale to były wszystko wspomnienia okolicznościowe, w których element osobistego żalu z konieczności górował. Dzisiaj chciałbym spróbować zrobić co innego, dać próbę syntetycznego obrazu kariery, działalności i wpływu człowieka, który odegrał w Polsce Niepodległej dużą rolę, dużo większą, niż wielu ministrów i polityków zawodowych, i wywarł wielki, choć niedość, niestety, głęboki i trwały wpływ na nasze myślenie ekonomiczne, i na naszą politykę gospodarczą.



Jak to stale podkreślają krytycy i pisarze francuscy z okazji zgonu wybitnych ludzi pióra (jak np. ostatnio z okazji śmierci, niestety samobójczej, Henri de Montherlant), jedynym sposobem prawdziwego uczczenia zmarłego literata, uczonego czy moralisty, jest czytanie jego dzieł. Wstępem do tego jest ich zebranie, i wydanie, a jest to tym dzisiaj ważniejsze, że w naszych czasach każdy polityk, każdy dyplomata, każdy ekonomista, każdy krytyk, każdy literat jest także *dziennikarzem*, i często w drobnych artykułkach są rozsiane najlepsze myśli i najpiękniejsze perełki stylu zmarłego. Adam Krzyżanowski był z zawodu profesorem ekonomii, ale poczynając od roku 1923 zaczął działać jako publicysta ekonomiczny, i na tym terenie dopiero naprawdę zabłysnął, jako gwiazda pierwszej wielkości. Zebranie jego artykułów, wywiadów, przemówień, odczytów, referatów byłoby bardzo celowe. Ale po Panu Adamie pozostała także spuścizna książkowa. Znam ją niecałą. Jak wszyscy studenci wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczyłem się z podręczników Adama Krzyżanowskiego, z których najbardziej utkwiała mi w pamięci dwutomowa „Nauka o pieniądzu i kredycie”. Było to dzieło poważne, poprawne, ale dzisiaj jest przestarzałe. Z dzieł niedrukowanych dotąd, znam tylko jego „Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu”, drukowane w dwóch numerach *Zeszytów Historycznych* Instytutu Literackiego w Paryżu z 1972 roku, oraz „Notatki z kalendarza”, rodzaj pamiętnika, który dotąd, niestety, spoczy-

wa w maszynopisie w archiwach Giedroycia. Otóż osobiście uważam z większych dzieł Krzyżanowskiego za dwa najwybitniejsze i najciekawsze te właśnie rękopiśmienne „Notatki z kalendarza”, oraz drukowaną w roku 1925 niewielką książeczkę pod tytułem „Pauperyzacja Polski Współczesnej”. Pomimo szczupłych, o ile mnie pamięć nie myli, rozmiarów (od 35 lat nie miałem tego dziełka w ręku), uważam tę „Pauperyzację” za *opus magnum* Pana Adama, podobnie jak cała sława Roberta Malthusa opiera się tylko na jego broszurce o grozie przeludnienia. „Pauperyzacja” zrobiła olbrzymie wrażenie w Polsce, *overnight* zrobiła z Pana Adama, z lokalnego krakowskiego profesora, mędrca i omal czarnoksiężnika od ekonomiki na całą Polskę, wywarła wpływ nie tylko na opinię, ale stworzyła podstawy myślenia i dla Banku Polskiego, i dla urzędników kluczowego departamentu Min. Skarbu, to znaczy departamentu obrotu pieniężnego. Zwięzłość stylu, godna Kassandry, doskonale pasowała do fundamentalnego przekonania Adama Krzyżanowskiego, zapożyczzonego od klasyków angielskich: *the economy is a dismal science* — nauka ekonomii jest posępną nauką. „Pauperyzację” trzeba czytać, jak się popija koniak — małymi łyčzkami — i trzeba przy tym porównywać *Pierwsze* Wydanie z DRUGIM. W pierwszym wydaniu „Pauperyzacji” Adam Krzyżanowski pisał (cytuję z pamięci, ale zakładam się, że oba teksty cytuję bezbłędnie): „Mało pracujemy, mało oszczędzamy, cóż dziwnego że ubożjemy?” Tekst w drugim, poprawionym wydaniu, tylko o parę miesięcy późniejszym, brzmiał natomiast (znowuż cytuję z pamięci, i znowuż na pewno wiernie): „Mało pracujemy, mało oszczędzamy, MAMY DUŻO DZIECI, cóż dziwnego że ubożjemy?” Nie wiem, ile osób zwróciło wówczas uwagę na ten dopisek trzech wyrazów, ale w nim się ujawnił cały maltuzjanizm Krzyżanowskiego, który, obok wiary w automatyzm zjawisk gospodarczych i w konieczność trzymania się klasycznej linii polityki skarbowej, stanowił filar całego jego światopoglądu.

„Pauperyzacja” jest i będzie najlepszym wizerunkiem Krzyżanowskiego-ekonomisty. Uczeń pana Adama, Adam Heydel, jego asystent, docent, przez niego habilitowany, głupio wyrzucony przez rząd z katedry, potem potwornie zamordowany w Oświęcimiu, podobno w sposób bestialski, bo, choć autentyczny saski baron, nie chciał się nigdy zapisać na Volksdeutscha, a mój bardzo serdeczny i drogi przyjaciel, tysiąc razy kończył nasze rozmowy o naszym Mistrzu, którego obaj bardzo kochaliśmy: „Ale teorii ekonomiki Krzyżanowski zupełnie nie rozumie”. Na pewno tak było, i na pewno Adaś Heydel był wielokrotnie wybitniejszy od pana Adama, jako teoretyk. Studiował w Wiedniu, już jako docent, bodaj że u v. Hayek'a i u v. Mizes'a, nauczył się mate-

matyki, by móc studiować ekonomikę matematyczną, spędził rok czy półtora w USA na stypendium Rockefellerowskim, znowu studiując teorię ekonomiki. To on wymyślił Langego, i choć sam był endekiem, a Lange komunistą, to on wyrobił Langemu stypendium Rockefellerowskie i wysłał go do Ameryki, słowem zrobił całą jego karierę. Nie mam najmniejszych pretensji do znajomości i zrozumienia teorii ekonomii zawsze mnie nudziła tak samo, jak teologia i filozofia, wierzę tylko w ekonomikę opisową i zdrowego rozsądku. Heydel kilka razy zapraszał mnie na swe studium i seminarium, już długo po moim doktoracie, i tam używał wszystkich swych talentów, by mnie zmusić do dyskusji i polemiki z Langem. Mało kogo tak nie mogłem w życiu znosić, jak tego Oskara Langego; wszystko co gadał wydawało mi się przelewaniem z pustego w próżne, bez żadnego związku z rzeczywistością. Poza tym Lange był antypatyczny, potwornie brzydki, kuternoga, ział złością i nienawiścią do całego świata, jak się to często zdarza kalekom; był niebывale arogancki, *cassant*, źle wychowany, nadęty, zły, agresywny. Heydel był nadzwyczaj utalentowany, gdy rozmawiał o Dmowskim, który był jego ojcem chrzestnym a przyjacielem jego ojca (czyli starego Heydla, było mu na imię bodajże Eustachy), napisał doskonałą monografię o Jacku Malczewskim, śliczną książkę i bardzo interesującą pod tytułem „Myśli o kulturze”, ale jeżeli chodzi o ekonomikę nigdy z jego ust nie usłyszałem czegoś naprawdę interesującego, a już jego pasja do Langego była obłędem, i srodze Polska za to zapłaciła. Krzyżanowski wzruszał tylko ramionami, gdy mu się mówiło o Langem. Później, w Londynie, próbowałem czytać „econometrica” szkoły w Cambridge pani Joan Robinson; dałem za wygraną, to była stratosfera, która nie miała nic wspólnego z aktualnymi problemami powojennej Anglii. Zgadzałem się w stu procentach z opinią obecnego francuskiego ministra skarbu, p. Giscard d'Estaing, który określił spory dwóch czołowych teoretyków ekonomii w Ameryce — pp. Friedmana i Samuelsona — jako *querelles d'école*, które żadnego praktycznego znaczenia nie mają. Uważam za wielki plus polityków ekonomicznych, jeżeli nie są teoretykami. Keynes był teoretykiem, ale jego program „nakręcania koniunktury” zrealizował Hjalmar Schacht, który żadnym teoretykiem nie był, natomiast był wielkim bankierem i wielkim znawcą życia ekonomicznego.

W gruncie rzeczy Adam Krzyżanowski był nie tyle ekonomistą, ile skarbowcem. Wierzył w dogmaty szkoły liberalnej — która w zasadzie była na całym świecie doktryną angielską, wyrosłą ze stosunków brytyjskich — ale w wydaniu, że tak powiem austro-węgierskim, której czołowym praktycznym przedstawicielem był minister skarbu Habsburskiej monarchii, Julian Duna-

jewski. Wydaje mi się, że ta liberalna szkoła austriacka była mniej bankowa i finansowa od angielskiego pierwowzoru, bardziej prawnicza, i z pewną tendencją do protekcjonizmu w ogóle, a protekcjonizmu agrarnego w szczególności. W każdym razie poprzednik Krzyżanowskiego na krakowskiej katedrze ekonomii i skarbowości, Czerkawski, który umarł gdzieś na początku I-ej wojny światowej, był człowiekiem tak banalnym, że pan Adam niczego się od niego nie mógł nauczyć; Pan Adam był właściwie samoukiem. Lektura (w rękopisie) jego „Notatek z kalendarza” potwierdza podejrzenie, które miałem (i miał je też Heydel) od bardzo dawna: że to dopiero Pierwsza Wojna, a zwłaszcza szalona inflacja lat 1920-1923 jakby otworzyła oczy Krzyżanowskiemu, sprawiła, że przestał plus-minus powtarzać, dość banalnie, to co wyczytał w klasycznych podręcznikach ekonomii, a zrobił sam wielki wysiłek myślowy, by zrozumieć mechanizm i przyczyny katastrofy monetarnej w całej Europie Środkowej. Adam Krzyżanowski „zaczął się” dopiero w roku 1923, w roku, w którym zacząłem u niego studiować, w roku w którym seryjny profesorek wystąpił naprawdę na szeroką arenę ogólnopolską. Ten późny rozwój Adama Krzyżanowskiego, dopiero koło 50-tki, był i jest jedną z najciekawszych cech jego umysłowości. Razem z obudzeniem się jego zainteresowań do problemu inflacji, obudziły się i jego zainteresowania polityczne — przedtem dość słabe. Krzyżanowski urodził się w roku 1923, jakby cały gotów, jakby nowy św. Jerzy gotowy walczyć ze smokiem inflacji. Z „Notatek z kalendarza” dowiedziałem się, że na swoim seminarium ekonomicznym w Krakowie przed wojną miał tylko dwóch słuchaczy, których obu habilitował — mianowicie Rybarskiego i Taylora: otóż nie wygląda na to, by wywarł na nich większy wpływ i by wiązały go z nimi później jakieś bliższe stosunki. Natomiast już zupełnie inaczej wyglądają stosunki pana Adama z późniejszymi uczniami, zaczynając od Heydla i Zweiga, którzy obaj się u niego habilitowali, i całą plejadą późniejszych, tak że można było mówić o „szkole Adama Krzyżanowskiego”, i w końcu ta szkoła stała się dominująca w ministerstwie skarbu. *De facto*, nie było i nie mogło być żadnej innej w Polsce, jeżeli chodzi o skarbowość, pieniądź i kredyt. We Lwowie ekonomikę wykładali St. Grabski i St. Głabiński, obaj pochłonięci wyłącznie polityką, w dodatku „endecką”; obaj, jako ekonomiści, nie odegrali absolutnie żadnej roli. W Warszawie — Antoni Kostanecki i Brzeski byli poprawnymi belframi, nic więcej. W Wilnie Zawadzki był pono dobrym teoretykiem, ale jako polityk gospodarczy był właściwie człowiekiem nijakim. Z działaczy gospodarczych, ci co pochodzili z b. zaboru rosyjskiego z natury rzeczy nie nadawali się do zupełnie innej struktury i innych czasów, a do pewnego stopnia można by

to samo powiedzieć i o działaczach z innych zaborów. Najwybitniejszym był Falter, ale ten wypłynął naprawdę na wielkie wody dopiero w latach trzydziestych. Było dwóch zdolnych ministrów skarbu, Jerzy Zdziechowski i Matuszewski, ale obaj musieli się dopiero skarbowości uczyć, i obaj byli za krótko u władzy, by móc czegoś poważniejszego dokonać. Polska miała tylko jednego wysokiej klasy eksperta bankowego, Leona Barańskiego, naczelnego dyrektora Banku Polskiego, którego ortodoksja finansowa była bardzo zbliżona do poglądów Adama Krzyżanowskiego — jeżeli nie identyczna. Był też jeden wybitny znawca struktury przemysłu polskiego, mianowicie Henryk Tennenbaum — Krzyżanowski mało go cenił, co było o tyle nieuniknione, że Tennenbaum nie był ani skarbowcem, ani specjalistą od spraw pieniądza; znał się na kartelach, i tu miał wiele do powiedzenia, ale Krzyżanowski nigdy się kartelami zbytnio nie interesował. Krzyżanowski miał i inny mankament — dziwny u tak zdecydowanego liberała: nigdy naprawdę serio nie walczył z protekcjonizmem celnym, nigdy zanadto nie kruszył kopii o wolny handel. Tennenbaum był natomiast fanatykiem wysokich cel; zawsze wołał, a nawet krzyczał, że wolny handel nie tylko z Niemcami, ale i z Czechosłowacją, musi cały polski przemysł położyć, a to że ta ochrona celna bije w chłopstwo, tego ten członek Stronnictwa Ludowego, osobisty przyjaciel Rataja i Niedziałkowskiego, nigdy nie chciał przyznać. Krzyżanowski kruszył kopię o porządek w skarbie, w budżecie, w walucie, w pieniądzu, w kredycie, ale w dwóch ważnych kwestiach wołał się nie wypowiadać wyraźnie, a w każdym razie się nie narażać: w sprawie protekcjonizmu celnego i w sprawie budżetu wojskowego. Czuł się za słaby, by móc się pojedynkować na tych dwóch polach. Orbity zainteresowań Adama Krzyżanowskiego były zupełnie inne. W swoich „Notatkach z kalendarza” Krzyżanowski ani razu nie wspomina Tennenbauma. Antagonizm Galicji i zaboru rosyjskiego był bardzo silny w latach dwudziestych, a w Krakowie przetrwał do roku 1939, a może nawet dłużej. Krzyżanowski był „zapadnikiem” na 101 %, nienawidził Wschodu; dla niego świat zaczynał się od Czechów: i tak np. kazał nam na swym seminarium studiować reformy walutowe Raszina, czeskiego ministra skarbu po I wojnie, którego wysoko cenił, ale Bałkany, państwa bałtyckie, cóż dopiero Rosja, dla niego nie istniały. Nie miał też najmniejszego uznania dla polityki finansowej carskiej Rosji, i był ujemnego zdania o działalności gospodarczej Polaków i o gospodarce polskiej własności ziemskiej w Kongresówce i za Bugiem. Zawsze mawiał: „Te rzekome zyski czy fortuny stały tylko na niepłaconiu podatków w Rosji, i na dawaniu łapówek; nic poza tym, żadnych innych elementów bogactwa w Rosji nie było”. Krzyża-

nowski był mieszczański, cenił oszczędną zamożność; w burżuazji, z której sam pochodził, upatrywał kość pacierzową społeczeństw i dobrobytu; wielką własność uważał raczej za przeżytek, a wielki przemysł był mu w gruncie rzeczy czymś zupełnie obcym.

Adam Krzyżanowski był od początku lat dwudziestych do końca życia najlepszym profesorem i publicystą ekonomicznym Polski, właściwie jedynym naprawdę serio; poza jego szkołą istniało właściwie tylko mętniactwo — niestety zawsze w Polsce szalenie popularne — jego czołowym przedstawicielem był Czesław Bobrowski, który za wszystkich reżymów próbował udawać eksperta ekonomicznego i *maitre à penser* różnych grupek niedouczonej wiecznych studentów. Dzisiaj, oczywiście, łatwo wskazać na mankamenty nauk, których Pan Adam udzielał. Był on czystej krwi monetarystą, wierzył w automatyzm sił gospodarczych, to znaczy, że przy dobrej, klasycznej polityce skarbowej (duże zapasy kasowe, ostrożna gospodarka), monetarnej (stałość waluty), budżetowej (zrównoważony budżet, unikanie przeciążenia podatkowego), kredytowej (unikanie zaciągania długów, wszelkiej grynderki), itd., oraz przy ogólnym poszanowaniu praworządności, a więc zaciągniętych zobowiązań, punktualności w spłacie długów, poszanowaniu własności prywatnej, unikania etatyzmu, interwencjonizmu etc., gospodarka musi się samoczynnie rozwijać. Była to powszechna mądrość lat dwudziestych, i rodziła się z obserwacji sytuacji w Zachodniej i Środkowej Europie w ciągu półwiecza poprzedzającego rok 1914. Dobry kredyt skarbu państwa, oparty na gospodarce klasycznej, wydawał się kluczem do dobrobytu i do skromnej ekspansji gospodarczej: ówczesny świat, z wyjątkiem USA, wierzył tylko w bardzo umiarkowaną i bardzo stopniową ekspansję, i w każdym skoku wzwyż upatrywał wielkie ryzyko. Bankierzy byli wszędzie ostrożni, podejrzliwi, i *growth*, w naszym dzisiejszym znaczeniu, wydawała im się podejrzana, działali deflacyjnie, co odpowiadało ich interesom, bo przecież bankier jest handlarzem pieniądza. Dzisiaj jest dla wszystkich rzeczą jasną, że gdyby w 1914 roku świat nie utonął w wirze wojny, to by i tak nastąpiła duża inflacja, i truchcik pierwszych piętnastu lat naszego stulecia by się zamienił w kłusa, a może i w galop. W każdym razie wojna ten proces kolosalnie przyspieszyła i powiększyła, a poza tym szalone straty dóbr realnych, oraz inflacja wydatków i długów państwowych zmieniały zasadniczo obraz sytuacji. Kapitał po wojnie stał się znacznie bardziej trwożliwy, szukał już nie lokat, ale bezpieczeństwa. Ekonomia sprzed 1914 roku była ekonomią niemal wyłącznie służącą interesom klas posiadających, w dodatku kapitalistów biernych, którzy sami nie pracowali, nie fabrykowali, nie produkowali, nie inwestowali, a tylko chcieli odcinać kupony. W szcze-

gólności kraj zawsze tak biedny i tak zacofany, jak Polska, kraj tak szalenie niedoinwestowany, kraj o tak fatalnej strukturze ekonomicznej, nadal przeważnie rolniczy, o fatalnej strukturze narodowościowej, o ustroju w gruncie rzeczy stanowym (naród „rolniczy”, naród „handlowy”, inteligencja czyli burżuazja, ale bez żadnych funduszków, wielki kapitał niemal w całości zagraniczny) nie mógł marzyć o samoczynnym automatyzmie gospodarczym, który *de facto* musiał w kraju takim, jak Polska, działać stale deflacyjnie, co odpowiadało interesom klas najwplywowszych, biurokracji i klasie oficerskiej. Wreszcie Polacy zupełnie nie zdawali sobie sprawy z ciężaru koniecznych zbrojeń, ze względów geopolitycznych, i ze względu na założenia polskiej polityki zagranicznej, która odrzucała oparcie się o któregoś z większych sąsiadów. Zbałkanizowanie całej Środkowej Europy, rozlecenie się Federacji środkowo-europejskiej, jaką była monarchia Habsburska — wszystko to uniemożliwiało jakikolwiek rozkwit państw sukcesyjnych, i istotnie tego prawdziwego rozkwitu nigdzie nie było, nawet w Czechach, choć te były najbogatszym z państw sukcesyjnych. Póki skutki wojny 1914-18 roku trwały — to znaczy póki Niemcy i Rosja nie weszły na drogę wyścigu zbrojeń, który był preludium wojny — póty państwa sukcesyjne mogły jako tako wegetować, ale i to w swych „Notatkach z kalendarza” w roku 1927, z okazji rokowań o pożyczkę stabilizacyjną, Krzyżanowski notuje raz po raz w Nowym Jorku, że nawet bankierzy amerykańscy nie mają zaufania do lokat w Polsce ze względu na jej geopolityczne położenie. Po cichu recepta Krzyżanowskiego była ta sama, co całego MSZetu, to znaczy „zażyrowanie” Polski przez Anglię, a jeżeli by się dało, to także przez Amerykę, bo w samo żyro francuskie MSZ-et, poczynając od Paderewskiego, a potem Skirmuntta, Skrzyńskiego, Augusta Zaleskiego, i oczywiście Piłsudskiego, nie wierzyło. Może się to komuś wydać paradoksem, ale uważam za dwóch najbardziej zdecydowanych Anglofilów w Polsce Edwarda Raczyńskiego i Adama Krzyżanowskiego. Dla Krzyżanowskiego Francja jako potęga gospodarcza, a już zwłaszcza finansowa, nie istniała, i co dziwniejsza był tegoż zdania o Niemczech, choć po niemiecku mówił wybornie, i miał matkę Niemkę, córkę płk. von Haugel, dowódcy kirasjerów gwardii pruskiej, który brał udział w szturmowaniu Paryża w 1870 roku, i którego pałaszem bawił się jako dziecko — jak sam w swym „kalendarzu” wspomina. Inna uwaga w tymże kalendarzu, kiedy pisze, że jakiś inny chłopczyk „uczył go po polsku”, gdy on (A.K.) miał lat siedem, co pozwala zastanowić się, czy aby, jako dziecko, Pan Adam nie mówił naprzód po niemiecku, a dopiero później po polsku. W każdym razie Adam Krzyżanowski niezmiernie wiele zdziałał dla faworyzowania wpły-

wów świata anglosaskiego i ich pojęć wśród inteligencji polskiej, i w Ministerstwie Skarbu: *au fond* Polska okresu Niepodległości była ekonomicznie związana z Francją czysto nominalnie, a dużo silniej z Anglią. Na tym tle przystąpienie Polski do francuskiego „bloku złota” w roku 1932 było nieporozumieniem i nonsensem. Krzyżanowski pierwszy się w tym zorientował, żądając w swym głośnym memoriale — w imieniu krakowskiego Tow. Ekonomicznego, którego był prezesem — dewaluacji złotego już w czerwcu 1932 roku, i faktycznego przystąpienia do bloku sterlingowego. Pod koniec lat trzydziestych Krzyżanowski z pewnością wolał dolara od funta, a Amerykę od Anglii. Tutaj zwróć uwagę, jak stosunkowo mało doktrynerski był Krzyżanowski w swych poglądach walutowych. W roku 1927 spędziłem kilka miesięcy w Genewie, pisząc pracę doktorską o „Polityce Komitetu Finansowego Ligi Narodów”. Komitet ten przeforsował stabilizację szyllinga austriackiego, oraz analogiczne operacje na Węgrzech, w Bułgarii i w kilku innych krajach. W zebraniu materiałów bardzo mi pomógł ówczesny sekretarz tego Komitetu, o 10 lat ode mnie starszy Jacques Rueff, ten sam, który ostatnio był mentorem de Gaulle’a. Rueff był dla mnie wyjątkowo koleżeński, i uprzejmy. Ile razy z nim rozmawiałem, a zdarzało się to omal co dzień przez trzy miesiące, tyle razy zdumiewała mnie identyczność poglądów Rueffa i Adama Krzyżanowskiego, którzy się nie znali, i żaden z nich nie słyszał o drugim. Ale dzisiaj uderza mnie raczej, o ile Krzyżanowski był trzeźwiejszy od Rueffa. Obaj wówczas tylko akceptowali powszechnie uznane już kanony, ale już wtedy Krzyżanowski zupełnie nie interesował się kwestią złota, podczas gdy Rueff jeszcze dzisiaj stacza donkiszockie boje w obronie złota. Krzyżanowski zawsze uważał, że żadnej waluty złotej nigdy nie było, i że kurs tego kruszcu był manipulowany przez Bank Anglii, oraz że funt, a nie złoto, był do 1914 roku fundamentem międzynarodowego systemu pieniężnego. Krzyżanowski chciał dewaluować złoto zaraz za funtem, podczas gdy Rueff był we francuskim ministerstwie skarbu jednym z głównych orędowników zgubnej polityki deflacyjnej Laval’a. Obaj byli zawsze zgodni w jednym punkcie: byli przeciwni ograniczeniom dewizowym. Dzisiaj, po tylu koszmarnych doświadczeniach z *Hot Money* i spekulacją walutową, wydaje mi się, że ograniczenia dewizowe są nieuniknione, ale wówczas tego nie rozumiałem.

Adam Krzyżanowski miał rację, kiedy w roku 1923, a potem znowu za Wł. Grabskiego (którego zawsze nie lubił) uważał, że przyczyną polskiej inflacji jest zła gospodarka skarbowa i drukowanie banknotów (czy bilonu za Grabskiego) dla pokrywania deficytu budżetowego. Miał rację pragnąć wysanować walutę, uzdrowić gospodarkę skarbową, zrównoważyć budżet. Miał rację gdy

w 1928 roku uważał, że w tym celu konieczna jest pożyczka stabilizacyjna, że stabilizacja o własnych siłach, droga za mętnych, nacjonalistycznych i etatystycznych powodów Wł. Grabskiemu, Mościckiemu i Kwiatkowskiemu, jest utopią, a w każdym razie wymagać będzie od Polski zbyt wielkich poświęceń. Na tle pożyczki stabilizacyjnej powstał jego stały uraz do Mościckiego, którego zawsze uważał za złego ducha Marszałka, oraz jego życzliwość do Bartła, którego uważał, tak samo jak Augusta Zaleskiego, za swego głównego sprzymierzeńca w walce o doprowadzenie tej pożyczki do skutku. Animozja do Mościckiego pozostała jedyną trwałą antypatią, jaką u Krzyżanowskiego stwierdziłem. Z natury liberał, człowiek umiaru, stuprocentowy cywil, nie miał on wielkiego nabożeństwa do oficerów, a więc do pułkowników; w przeciwieństwie do St. Estreichera nie miał on też przekonania do Sikorskiego. Krzyżanowski był człowiekiem miłym, był skłonny do oportunistów; rozsądek kazał mu kurmacherować Marszałkowi, ale przychodziło mu to z dużą trudnością. Sam mi opowiadał, jak Bartel kilka razy go zabrał na tajne konferencje do Belwederu, gdzie obaj, jak mawiał Bartel, mieli „uczyć Marszałka ekonomii”. „Były to bardzo ciężkie rozmowy — mawiał zawsze Krzyżanowski, gładząc brodę swym charakterystycznym ruchem — bo Marszałek nic z ekonomii nie rozumiał! Miał dobrą wolę dowiedzenia się czegoś — dodawał mistrz Adam — nie był zarozumiały jak Mościcki, który nie wiadomo dlaczego uważał się za geniusza od spraw ekonomicznych, ale miał mentalność bankrutującego szlagona, bał się spraw gospodarczych, i ciągle był podejrzliwy, wszędzie widział zasadzki i pułapki. Nie wiadomo dlaczego uznał, że Mościcki zna się na sprawach gospodarczych, i ciągle z tym Prezydentem wyjeżdżał. Wiecznie przerywał, że Wandzia i Jagódka będą musiały pożyczkę płacić, więc on nie może tego brać na siebie itd. Poza tym miał bzika na punkcie kradzieży. Kiedyś jeszcze gdy był Naczelnikiem Państwa, spytał się mnie: dlaczego marka tak ciągle spada? — po czym szepnął mi na ucho: „A może Żydki to zrobiły?”. Kiedyś, gdy mu tłumaczył, że trzeba prowadzić oszczędną politykę budżetową, Piłsudski krzyknął na Bartła: „A czy ja tego ciągle nie mówię moim oficerom? Czego się im nie zachciewa? Lotnictwa! W powietrzu będą prowadzić wojnę czy co?”. I Krzyżanowski twierdził zawsze, że Stan. Łepkowski, którego bardzo lubił, ma ze wszystkich znanych mu osób, największy wpływ na Marszałka, i najlepiej wie, jak z nim rozmawiać. Krzyżanowski miał ochotę na karierę polityczną, był zadowolony ze stanowiska gen. referenta budżetu, i z wielkim żalem oddał to stanowisko Miedzińskiemu; zachował do niego z tego powodu uraz. Postawił na Bartła, choć wcale nie uważał go

za człowieka wybitnego, a jego maniery bardzo go raziły. Ale miał nadzieję, że może dzięki Bartłowi zostanie ministrem, nie skarbu, bo tu się liczył z opozycją Mościckiego, ale choćby W.R. i O.P., ale pogodziłby się chętnie i ze stanowiskiem Prezesa Banku Polskiego. Tu wtrącając co mi na ten temat mówił Matuszewski, który jak prawie wszyscy Polacy, miał pasję układania sobie listy swego gabinetu, bo zawsze marzył o premierostwie. Matuszewski miał dwie niezmiennie pozycje: Lipskiego na sprawy zagraniczne, i Barańskiego na ministra skarbu. „Adama Krzyżanowskiego nigdy nie zrobiłbym ministrem skarbu — mawiał Matuszewski — to czarujący człowiek, i bardzo rozumny, ale za miękki, a minister skarbu musi być człowiekiem nieznośnym, który kłóci się ze wszystkimi, który odmawia pieniędzy kolegom-ministrom, i sztabom, i przemysłowcom, i rolnikom, który mówi dwieście razy 'nie', zanim powie raz 'tak'”. Dzisiaj skłonny jestem przyznać tej argumentacji sporo racji. W każdym razie Adam Krzyżanowski żałował, że postawił na Bartła, i że wystąpił z Sejmu z okazji Brześcia. Opowiadał mi co następuje o Sławku, którego nie uważał za męża stanu, ani za geniusza, ale za gentlemena, i za człowieka wyjątkowo szlachetnego i dobrze wychowanego, na co był bardzo wrażliwy. „Sam Sławek był gotów mi ułatwić sytuację ze względu na protest profesorów U.J., proponował mi, że rząd wyśle mnie w jakiejś misji za granicę, tak że nie potrzebowałbym brać udziału w głosowaniu. No, to było przyzwoite wyjście z sytuacji. Żle zrobiłem, żem się nie zgodził”. Krzyżanowski był liberałem, ale nie był lewicowcem. Naprawiaczy nie lubił, nie lubił Grażyńskiego, a o socjalistach był najgorszego zdania: „Panie, wszystko co oni potrafią zrobić, to inflację” mawiał o PPS, i dodawał: „Jeden Diament tam odróżnia weksel od bonu skarbowego a i ten nic nie umie i jeszcze mniej rozumie. A Daszyński? Doskonały mówca, dobry debater, ale sam przyznaje, że nie ma zielonego pojęcia o sprawach gospodarczych...”. O ludowcach Adam Krzyżanowski zawsze mówił: „między nimi a mną różnica jest taka — ich interesuje górna granica własności rolnej, a mnie dolna; dużo ważniejszą rzeczą jest nie dopuścić do drobnienia gospodarstw chłopskich, niż wywłaszczać folwarki, które jednak są lepiej zagospodarowane”.

Krzyżanowski, poza swą działalnością nauczającą i publicystyczną, oddał Polsce dwie wielkie usługi: jego aktywność wielce ułatwiła opanowanie inflacji w Polsce w roku 1924, i ponownie w roku 1925, kiedy to zła gestia Wł. Grabskiego doprowadziła do ponownej dewaluacji złotego na jesieni 1925 roku; oraz pożyczkę stabilizacyjną, która dała Polsce jedyne cztery lata względnej *prosperity* 1926-30. Ale Adam Krzyżanowski mógłby oddać Polsce jeszcze większą usługę, gdyby usłuchano jego rad

z 1932 roku wyrównania kursu złotego na funt, a nie na złoto. Nie załatwiłoby to problemów gospodarczych Polski, ale uniknęlibyśmy przynajmniej najostrejszej formy kryzysu, i ostatnie lata Niepodległości miałyby mniej katastrofalny przebieg, niż ten który był naszym udziałem. Niestety, te rady zbawienne, najrozsunniejsze, które Krzyżanowski kiedykolwiek sformułował, pozostały głosem wołającego na puszczy, a odpowiedzialność za to ponosi w pierwszym rządzie Mościcki, który korzystając z choroby Marszałka wysforował się na sternika polskiej polityki gospodarczej, o której nigdy nie miał najmniejszego pojęcia, a do Krzyżanowskiego zawsze się odnosił z zacięłą wrogością.

W swych „Notatkach z kalendarza” — mianowicie w notatkach z Nowego Jorku w roku 1928 — Adam Krzyżanowski notuje, że w ciągu zaledwie 9 lat Kemmerer, zwany *The Money Doctor*, i kurator polskiej polityki stabilizacyjnej w związku z pożyczką, jest już całkowicie zapomniany, a jeżeli prasa go czasem wspomina, to z przekąsem i z ironią. Tak to się w ciągu zaledwie 9 lat zmieniły podstawowe poglądy na politykę finansową, pisze Krzyżanowski, może nie bez melancholii. Krzyżanowski zdawał sobie już w 1938 roku sprawę, że dogmaty klasyczne stały się nieaktualne, podczas gdy obecny rząd w Warszawie — na rozkaz Rosji oczywiście — rewaluował fikcyjny kurs złotego wobec dolara, po umowach waszyngtońskich i „dewaluacji” dolara wobec złota w dniu 18 grudnia 1971 roku!

Tak, dzisiaj łatwo *ex post* powiedzieć, że wszyscy, z Adamem Krzyżanowskim włącznie, wiązaliśmy zbyt wielkie nadzieje z ortodoksją walutową i finansową. W rzeczy samej w okresie niepodległości potrzebowaliśmy z całą pewnością tak zwanej polityki nakreślenia koniunktury. Tylko po pierwsze, nie mieliśmy żadnego Schachta, który jeden jedyny na całym świecie potrafił tę politykę zrealizować, a i to podał się do dymisji po 3 latach, w roku 1936, kiedy Hitler zaczął politykę wielkich zbrojeń, która z konieczności oznaczała już nie nakreślenie koniunktury, ale po prostu gigantyczną inflację. Po wtóre, i co o wiele ważniejsze, zadanie Schachta było stosunkowo łatwe: w Niemczech istniał kolosalny przemysł o gigantycznej zdolności produkcyjnej, istniały miliony bezrobotnych, ale doskonale przygotowanych do wzięcia udziału w ekspansji przemysłowej, istniał pierwszorzędny aparat bankowy, który wchłonął wszystkie papierki, które Schacht wymyślił by ożywić obroty, istniał wreszcie olbrzymi i doskonały aparat handlu zagranicznego, który potrafił wyzyskać wszystkie możliwości *clearing*'u, przede wszystkim w Europie, ale także na całym świecie. Myśmy nie mieli ani Schachta, ani aparatu produkcyjnego, ani aparatu finansowego, ani aparatu handlowego,

ani fachowców, ani zbyt wielu wykwalifikowanych robotników. W żadnym wypadku Polska nie mogła sama bez pomocy z zewnątrz stworzyć warunków ekspansji; w żadnym wypadku Polska nie mogła sobie pozwolić na *quasi* autarkię, jak Niemcy Schachta; w żadnym wypadku Polska nie mogła się oderwać od innych bloków. Współudział w bloku sowieckim był oczywiście równoznaczny z natychmiastową aneksją Polski przez ZSSR; współudział w bloku niemieckim oczywiście nas od Niemców uzależniał, jak uzależniał Austrię, Czechosłowację, Rumunię, Węgry, Bułgarię, Turcję, Grecję, Jugosławię i nawet Włochy. Skoro tę koncepcję odrzucaliśmy, nie pozostawało nic innego, jak trzymać się kłamki angielskiej, bo przecie Francja w latach trzydziestych zupełnie się nie liczyła i, poza sprzedażą przestarzałego sprzętu wojennego, nie chciała i nie mogła się wychylić, zaś Stany Zjednoczone były za daleko, i były wciąż izolacjonistyczne. Koneksji brytyjskiej zawdzięczamy jedynie dwa większe sukcesy lat trzydziestych — eksport węgla do Szwecji i eksport produktów rolniczych do Wielkiej Brytanii. Ale doświadczenie wykazało, że było to za mało, by Polskę można było uratować w naszej sytuacji geopolitycznej.

Chciałbym zakończyć ten szkic za krótki, a więc powierzchowny, kilku uwagami o spuściznie Adama Krzyżanowskiego, która znajduje się obecnie w rękach Jerzego Giedroycia. Raz jeszcze chcę podkreślić, jak ważne wydaje mi się wydanie jego „Notatek z kalendarza”. Są to notatki, spisane w czasie wojny, poczynając od 7 lipca 1940 roku, w oparciu o urwane kartki kalendarzowe, które Krzyżanowski z lat poprzednich sobie zachowywał, notując na nich spotkania, albo niekiedy rozmowy. Te „Notatki” składają się w zasadzie z trzech części. Pierwsza zaczyna się od kilku dat i danych o rodzicach i rodzinie, kończy się na wybuchu I wojny, albo może na 1918 roku. Druga obejmuje lata 1918-1939. Trzecia — to lata wojenne. W chwili wejścia Moskali do Krakowa Krzyżanowski jest chory, i dopiero koło marca 1945 roku zaczyna znowu notować, ale zaraz urywa: dlaczego, nie wiem. Na pozór najwięcej danych i tzw. rewelacji zawierają notatki za lata Niepodległości, dotyczą spraw ważnych, jak pożyczki stabilizacyjnej, działalności Krzyżanowskiego w Sejmie, jego memoriałów, jego rozmów z Piłsudskim, z Rydzem itd. Ale mnie uderzyły najbardziej notatki do 1918 roku i notatki z lat wojennych. Notatki z dzieciństwa, z lat pacholeńskich, studenckich, z praktyki w Prokuratorii Generalnej, w Towarzystwie Rolniczym dla Galicji, z lat docentury etc., nie zawierają żadnych rewelacji, to prawda, ale dają wyjątkowo dokładną FO-

TOGRAFIE epoki — Galicji mieszczańskiej, krakowskiej, stańczykowsko-profesorskiej w latach 1873-1918. Czytałem kiedyś bardzo obszerne dzieło francuskiego historyka, już nie pamiętam którego, który spisał dzień po dniu gdzie Napoleon przebywał od urodzenia do śmierci, kogo każdego dnia widywał, i ewentualne informacje o ważniejszych rozmowach, które w danym dniu prowadził. Od Napoleona do Adama Krzyżanowskiego jest daleko, bardzo daleko, ale jego bezpretensjonalne notatki dają obraz nie tylko środowiska, ale i cywilizacji. Widzimy jak spokojne były to czasy, jak pewne, jak ustabilizowane, jak potężne były więzi rodzinne, tradycje, obyczaje, jak zamożne i dostatnie było ówczesne mieszczaństwo, jak ogromną rolę w życiu tej zamożnej inteligencji krakowskiej odgrywały Zakopane i Tatry, jak dużo jeżdżono za granicę, jak liczne były stosunki Polaków w Austrii, w Niemczech, na Węgrzech, ale także we Francji i we Włoszech, o ileż większe od tych, które, my emigranci, mamy dzisiaj. Ile uroku mają takie uwagi, jak biadania w Konstanzu jakiegoś niemieckiego arystokraty, że jego kuzyn, hr. von Zeppelin, rujnuje siebie i rodzinę na bezsensowne próby latania po niebie, albo odpowiedź jakiejś węgierskiej hrabiny, która siedząc na bankiecie w Budapeszcie obok Adama Krzyżanowskiego, na jego komplement: „Wasz premier (hr. Tisza) jest doskonałym mówcą!” odpowiada bez namysłu: „to nieważne, ale co to za przystojny mężczyzna!”. Czytając tę część pierwszą, powiadam sobie, że to środowisko krakowskie było i wysoce cywilizowane, i bardzo szczęśliwe. Kiedym jako student poznał Kraków w latach dwudziestych, było już o tyle gorzej, o tyle biedniej, o tyle bardziej prowincjonalnie... Jakże żałuję, że tego zamożnego, szczęśliwego, naprawdę „stolecznego i królewskiego miasta Krakowa” nie znał.

Natomiast tragiczne, wstrząsające, potworne są zapiski z czasów wojny. Może właśnie dlatego, bo nigdy nie ma w nich patosu. Sam Krzyżanowski nigdy nie wspomina swych przeżyć w Sachsenhausen. Notuje tylko zgony, zgony, zgony. Klepsydry o nabożeństwach bez danych o pogrzebie: wiadomo, to ofiary Oświęcimia. Notuje co dzień nabożeństwa żałobne, że już nie może na wszystkie zdążyć. Sypią się nazwiska, znane i nieznanne, kobiet i mężczyzn, starców i młodzieży. Ubiegłego lata byłem w Pizie, i po raz pierwszy — choć znam Pizę od Bóg wie ilu lat — zauważyłem w jednej z auli czy kaplic tamtejszego Campo Santo fresk nieznanego malarza, który był na pewno bracijszkim przydzielonym do tego cmentarza, i którego znamy pod nazwą Malarza „Trionfo della Morte”. Wstrząsający fresk. Troje młodych pięknych paniąt, śliczna panna w złotogłowiach, otoczona pięknymi paziami czy książętami, stają na swych wspianych ko-

niach, jak wryci, na widok trzech otwartych trumien, w których leżą świeże trupy, i nawet wierzchowce stają dęba przerażone. Ten potężny, wstrząsający obraz zrobił takie wrażenie na Liszcie, że napisał z miejsca rapsodię na ten temat, i nazwał ją „der Totentanz”. I dzisiaj ten opus Liszta jest tak sławny, że pod freskiem widnieje oficjalna nazwa „Trionfo della Morte”, i obok wielkimi literami „Der Totentanz”. Gdym czytał wojenne kartki raptularza Adama Krzyżanowskiego stanął mi nagle w pamięci ten fresk, i ten napis, i ciągle w duchu powtarzałem sobie: *der Totentanz, der Totentanz...* Że oni to wszystko przeżyli... Że tak straszne rzeczy spotkały tych dobrych, miłych, rozumnych, szlachetnych ludzi... Za jakie grzechy, jak mawiały pobożne Panie za czasów mego dzieciństwa, za jakie grzechy?... Gdzie jest sprawiedliwość, już nie dziejowa, ale Boska?

Der Totentanz. To wszystko, co z naszej strasznej epoki, z naszego życia, z naszych katastrof zostało.

W. A. ZBYSZEWSKI

Turkiewicz

Znów śmierć.

Umarł Zygmunt Turkiewicz — Turek, jakeśmy go wszyscy nazywali, artysta dużej miary, którego dzieło tak różnolite, tak uparcie i tak samotnie prowadzone, powinno być uratowane z zapomnienia.

Poznałem go i zbliżyłem się z nim jeszcze w Rosji. Kiedy Wydział Propagandy i Kultury Korpusu zorganizował małą wystawę rysunków żołnierzy-malarzy uderzyły mnie świetne rysunki Turkiewicza. Tłumy żołnierzy na tle gór Turkiestanu. Wciągnąłem go wówczas do Wydziału Propagandy, w którym do końca wojny pozostał kierownikiem działu plastycznego. Turkiewicz łączył w sobie talent bezkompromisowy z poczuciem odpowiedzialności zespołowej — co tak rzadko cechuje artystów; cieszył się dużym autorytetem u swoich współpracowników. Dział plastyczny szybko się rozrósł — były to dziesiątki afiszów, był to dział fotograficzny, były to wystawy malarzy-żołnierzy w Bagdadzie i w Rzymie. Nie pamiętam bym kiedykolwiek miał z nim w pracy trudności; polegać mogłem na nim całkowicie; był zarówno słowny i rzetelny w pracy, jak pewny w sądzie artystycznym.

W Korpusie, poza stanowiskiem kierownika działu plastycznego, gdzie sam prawie że nie mógł malować, świadectwem miary tego artysty jest album gwaszów i rysunków piórkami, poświęcony bitwie pod Monte Cassino. Na ten okres tylko zwolniliśmy go z wszelkiej pracy organizacyjnej, zostawiając mu kilka tygodni aby mógł się całkowicie poświęcić wykonaniu tego albumu o tematyce wojennej. Podjął się tak trudnego zadania nie ulegając żadnym naciskom by iść w ślady Wojciecha Kossaka. Album rozczarował niejednego generała i sporo naszych kolegów. Turek podjął się tematu drastycznie aktualnego i miał talent i odwagę, by zilustrować wypadki bez śladu tanzyny.

Koniec wojny nas rozdzielił. Turkiewicz osiadł w Londynie. Ja sam dojeżdżałem tam coraz rzadziej, w czasie każdego pobytu spotykaliśmy się zawsze.

Malarstwo Turkiewicza przechodziło fazy różne od czasu jego czujnych i pięknych rysunków turkiestańskich. (Przed wojną był uczniem Kowarskiego w Akademii warszawskiej studiując jednocześnie taktwo, którego był entuzjastą, oraz liternictwo). W czasie wojny namalował chyba tylko kilka płócien, bardzo jeszcze impresjonistycznych. Szok wywołany sztuką egipską zmienił zupełnie jego widzenie malarskie. Gdy przybył do Rzymu wyznał mi, że nawet freski Michała Anioła wydały mu się chaotyczne i „nieporządne”. Potem był Londyn i pewien okres gdzie malarstwo jego przypominało może Rouault'a, może niemieckich ekspresjonistów: brutalne uproszczenia postaci; wiązał wówczas najpełniej elementy figuratywne z doskonale podkreślonymi elementami abstrakcyjnymi. To malarstwo Turkiewicza było mi najbliższe. Potem nastął znów okres coraz czystszej abstrakcji. Te wszystkie zmiany łączyły się u niego z bezwzględny niszczeniem swych płócien uprzednich, którym wszelkiej wartości odmawiał. Ostatnia faza, którą znałem, to nieustanne poszukiwanie nowych materii, nowego materiału z którego płótna budował. Urzeczony trwałością barw polskiego ludowego taktwa, a bardziej jeszcze „wiecznością” wielkiej sztuki egipskiej, szukał wciąż składników najtrwalszych. Ani zwykłe farby, ani płótna, na których malowaliśmy, nie mogły go zadowolić. Chyba w 1966 roku widziałem po raz ostatni jego wystawę w Londynie; jego obrazy robiły na mnie wrażenie abstrakcji kształtowanych w skale, o prostym i jakże silnym, dźwięcznym, barwnym działaniu. Na kwadratach różnego wymiaru o dziwnej skalistej materii lśniły barwne kropki i plamy jak kamienie drogocenne lub dziwne, zdawałoby się, hieroglify. Czy to był znowu powrót do Egiptu?

Pisząc dziś na gorąco nie jestem w stanie sprawdzić, na ile te wspomnienia etapów jego rozwoju są ściśle i jak łączyły się one z różnymi współczesnymi kierunkami w sztuce. Jednego jestem pewny — sztuka to swoista, bardzo oryginalna, nigdy nie dążyła za żadną modą.

Chyba ostatnie lata jego życia były najszczęśliwsze. Ożenił się z uroczą kobietą. W ich mieszkanku, dziś osamotnionym,

którego okna wychodziły na trawnik i — o ile pamiętam — na kilka wielkich drzew, pracował nadal uparcie i dom tych dwojga pozostawił mi wspomnienie jasnej pogody.

Co zostało z jego licznych prac, które namalował i które tak łatwo, wbrew błaganu przyjaciół, *niszczyć*? Dziś, zaraz, trzeba by jego koleczy w Londynie dzieło jego życia przejrzeli. Nie wątpię, że zechce się tym zająć prof. Bohusz-Szyszko, jego jeszcze z 2-go Korpusu towarzysz i kolega.

Ilu z nas żyje za *dtugo*, Turek umarł za wcześnie. Co zrobić by jego dorobek nie przepadł?

Józef CZAPSKI

Zjazd amerykańskich sławistów

Tegoroczny zjazd odbył się w Nowym Jorku, w hotelu Statler-Hilton, 27-29 grudnia, 1972 roku. Jak zwykle na tego rodzaju imprezach, oprócz ściśle organizacyjnych zebrań, przemówień i wystaw książek, zjazd był głównie poświęcony referatom i dyskusjom. Tak referaty jak i dyskusje były prowadzone, z małymi wyjątkami, w języku angielskim.

W pierwszym dniu zjazdu pracowało aż pięć sekcji: metodologia, lingwistyka, rosyjska literatura emigracyjna, programy studiów językowych w Związku Sowieckim i we Wschodniej Europie, słowiańska cywilizacja i kultura. Razem odczytano dwadzieścia jeden referatów, z których prawie wszystkie były poddane dyskusji przez słuchaczy. W drugi dzień pracowały cztery sekcje: południowo-, zachodnio- i wschodnio-europejska lingwistyka, recytacje poezji, sztuka tłumaczenia, literatura. Odczytano dziewięć referatów, jak również szereg wierszy i tłumaczeń. Wieczorem tego samego dnia odbył się doroczny bankiet stowarzyszenia, z mową programową poświęconą Dostojewskiemu. Program trzeciego dnia był najkrótszy, bo składał się tylko z trzech sekcji: południowo-, zachodnio- i wschodnio-europejska literatura, oraz dwie dyskusje literackie, jedna poświęcona Puszkiniowi, druga Dostojewskiemu. Wygłoszono osiem referatów i szereg krótkich przemówień.

Mimo ogólnych nazw niektórych sekcji, w programie zjazdu przeważała przynajmniej tematyka rosyjska i sowiecka. Jeżeli chodzi o polską tematykę, to chociaż wśród pozostałych była reprezentowana stosunkowo najlepiej, to jednak referatów i przemówień na polskie tematy było stanowczo za mało. W pierwszym dniu, na przykład, tylko dwa referaty miały polską tematykę i to tylko częściowo: „Programy studiów językowych w Polsce i Jugosławii” (Joseph Conrad, Uniwersytet Kansas) i „Definicja pokoju atomowego — kulturalne implikacje” (Edmund Zawacki, Uniwersytet Wisconsin). Drugi dzień przyniósł tylko jeden polski temat: „Alternacja e/o zero w polskiej fonologii” (Richard D. Steele, Uniwersytet Harvard). Sytuacja polepszyła się dopiero w ostatnim dniu zjazdu, w sekcji literatury, której przewodniczył profesor Jarosław B. Rudnyckij (Uniwersytet Manitoba, Kanada). W tej sekcji były referaty z tematyką sowiecką, ukraińską, jugosłowiańską, węgierską i aż trzy referaty poświęcone tematyce polskiej, a mianowicie: „Miejsce Wacława Berenta w tradycji *Młodej Polski*” (Joa-

chim Bear, Uniwersytet New York), „Poezja polskiego samizdatu” (E. Szein, Uniwersytet Yale) i referat porównawczy, „Polscy pisarze w rosyjskiej literaturze XIX wieku”, który wygłosił autor tego sprawozdania.

Tak jak wśród uczestników zjazdu, tak i wśród licznie zebranych słuchaczy dał się zauważyć mały udział polonistów. Oprócz prelegentów, nie było ich chyba więcej niż pięciu. Zjazd, w czasie którego naukowcy ukraińscy mieli swoje własne zebranie, jak również naukowcy nowoutworzonego stowarzyszenia nauk południowo-słowiańskich, nie mówiąc już o oddzielnych sekcjach poświęconych Puszkiniowi i Dostojewskiemu, na tym zjeździe poloniści jako grupa byli prawie nieobecni. Kiedy się weźmie pod uwagę że zjazd odbył się w Nowym Jorku, który jest siedzibą nie tylko Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, ale także Fundacji Kościuszkowskiej, to łatwo dojść do wniosku, że nawet bez dodatkowych referatów, bo to jest rzecz ściśle indywidualna, można było przynajmniej mieć wystawę książek z obu tych instytucji i ktoś z Fundacji Kościuszkowskiej albo też z Kolegium Związkowego mógł przemówić w sekcji programów studiów językowych, na które Fundacja i Kolegium wysyła studentów do Polski. Takie wnioski są smutne, bo świadczą wymownie o braku jakiegokolwiek kierunku programowego i szerszej działalności u większości naukowców polonistycznych i organizacji tę polonistykę rzekomo popierających, a także o ich niezdolności wyjścia poza wąskie ramy organizacji.

Frank MOCHA, Ph. D.
New York City

UZUPEŁNIENIE NAGRÓD LITERACKICH

W wykazie nagród literackich na emigracji, ogłoszonym w nrze 1/304-2/305 *Kultury* opuszczono:

Zygmunt Lubicz-Zaleski — w 1958 roku odznaczony nagrodą pisarską SPK, w 1953 roku — Krzyżem komandorskim Polonia Restituta.

E. Zagiell (E. Jakubowski) — w 1961 roku nagroda ufundowana przez Badeniego w Konkursie *Wiadomości* na esej.

Aleksander Bregman odznaczony został pośmiertnie orderem oficerskim Polonia Restituta.

LEON MITKIEWICZ-ŻOŁŁTEK

W dniu 12 grudnia 1972 roku zmarł w Nowym Jorku, w wieku 76 lat, płk dypl. Leon MITKIEWICZ-ŻOŁŁTEK.

Płk Mitkiewicz był przed wojną dowódcą 2 pułku szwoleżerów rokitniańskich, a następnie pierwszym attaché wojskowym RP w Kownie. W czasie wojny był zastępcą Szefa Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie i Szefem Polskiej Misji Wojskowej przy Alianckim Dowództwie Strategicznym w Waszyngtonie. Zmarły był autorem licznych książek historyczno-pamiętnikarskich i artykułów, drukowanych m.in. w *Zeszytach Historycznych*.

W *Bibliotece „Kultury”* ukazały się jego wspomnienia pt. „Z generałem Sikorskim na obczyźnie” (1968).

Z teki informacyjnej

Przedsiębiorstwo transportowe pod egidą bogów olimpijskich

Mowa tu, naturalnie, o dwóch boskich i dwóch ubóstwionych synach Zeusa, czyli Jowisza. Z tych pierwszych, jeden, Hermes (*Merkury*), syn Mai, miał za dziadka Atlasa, zaś drugi, *Apollo*, syn Leto (czyli Latony, jak ją nazwał poeta), miał za babkę Febe, przy czym tytan Atlas wraz z tytanką Febe byli suwerenami *księżycy*. Ubóstwione bliźnięta (Dioskurowie, czyli *Gemini*), Kastor i Pollux, byli synami Ledy, którą Zeus uwiódł przybrawszy postać łabędzia, a którzy stali się patronami i zbawcami żeglarzy (tj. nautów, co można rozciągnąć i na kosmonautów), obrawszy sobie przy tym siedzibę na gałęzi drzewa dzikiej gruszy, która, jak wiadomo, jest drzewem poświęconym księżycowi.

Nie ma zatem żadnych wątpliwości co do mitologicznych kompetencji tych, którzy nadawali nazwy trzem rodzajom amerykańskich statków kosmicznych użytych do wyprawy na księżyc, wykonanej w 26 lotach, rozpoczętych w maju 1961 roku. Najpierw było kolejno sześć ćwiczebnych lotów jednoosobowych statków kosmicznych *Mercury*, po czym, od marca 1965 dziesięć, również ćwiczebnych lotów dwuosobowych statków *Gemini*, wreszcie od października 1968 odbywały się starty dziesięciu okrętów kosmicznych *Apollo*, z których pięć wykonało właściwe wyprawy, wysyłając z orbity przyksiężycowej dwuosobowe kosmiczne szalupy desantowe, lądujące na księżycu. (Szósty okręt, *Apollo 13* został podczas podróży w kwietniu 1970 uszkodzony przez wybuch zbiornika ze skroplonym tlenem i zawrócił, nie wykonawszy lądowania, ale załoga wyszła bez szwanku).

Warto by chyba zarejestrować nazwiska pierwszej dziesiątki ludzi, którzy „własnonożnie” chodzili po księżycu. Nie jest to mniej ważne niż nazwiska odkrywców biegunów ziemi, łądów, czy zdobywców wielkich szczytów górskich. Pierwszymi na księżycu byli w lipcu 1969 Neil Armstrong i Edwin Aldrin (szalupa „Eagle” z okręgu „Apollo 11”, którego kapitanem był Michael Collins). W listopadzie tegoż roku lądują Charles Conrad Jr i Alan Bean (szalupa „Hornet”, okręt „Apollo 12”, kapitan Ri-

chard Gordon Jr). W lutym 1971 lądują Alan Shepard (dziesięć lat przedtem był on pierwszym Amerykaninem w przestrzeni kosmicznej, odbywszy lot na pokładzie statku Mercury 3) i Edgar Mitchell (szalupa „Antares”, okręt „Apollo 14”, kapitan Stuart Roosa). W sierpniu tegoż roku lądują David Scott i James Irvin, wraz z ręcznym wózkiem dla instrumentów pomiarowych i zbieranych próbek (szalupa „Endavour”, okręt „Apollo 15”, kapitan Alfred Worden Jr). Zostawili oni na księżycu plakiety z nazwiskami „poległych” kosmonautów tj. Amerykanów: Virgil Grissom, Edward White, Roger Chaffe (którzy spłoneli w pożarze ćwiczebnego „Apollo 204” w lutym 1969), Theodore Freeman (którego ćwiczebny samolot rozbił się przy zderzeniu z dziką gęsią), Elliot See, Charles Bassett, Clifton Williams (zginęli w katastrofach lotniczych), i Edward Givens (zginął w katastrofie samochodowej), oraz Rosjan: Władimir Komarow (rozbił się wraz ze statkiem „Sojuz I”, którego spadochron okazał się wadliwy), Jurij Gagarin (pierwszy człowiek w przestrzeni kosmicznej, zginął w katastrofie lotniczej), Paweł Beljajew (zmarł po operacji wrzodu żołądka), Georgij Dobrowskij, Wiktor Pacajew i Władisław Wołkow (zginęli przy powrocie z rekordowo długiego lotu w przestrzeni kosmicznej, 23 dni 17 godzin 40 min., gdy statek „Sojuz II” nagle stracił ciśnienie powietrza).

W kwietniu 1972 lądują John Young i Charles Duke, wraz z elektrycznym samochodem „Rover” (szalupa „Orion”, okręt „Apollo 16”, kapitan Thomas Mattingly II). Wreszcie ostatni dwaj, w grudniu 1972, Gene Cernan i Harrison Schmitt, również z samochodem „Rover 2” (szalupa „Challenger”, okręt „Apollo 17”, kapitan Ronald Evans).

Z ostatnich trzech wypraw każda pozostawiła na księżycu zestawy instrumentów ALSEP (tj. *Apollo Lunar Surface Exploration Pack*), które będą przez długi jeszcze czas przekazywać na ziemię dane pomiarowe. Ponadto „Apollo 17” umieścił na orbicie odległej średnio 120 km od księżyca „subsatelitę”, który zawiera m.in. precyzyjne spektrometry i magnetometry, oraz będzie przekazywać dane co najmniej przez rok.

Kongres amerykański zredukował budżet badań kosmicznych pod wpływem czynników skomplikowanych, których analiza musiałaby obejmować rozpatrzenie takich zagadnień jak polityczno-partyjne walki wewnątrz Administracji, wojskowo-resortowe rywalizacje, przemysłowo-naukowe konkurencje itp. zjawiska, które będą specyficznie amerykańskie są trudne do wyjaśnienia bez obszernej monografii. Duże znaczenie miały tu także takie czynniki jak nadmierne, biurokratycznie rozbudowany personel NASA (tj. *National Aeronautics and Space Administration of the USA*), poważne zmniejszenie się „sensacyjności” lotów, oraz, przede wszystkim, okres ostrej walki z inflacją. Niewielki, choć w systemie amerykańskim nieunikniony wpływ miała hałaśliwa propaganda grupy „zdrowomyślących” obywateli (i cudzoziemców!) którzy wołali i wołają głośno i natarczywie, że ciężkie dolary wydawane na eksplorację księżyca (około 25.000 milionów)

są zbyt dużą ceną zapłaconą za parę cetnarów kamieni i piasku, podczas gdy sumy te z wielkim pożytkiem mogłyby być wydane na zaspokojenie palących potrzeb i krzywd społecznych, zarówno w Ameryce, jak (głównie) w krajach „rozwijających się”. Argumentacja ta jest efektywna, ale może bardziej emocjonalnie, niż rzeczowo. Kontrargumenty przeważnie nie mają ładunku emocjonalnego, a więc znacznie słabiej przyciągają zainteresowanie środków przekazu masowego i znacznie mniejszy mają efekt doraźny, ale nie są pozbawione siły logicznej. A więc 1) — sumy wydane na wyprawy księżycowe obejmują nie tylko właściwe koszty lotów, oraz znacznie większe wydatki na stworzenie i utrzymanie olbrzymiej, globalnej sieci komunikacji, łącznie z radiową i telewizyjną, ale także wydatki na rozpracowanie technologiczne wielkiej liczby zagadnień materiałowych i instrumentalnych, które stanowią cenną zdobycz techniczną w wielu dziedzinach gospodarczych, niezależnie od potrzeb badań kosmicznych. Należą tu takie np. dziedziny jak udoskonalona technika przemysłowa operowania próżnią tzw. „twardą”, która otworzyła możliwości bardzo ważnej technologii półprzewodników; technika kriogeniczna, pozwalająca dziś operować swobodnie znacznymi masami takich gazów skroplonych, jak argon, tlen, wodór i hel, co poza wieloma dziedzinami techniki otworzyło niezwykle możliwości na polu stosowania technologii superprzewodników; udoskonalenia w zakresie tranzystorów i mikronizacji obwodów zespolonych, co umożliwiło budowę wysoce sprawnych komputerów „trzeciej generacji”; rewolucyjne udoskonalenia techniki fotograficznej, techniki pomiarów promieniowań elektromagnetycznych itd. aby wymienić tylko z grubsza te dziedziny, w których już dziś badania kosmiczne przyniosły ubocznie (jako *spin-off*) skutki przemysłowo-techniczne które dały ekonomiczne i finansowe wyniki najzupełniej współmierne z całym budżetem lotów księżycowych. Po 2-gie, cały „przeraźliwie” duży budżet NASA jest w istocie mniejszy niż sumy jakie USA wydają na uregulowanie biegu rzeki Missisipi, a także mniejszy niż to, co obywatele Stanów wydają na same papierosy! Można by jeszcze, niejako na marginesie, dodać że nikt podobnych zarzutów i propozycji nie wysuwa pod adresem Rosji Sowieckiej, której program badań kosmicznych oparty jest na budżecie — wprawdzie oficjalnie nie ujawnionym — ale który w stosunku do wielkości dochodu narodowego na głowę mieszkańca, stanowi obciążenie, w najlepszym razie nie mniejsze niż budżet NASA.

Wyniki naukowe wypraw na księżyc są trudne do oceny nawet przybliżonej właśnie dlatego że są ogromne, w niektórych dziedzinach może rewolucyjne. Pozwalają one nie tylko rozstrzygać wiekowe kontrowersje i hipotezy dotyczące natury i pochodzenia księżyca, ale także dają wiele materiałów do konstruowania uzasadnionych poglądów na genezę i strukturę całego naszego układu planetarnego. Wiele z ważnych danych naukowych osiągniętych na księżycu, wbrew często wyrażanym poglądom, nie byłoby możliwych do zdobycia bez wylądowania tam człowieka.

Budżet NASA uległ redukcji, co między innymi spowodowało przedterminowe zwinięcie „przedsiębiorstwa transportowego pod firmą Apollo”, oraz pozostawienie chwilowo bez decyzji projektu „wielkiej wyprawy” (*grand tour*) statku kosmicznego, który, naturalnie bez załogi, miałby odwiedzić po kolei Jowisz, Saturn, Uran, Neptun i Pluto. Podróż taka, która ma trwać około 8 lat, musi się rozpocząć za cztery lata, a więc decyzja konieczna jest niebawem, aby można było zdążyć z wykonaniem wszystkich prac przygotowawczych. Gdyby najbliższa data „wyjazdu” statku została przegapiona, to dopiero za 180 lat powtórzy się taki układ planet, przy którym będzie możliwa tego rodzaju podróż, gdzie dla napędu statku wykorzystane mogą być impulsy grawitacyjne kolejno spotykanych planet, jakby przerzucających sobie od jednej do drugiej „piłkę” statku kosmicznego, niby w międzyplanetarnej grze w rugby.

W raporcie „O Badaniach Planet Zewnętrznych w latach 1972-1985”, opracowanym przez amerykańską Narodową Akademię Naukową (*National Academy of Sciences*), znajdują się trzy warianty budżetu: wielki — 400 milionów dolarów rocznie, skromny — 250 milionów i minimalny — 40 milionów. Tylko przy dwóch pierwszych wariantach *grands tours* mogą być zorganizowane w latach 1976 i 1977. Wielki budżet pozwoli na wyprawienie po kolei czterech statków kosmicznych, średni budżet — dwóch.

Statek kosmiczny, projektowany na taką wyprawę, TOPS (tj. *Thermoelectric Outer-Planet Spacecraft*) musi posiadać stację termoelektryczną napędzaną plutonem, gdyż poza orbitą Marsa promieniowanie słoneczne jest już zbyt słabe aby generować prąd z baterii komórek fotoelektrycznych. Według projektu, TOPS ma ważyć około 635 kg, zawierając poniżej 100 kg instrumentów naukowych. Będzie on przekazywać dane z szybkością 100.000 bitów na sekundę. System kontroli, która nie może być prowadzona z ziemi, zawiera duży komputer typu STAR (*self-test and repair*) automatycznie przeprowadzający wymianę elementów jakie by uległy uszkodzeniu, a zawiera tyle części zapasowych i alternatywnych połączeń aby mógł funkcjonować co najmniej 10 lat. TOPS mógłby ulec awarii tylko przez zderzenie z dużym meteoroidem, czego prawdopodobieństwo jest małe, mimo że zaraz na początku podróży, między orbitą Marsa i Jowisza TOPS będzie przechodzić przez pas asteroidów mający szerokość 280 milionów km (a więc niewiele mniej niż dwukrotna odległość ziemi od słońca).

Przez ten pas obecnie zaczyna przechodzić statek „Pioneer 10” wypuszczony w marcu 1971 roku na spotkanie z Jowiszem, które ma nastąpić w końcu listopada bieżącego roku. Naturalnie zakładając, że nie spotka go awaria. Toteż losy „Pioneer’a” w pasie asteroidów śledzone są z wielką uwagą, tym bardziej że już w pierwszych warstwach tego pasa uderzenia mikrometeoroidów, zasadniczych szkód nie wyrządzających, okazały się o 50 % liczniejsze niż można się było spodziewać z teoretycznych obliczeń.

Drugi statek tegoż samego typu „Pioneer G” ma być wysłany w marcu lub kwietniu bieżącego roku. W pobliżu Jowisza, koło którego statki przesuwać się będą w ciągu około 100 godzin, będą one mierzyć szereg czynników oraz fotografować powierzchnię planety w spektrum promieni niebieskich i czerwonych, przesyłając dane z szybkością 1.024 bitów na sekundę nadajnikiem, który ma tylko 8W mocy, które odbierane będą przez anteny talerzowe w Kalifornii, Australii i Hiszpanii, każda o średnicy 64 metrów.

Naturalnie, po spotkaniu z Jowiszem „Pioneer” otrzyma potężne pchnięcie grawitacyjne, które go wyrzuci w przestrzeń kosmiczną, poza granice systemu słonecznego. Carl Sagan i French Drake, profesorowie astronomii z amerykańskiego uniwersytetu Cornell, zdążyli uzyskać zgodę NASA aby wykorzystać statek „Pioneer 10” jako „pocztę butelkową”. Mianowicie do statku przymocowana jest z zewnątrz złożona plakietka aluminiowa 15×22 cm z wytrawionymi rysunkami, które by miały inteligentnemu odbiorcy pozwolić na wywnioskowanie skąd, tj. z jakiego układu słonecznego i z jakiej jego planety statek został wysłany. Nie brakło przy tym ostrych protestów, bowiem są tacy, którzy uważają, że zdradzanie swej obecności w kosmosie jest lekkomyślne i niebezpieczne, gdyż wobec innych ras we wszechświecie możemy się znaleźć w pozycji Azteków wobec Corteza.

Obiekcje te zostały jednak przewyciężone nie tylko argumentem, że w okolicy najbliższych gwiazd-słońc (co do których nie ma pewności, że posiadają one układy planetarne) „Pioneer” dotrze po... 80 tysiącach lat (co najmniej), ale także iż „poczta w butelce” wcale nie należy do pewnych przesyłek. Wiadomo na przykład, że Kolumb, wracając z pierwszej wyprawy, wpadł w tak gwałtowną burzę iż stracił nadzieję ocalenia. Sporządził więc list z krótkim opisem swych odkryć i w zalakowanej butelce wrzucił w morze aby choć wiadomość o odkryciu nowego ładu doszła do świata. Ostatecznie okręt Kolumba ocalał, ale jego poczta butelkowa nigdy i nigdzie się nie znalazła.

Coraz intensywniej studiowane są nasze obie sąsiednie planety. Rosjanie z powodzeniem eksplorują Venus, Amerykanie Marsa. Statek „Mariner 9”, który wszedł w orbitę Marsa w listopadzie 1971 roku przeczekał gwałtowną burzę piaskową, która zakryła powierzchnię planety na wielkiej przestrzeni (a zniszczyła przy tym rosyjski lądujący statek „Mars 3”) i funkcjonując doskonale przez rok, przysłał rekordową liczbę danych informacyjnych, łącznie z dziesiątkami tysięcy wspaniałych, szczegółowych fotografii powierzchni Marsa (i jego księżyców). Ale w miarę jak go coraz lepiej poznajemy, Mars staje się coraz bardziej interesujący, ważny i... zagadkowy. Statki typu „Mariner” przestają wystarczać dla wyjaśnienia nowych zagadnień — za dwa lata (w 1975) mają więc wyprawione kolejno dwa statki typu „Viking”, posiadające automatyczne kapsuły desantowe, które po wylądowaniu na wybranych terenach Marsa będą przez 90 dni dokonywać pomiarów, analiz próbek z powierzchni oraz wierceń,

i będą szukać śladów życia organicznego, którego prawdopodobieństwo jest coraz większe, choć być może iż należy już ono do historycznej przeszłości Marsa.

Planowana na rok 1985 wyprawa okrętu kosmicznego, z załogą co najmniej dwunastu osób, który odbędzie rok trwającą podróż do orbity Marsa i wysadzi na jego powierzchnię szalupę desantową z partią kosmonautów, może się dziś jeszcze wydawać fantazją. Szereg zagadnień technicznych, związanych z tym planem nie jest jeszcze rozwiązanych. Warto jednak przypomnieć, że w roku 1950 projekt lądowania na księżycu również należał do dziedziny czystej fantazji i miał większość zagadnień technicznych „nie do rozwiązania”.

Do rzędu całkowicie realnych oraz zupełnie zdecydowanych należy projekt statków „dojazdowych” (*space shuttle*), które uczynią możliwym i praktycznym umieszczenie „permanentnych laboratoriów” badawczych na orbicie 150 km nad ziemią. Do tego tematu warto będzie jeszcze powrócić.

Podpisana już została wstępna umowa przewidująca ściślejszą współpracę w tej dziedzinie NASA z Rosją Sowiecką, co najmniej w zakresie rozpracowania wspólnych standartowych urządzeń dla wzajemnego „dokowania” statków kosmicznych. W ten sposób nie tylko uczeni z obu krajów będą mogli korzystać z tego samego laboratorium badawczego, ale co ważniejsze, w razie awarii, statki kosmiczne różnych krajów będą mogły sobie wzajemnie pomagać. Europejska Organizacja Badań Przestrzeni Kosmicznej (ESRO), której 200-osobowy zjazd odbył się w styczniu tego roku (we Frascati) zakończył się wprowadzeniem w życie rezolucji, którą można rozmaicie interpretować i która właściwie nic nie postanawia, ale jasne jest że przemysł i nauka jednoczącej się Europy nie może pozwolić sobie na wycofanie się z postępu technicznego. Tak samo jak Europa musiała w końcu wyposażać i umieścić komunikacyjne przekaźnikowe stacje satelitarne, tak też będzie musiała zdobyć się na skonstruowanie i „zaorbitowanie” własnych laboratoriów kosmicznych.

J. P. HORZELSKI

Książki

Jarmark pełen pomarańczy

Są tematy literackie, które pociągają pisarzy jak magnes. Wydają się tak nośne, że byle dotknąć a polecą rozdział. Tak intensywnie, że lęku o czytelnika nie bierze się nawet w rachubę. Tak palące, że chce się je załatwić natychmiast jak ostrą potrzebę łożka. Pytanie: może miarą dojrzałości pisarza jest umiejętność odejścia od czegoś, czemu nie potrafi sprostać. Może to być zarówno umiejętność przeczekania, jak umiejętność rezygnacji. W gruncie rzeczy jest to po prostu odwaga chłodnego, bezlitosnego obliczenia własnych sił. W żadnej sytuacji życiowej nie jest to łatwe, ale może najtrudniejsze jest właśnie w literaturze. Jeśli coś odróżnia pisarza od grafomana to to, że pierwszy siebie nie lubi, z okresami ostrej nietolerancji włącznie. Drugi jest spokojny, mieści się świetnie w ramach jakie mu życie przeznaczyło, nie szarpie siebie i nie szarpie innych. Przypomina faceta z przedmieść gdzie o jedenastej gasną światła, trawa jest równo przykoszona a seks załatwia się z soboty na niedzielę, w przerwach między jednym a drugim telewizyjnym *show*.

Przedmieścia są częścią systemu, grafomani są częścią literatury. Nikt nie jest na tyle naiwny żeby żądać zniknięcia obu tych zjawisk, są marginalne ale nieodłączne, życie nie składa się z samych rzeczy wielkich, wszyscy o tym wiemy. Czasami jednak nie można się oprzeć lekkiej irytacji; bywa to zazwyczaj wówczas kiedy ktoś celowo zamazuje linie podziału.

Powiedziałam na wstępie, że są tematy które pociągają pisarzy jak magnes. To prawda. Jednym z nich jest temat-otchłań, który pociągnął wielu i pochłonął wielu, z którego mało kto wyszedł cało nie mówiąc już o wyjściu z honorem. Główna teza psychologiczna tego tematu to pustka życia sławnych kobiet. Pustka życia, które zostało zbudowane na zniszczeniu miłości, życia, gdzie hierarchia wartości została przebudowana wbrew wewnętrznym potrzebom, gdzie potrzeba dzielenia została zastąpiona potrzebą osiągnięcia, gdzie miraż sławy przesłonił to, co mogło być autentyczną bliskością i autentycznym samospraw-

dzeniem. Załamanie nadchodzi zazwyczaj po osiągnięciu szczytu, samotność staje się tym dotkliwsza im bliżej do końca życia. Lata dają zdolność widzenia proporcji wartości, ale lat nie można cofnąć. Mamy punkt kulminacyjny dramatu. Większość pisarzy zaczyna od niego jako od linii startowej i idzie wstecz. Ma się do wyboru szereg alternatyw. Akcent na autonomiczną i niezbędną potrzebę samookreślenia (Fromm i Karen Horney ze współczesnych psychologów) albo akcent na biologiczną, emocjonalną część osobowości (Freud). Tak na marginesie to warto zaznaczyć że Freud nigdy nie wytłumaczył w pełni osobowości narcystycznej, a jest więcej niż pewne, że większość pisarzy wywodzi się właśnie z tej grupy. Lepiej znoszą samotność i ich punkt kulminacyjny nie musi być koniecznym początkiem dramatu.

Żeby pisać na temat samotności kobiety wybitnej nie trzeba mieć wykształcenia psychologicznego, ale trzeba mieć talent. Jest to temat *par excellence* literacki, wymaga doskonałej obróbki, świetnego stylu, nieskazitelnego warsztatu. Każdy brak wypłynie tutaj na wierzch błyskawicznie, każda pływiczna zaróżnienie tandetą literacką na przestrzeni jednej strony. Sama wrażliwość na temat tu nie wystarczy, bo wrażliwość bywają różne, jedne dotykają naskórka zagadnienia, inne sięgają głęboko poza ściegna. Pisarz który wchodzi w ten temat, wchodzi automatycznie w konfrontację, w pojedynek albo porównanie z innymi, którzy byli już tutaj przed nim. Odważnych jednak nie brakuje, może dlatego, że niektórym odwaga kojarzy się z samozadowoleniem.

Powieść Antoniego Gronowicza *An Orange Full of Dreams* została w Polsce Ludowej rozreklamowana jako duże osiągnięcie prozatorskie na rynku amerykańskim. Przyjemność dla reklamujących podwójna bo pisarz pochodzenia polskiego, a książka napisana po angielsku. Specyficznym punktem tej przyjemności dla strony reklamującej jest fakt, że pisarzowi się w Polsce Ludowej bardzo podoba, a o Ameryce wyraża się krytycznie. Narkotyki, gangi, źle traktują młodzież murzyńską, powszechny brak ideałów moralnych. Nie znam osobiście Gronowicza mogę jednak łatwo odgadnąć, że nie bez znaczenia w tym jego *warm-relationships* z władzami PRL-u jest fakt nieograniczonej wręcz możliwości wymiany amerykańskich dolarów w oddziale banku PKO na Czackiego.

Każdemu wolno jest wyrażać swoje niezadowolenie ze stosunków panujących w tym czy innym kraju, każdemu wolno sprzedawać to, co ma do sprzedania. Niedobrze jest jednak prowadzić transakcje na dwie strony, bo abstrahując już od rzetelności jest to po prostu ryzykowne. Wcześniej czy później ktoś się temu towarowi przyjrzy i rezultatem nadmiernej reklamy może być kupa niesmaku (konsekwencji nie będzie, bo konstytucja amerykańska jest jedną z najbardziej liberalnych na świecie).

Na samym wstępie do książki „An Orange Full of Dreams”

Gronowicz podkreśla wyraźnie, że wszystkie postacie i wydarzenia są czysto fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo jest czysto przypadkowe. Wstęp napisała Greta Garbo, a główna bohaterka nazywa się Greta Galingala. Oczywiście jest to niby *purely coincidental* ale wymierzone prosto i dokładnie w zaostrzoną ciekawość potencjalnego czytelnika. Książka została wydana przez Dodd, Mead & Company w 1971 roku. W 1956 Gronowicz napisał coś, co można by nazwać próbą literackiej biografii Heleny Modrzejewskiej i zatytułował to *Modjeska, her life and loves*. Wydawcą był T. Hoseloff, książka została dedykowana Grecie Garbo. Na pierwszej stronie w tzw. *author's note* Gronowicz pisze: *this book is based on twenty years of research, interviews, and travel throughout Europe and America gathering material on the life of the great Shakespearean actress, Helena Modjeska*¹. Nie byłoby w tym zbiegu okoliczności nic dziwnego, poza pewnym szczególnie zafascynowaniem tematyką które przetrwało prawie dwadzieścia lat, i za które można by mieć do autora tylko szacunek, gdyby nie fakt, że porównując obydwie książki człowiek łapie się za głowę. 90 % książki zatytułowanej „An Orange Full of Dreams” to leciutko zaledwie przepracowana „Modjeska, her life and loves”. Píše Gronowicz w wywiadzie dla *Kierunków*, że bohaterka z „An Orange Full of Dreams” to kompozycja wielu aktorek, wielu osobowości, wielu wydarzeń teatralnych. Zastanawia się nawet, że może *background* byłoby lepsze gdyby przenieść je do Szwecji. Wolno się autorowi zastanawiać nad czym ma ochotę, zwłaszcza w *Kierunkach*, tego dla odmiany nie broni konstytucja polska. Żal mi jednak paxowskiego reportera, że nie może porównać obu książek i zobaczyć, że są niemal identyczne. Każdy autor ma prawo przepracowania swojej książki na nowo, to się świetnie mieści w niepisanym kodeksie literackim na całym świecie. Automatycznie niejako zakłada się, że druga wersja będzie lepsza, bogatsza, dojrzalsza. Podczas jednak kiedy „Modjeska, Her Life and Loves” było ckliwą biografią literacką z akcentem na sensacyjne, erotyczne elementy tej biografii, „An Orange Full of Dreams” ma już pretensje czysto prozatorskie i jako takie jest reklamowane. Nie chcę być małosłowną i cytować całych stron i rozdziałów które zostały żywcem przeniesione z jednej książki do drugiej. Nawet angielski Gronowicz nie poprawił się za dużo, ma ciągle te tendencje do stylu à la Mniszkówna (*Drops of water clung to her like pearls, she was superbly conscious of her own loveliness, and in a pensive pose considered what a prize she would be for the first man she would give herself to*²) — „An Orange...”, str. 18.

Dialogi są sztywne, nieautentyczne (*I have prepared a fire*

1. Książka jest oparta na dwudziestu latach poszukiwań, wywiadów i podróży przez Europę i Amerykę w celu zebrania materiału o wielkiej, Szekspirowskiej aktorce, Helenie Modrzejewskiej.

2. Krople wody przywarły do niej jak perły, była cudownie świadoma własnej śliczności i w zadumanej pozie zastanawiała się nad tym jaką nagrodą będzie dla pierwszego mężczyzny, któremu się odda.

in your room. The dampness of the night requires it³) — „An Orange...”, str. 10. — albo żywcem tłumaczone ze staroświeckiej polszczyzny jak np. określenie „pokorny sługa szanownej pani”, które w angielskim brzmi po prostu śmiesznie. Nie jest więc to książka pisarza, który poprawił swój język ani książka pisarza, który wzbogacił własne życie wewnętrzne na tyle, by podjąć się po raz drugi tematu, którym się już raz zajął. Nie ma tu ani psychologicznego wżarcia się w sedno tematu, ani dobrej konstrukcji, ani stylu. Ktoś zapyta, i słusznie: więc cóż jest? — Jarmark.

Na jarmarkach jest tłoczno, na jarmarkach sprzedaje się wszystko co tylko można, krzyk zagłusza wartości, pstrokaczna kolorów razi oczy, nie chodzi się tam po to żeby odnaleźć wartości artystyczne, ale po to żeby się pogapić, pogapić bez żadnego zobowiązania, nawet kupić niczego nie trzeba, ot po prostu jest się tam *for kicks*. Jarmarkiem w książce Gronowicza są ciągle, nieuporządkowane, tandetne, cklive wtręty z historii Polski. Jeśli w jednym rozdziale nie ma tzw. nieszcześliwej ojczyzny, to możemy być pewni, że w drugim będzie legenda o smoku wawelskim albo o Wieliczce. Tam gdzie nie dostaje psychologii albo zwyczajnej prawdziwej prozy, autor ciska w amerykańskiego czytelnika egzotycznymi wtrętami z dalekiej ojczyzny. Jest to więc jarmark absolutny, gdzie wszystko jest dozwolone, gdzie na jednym straganie sprzedaje się wielką samotność, na drugim wielką sztukę, na trzecim miota się umierająca kobieta, która nigdy nie odnajdzie kochanka z lat młodości, a między straganami chodzi wawelski smok i księżniczka Kunegunda tańczy z Bolesławem Walecznym. I do tego mały, pikantny akcent: autor który się chwali pochodzeniem chłopskim (*Kierunki*, 7-go stycznia 1973) operuje niemal wyłącznie w sferach arystokracji i nie kryje swoich ciepłych uczuć dla tej warstwy społecznej. Może więc kiedy dla większości pisarzy literatura jest bolesnym samooczyszczeniem, dla niektórych ciągle jeszcze reprezentuje awans społeczny? Może ambicje z lat młodości przetrwały w ciepłych zakątkach podświadomości aż do czasów Polski Ludowej? Całkiem możliwe, figle podświadomości nie ograniczają się do pisarzy wielkich, pacjenci Freuda rekrutowali się z różnych sfer.

Rynek amerykański jest bardzo duży, bardzo zróżnicowany i jedna marna książka ani go nie zmienia, ani go nie niszczy. Rzecz nie w tym. Myślę nawet, że jeśli „An Orange Full of Dreams” jest prezentowane jako szczyt osiągnięć autora w języku angielskim to przerzucenie się na Polskę Ludową było całkiem słuszne. W PIW-ie mają doskonałych redaktorów, dużo można tą drogą uratować, a budowanie mitu którego korzenie są z oceanem jest znacznie łatwiejsze. Chodzi mi jednak o coś ważniejszego niż o nieładny aspekt koniunkturalności takiej decyzji.

3. Przygotowałem ogień w twoim pokoju. Wilgoc nocy wymaga tego.

Chodzi mi o ludzi, którzy będą te pomarańcze kupować. Zdarzało mi się ich widzieć stojących w ogonku po owoce tylko dlatego, że były importowane. Byli gotowi płacić podwójną cenę za coś, co było niemal odpadkiem gdzie indziej. Łatwo ruszyć ramionami i powiedzieć: no cóż, ich pieniądze, ich czas, ich sprawa. Niech jedzą co chcą.

Rzecz przestaje być jednak tak zupełnie zabawna, jeśli odpowiedzialni za tak zwane lansowanie pisarza prezentują Gronowicza jako ostatnie osiągnięcie współczesnej literatury amerykańskiej. Staje się to nawet całkiem smutne, kiedy się sobie uprzytomni niewielką ilość tłumaczeń z angielskiego, dopuszczaną na rynek polski, i ograniczenia ideologiczne jakim wybór takich pozycji podlega. To co pasuje reżymowi, nie nabiera jednak automatycznie wartości literackich, takich cudów nie przewiduje nawet doktryna Breźniewa. Więc dlatego mała, uczciwa rada dla potencjalnych amatorów pomarańczy. Proszę państwa, jedzcie lepiej zdrowe, rodzime, polskie jabłka. Zdarzają się piękne, a eksport który podsuwają wam pod nos nie jest najlepszego gatunku, mimo kuszącej nalepki: *made in USA*.

Jolanta DWORZECKA

O felietonach Kisielewskiego

„Książka niniejsza to wybór spośród ponad tysiąca felietonów, jakie na przestrzeni ostatnich 27 lat zamieściłem w krakowskim „Tygodniku Powszechnym”, sygnując je kryptonimem „Kisiel” — pisze Stefan Kisielewski we wstępie do wydanej przed kilku miesiącami w Paryżu antologii*. Obejmuje ona 100 pozycji, reprezentujących lata 1945-1972; w tym 18 felietonów skonfiskowanych przez cenzurę w różnych fazach tego okresu („Cenzura towarzyszyła moim felietonom wiernie...”).

1000 felietonów — razem stanowi to z dziesięć sporych tomów. W Polsce, gdzie pisanie jest zinstytucjonalizowane i gdzie w stosunku do tego co można napisać („wierna cenzura”) pisze się za dużo — ilość nie przechodzi automatycznie w jakość. Jeśli tysiąc felietonów Kisielewskiego stanowi pozycję szczególną, to dzieje się tak dlatego, że dla dwóch generacji czytelników stanowi one coś więcej niż tylko rozrywkę czy komentarz tygodnia. Mówiąc po prostu, wielu ludzi wychowało się na nich — w bardzo dosłownym, pedagogicznym znaczeniu tego słowa. Felietony Kisielewskiego są jednym z faktów, określających i kształtujących polskie życie

* Stefan Kisielewski, „100 razy głową w ściany”; Editions du Dialogue (Société d'éditions internationales; 25, rue Surcouf, Paris-7^e), Paris 1972.

umysłowe po wojnie; jest coś paradoksalnego w tym, że zjawisko z definicji tak efemeryczne jak felieton stało się konkretem o poważnym ciężarze gatunkowym. Do pewnego stopnia jest to fenomen o szerszym podłożu; w okresie dewaluacji słów i nieufności do rozmaitych „powiadam-wam”, formy nieulizane — listy, luźne refleksje, dzienniki (*casus* Gombrowicza!) — zyskują na popularności i *mind-appeal*’u. Bezpośredni kontakt z osobowością piszącego, jakoś tej osobowości, stają się niezbędnym naddatkiem do jakości samych słów.

Dewaluacja słów i „pośredniość” kontaktu w Polsce po 1945 roku przybrały rozmiary potężne, nie mówiąc już o „jakości” charakterów i osobowości na forum publicystycznym; fluktuacja kolejnych odwilży i zatwardzeń politycznych stanowiła jednak czynnik, ułatwiający oddzielenie ziarna od plewy. „Pisanie przy cenzurze jest pewną specjalnością...” — stwierdza Kisielewski we wstępie do omawianej książki; należy dodać, że i czytanie też. W szczególnej sytuacji polskiej obejmowało to — i nadal obejmuje — nie tylko sztukę odszyfrowywania aluzji, ale i zaufanie do autora. Nie tylko *co*, ale i *kto* pisze — składa się na treść *message*’u. Macluhanizm taki maleńki.

Za felietonowym *message*’em Kisiela czytelnicy rozpoznają nieomylnie Kisielewskiego-powieściopisarza, Kisielewskiego-kompozytora i Kisielewskiego-krytyka muzycznego — zaś ponadto i przede wszystkim człowieka o bezkompromisowej prawości i odwadze. „Kisiel jest najodważniejszym człowiekiem w Polsce” — jak to ktoś bez wielkiej przesady określił.

„Krótki zyciorys”, wyłaniający się z felietonów (tkwi w nich — mimo cenzury — kawał powojennej historii), uzupełniony wieścią gminną, ukazuje sylwetkę człowieka, który za stalinizmu jakoś niczego nie „musiał”, a raczej odwrotnie — na samym jego przednówku został pozbawiony z dnia na dzień katedry w krakowskim Konserwatorium Muzycznym (nigdy jej — *nota-bene* — z powrotem nie otrzymał; nigdy też żaden oburzony chór przeciwko temu nie protestował); współredagował i pisał w *Tygodniku Powszechnym* w okresie, gdy co ostrożniejsi woleli nie wiedzieć, że to pismo w ogóle istnieje; wraz z resztą zespołu *Tygodnika* odmówił zamieszczenia nekrologu Stalina, za co pismo zostało zamknięte (zespół nie — czemu się wszyscy, włącznie z tymże zespołem dziwili); przyjął bezterminowy — jak się zdawało wówczas — zakaz publikowania; ponawia działalność w okresie odwilży 1956 w odzyskanym przez dawny zespół *Tygodniku*; w tymże okresie próbuje działalności „bezpośredniej” — zostaje postem i głosi „*neopozytywizm, neoliberalizm, konstrukttywizm...*”; w latach sześćdziesiątych, orientując się, że postawianiem niczego pozytywnego zdziałać nie można, wycofuje się z sejmu (też „nieostrożność”!); u progu przesławnego lania pałami wiosną 1968 wygłasza ostre przemówienie na zebraniu Związku Literatów o „ciemniakach” — za co zostaje pozbawiony możliwości publikowania, pobity na ulicy przez „nieznanych sprawców” oraz staje się przedmiotem oszczerstw, pogroźek i zorgani-

zowanej nagonki. Jak wieść niesie, za publikację omawianej tu książki odmawia mu się obecnie pozwolenia na wyjazd za granicę. Takie jest tło tych felietonów. Jaki jest ich *message*? Mówiąc najogólniej: *pochwała normalności*.

Jest to słowo niejasne, demagogiczne zgoła; należy więc spreeczować jego sens. „Normalność” łączy się z normami — nie tylko etymologicznie. Normy są niepisаныmi prawami, definiującymi wszystkie dziedziny ludzkiego życia, włącznie z życiem *tout court*. Złamanie normy oznacza likwidację danej dziedziny (choć niekoniecznie jej nazwy); poza pewną normą postępowania gospodarka np. staje się rabunkiem, polityka — gansterstwem, sztuka — bzdurą, życie rodzinne — piekłem, a życie *tout court* — wegetacją. Wbrew potocznemu powiedzeniu, normy wcale nie są „płynne” — przeciwnie, są sztywne, choć nie zawsze wyraźnie widoczne. Istnieje też szczególnie trudno-uchwytna norma, którą niezręcznie nazwać można normą normalności; jest to zdolność uczestniczenia w możliwie wielu dziedzinach życia równocześnie, bez naruszania przyrodzonych im norm. W praktyce oznacza to np. umiejętność chodzenia po ziemi bez pograżania się w beznadziejne filisterstwo; posiadania przekonań bez popadania w fanatyzm; itd., itp. W starożytności nazywało się to cnotą umiaru, później rozmaicie — humanizmem, uniwersalizmem, czy właśnie: normalnością. Wbrew swej pozornej prostocie jest to cnota rzadka i trudna. Kisiel jest przekonany, upartym i konsekwentnym apostołem cnoty normalności w Polsce.

Stąd wynika wielostronność tematyki tych felietonów, przeplatanie rzeczy błahych z poważnymi, literatury z gastronomią, polityki z turystyką, „oświeconego konserwatyzmu” z optymistycznym racjonalizmem i pozytywizmem; wydaje się, że „zastępczość” tematyki — jak to nazywa sam Kisiel — jest tu cechą inherentną, zakorzoną w samej pasji, w samym ideale „Polski zwykłej”, i nie wypywa wyłącznie z ograniczeń struktury politycznej. Innymi słowy — rozpatrywanie felietonistyki Kisiela w perspektywie wyłącznie politycznej, jako opozycji takiej czy innej („lojalnej”, niedosłej, udaremnionej) byłoby krzywdzącym uproszczeniem; stawka Kisiela jest większa, chodzi tu o całokształt życia polskiego społeczeństwa. Szumnie można by to nazwać ideałem pełnego człowieczeństwa. Z tego punktu widzenia walka z nonsensami zarówno małymi jak dużymi jest „zastępcza”, bo stanowi *pars pro toto* zasadniczego tematu, rysującego się dość prosto: „mądrym nie głupim być należy”. Temat niełatwy, forma niewdzięcznie ulotna. Ale jeśli ktoś kiedyś odważy się napisać dzieło pt. „Dzieje mądrości w Polsce”, felietony Kisiela zajmą w nim ważne miejsce.

M. BROŃSKI

LISTY DO POLAKÓW

Na zycielną uwagę zasługuje miesięcznik *Listy do Polaków*, założony w New Britain (Conn.) Pismo określa się samo jako „prywatne i niezależne”, zeszyty wydawane są regularnie co miesiąc metodą powielaczową. Redaktorem jest Czesław Maliszewski, głównym publicystą Janusz Muchawiec. Na tle polonijnego zamętu uderza rozważny ton artykułów, wysiłek naprawdę samodzielnego myślenia o sprawach polskich. Dość pokażne listy Funduszu Prasowego wskazują, że miesięcznik znalazł sobie grunt pod nogami.

Nadesłane nowości wydawnicze

- PANKOWSKI (Marian). *Granatowy goździk*. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).
- SKWARKO (Krystyna). *Osiedlenie młodzieży polskiej w Nowej Zelandii w roku 1944*. Str. 84 i 4 nlb. (Wyd. nakładem autorki pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Historycznego w Australii, Seria I: Dokumentaryczno-pamiętnikarska — Nr 1, Londyn, 1972).
- Pamiętnik Wileński*. Str. 455 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).
- Chopin — Listy do Delfiny*. Opracowanie Mateusza Glińskiego. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. Międzynarodowa Fundacja Chopinowska „Chopin Publishing Fund”, Nowy Jork - Detroit - Toronto, cena dol. 7,00).
- ŁOBODOWSKI (Józef). *W połowie wędrówki*. Poezje. Str. 179 i 5 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).
- TOMASZEWSKI (Adam). *Kowboje, Apasze, Mormoni*. Okładka T. Filipowicz. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).
- CHCIIUK (Andrzej). *Ziemia księżycowa*. (Druga opowieść o Księstwie Bałaku). Okładka T. Orłowicz. Str. 192. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).
- MOSKWA (Paweł). *Sekundy i wie-*

ki. Okładkę projektował Autor. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).

ROMANOWICZOWA (Zofia). *Groby Napoleona*. Okładka Wł. Szymański. Str. 174 + 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).

JANTA (Aleksander). „Przyjemnie zapoznać”. Okładka A. Werner. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).

KROK-PASZKOWSKI (Jan). *Bobuś żywy*. Okładka M. Skibińska. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972).

ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma Teologiczna*. Tom 20 — *Cnoty społeczne pokrewne sprawiedliwości* (2—2, qu. 101—122). Przekład i objaśnienia O. Feliksa Wojciech Bednarski, O.P. Słowo wstępne Ks. Arcybiskupa Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Str. 297 i 9 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1972).

MIREWICZ (Jerzy, Ks. T.J.). *Na marginesie Biblii*. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Księga Jezuit, Londyn, 1972; cena ł.stg. 2.00).

SURYNOWA - WYCZOŁKOWSKA (Janina). *Ze wspomnień straganiarki*. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1972).

PRZYŁUSKI (Bronisław). *Wiersze*. Str. 240. (Wyd. White Eagle Press Ltd., Londyn, 1973).

MAKAREWICZ (Roman). *Wiosna i zima*. Wiersze lwowskie. Okładka S. Muchanow, ilustracje Irena Makarewicz. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

BESNARD (A. M.). *Myśli o modlitwie*. Tłumaczenie z francuskiego Anny Turowiczowej. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Kolekcja „Znaki czasu”, tom 22, Paryż, 1972).

RAGUIN (Yves). *Drogi kontemplacji*. Tłumaczenie z francuskiego Danuty Szumskiej. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Kolekcja „Znaki czasu”, tom 23, Paryż, 1972).

Skaut — Komunikat Koła Harcerki i Harcerzy lat 1910-1945. Październik 1972, nr 15. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Zarząd Koła Harcerki i Harcerzy z lat 1910-1945, Londyn, 1972, cena £.0.30).

VI Zjazd P.P.S. na obczyźnie. Str. 8. (Nakładem Centralnego Komitetu P.P.S., Londyn, 1972).

NOWAK (Zdzisław). *Procesy dezintegracji i integracji ekonomicznej we współczesnym kapitalizmie*. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1972; cena zł. 45,00).

DASZKIEWICZ (Krystyna). *Zbrodnie hitlerowskie w prawie karnym Niemieckiej Republiki Federalnej*. Str. 238 i 2nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1972; cena zł. 45,00).

Aby nie ustać w drodze... Kalendarz Naszej Rodziny 1973. Tekst M. Maliński, okładka i opr. graficzne Józef Sadzik. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. „Notre Famille”, Osny - Vald'Oise, 1972).

Jednodniówka Koła S.P.K. No 6 w Edmonton z okazji 25-lecia istnienia Koła. Str. 20 i 23 nlb. — powielacz. (Wyd. Zarząd Koła S.P.K. No 6, Edmonton, 1972).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Struktura powieści Stanisława Kunickiego „The Thousand Hour*

Day”. (Odbitka z *Ruchu Literackiego*, R. XIII, 1972, Z. 1 (70), Warszawa).

WYRWA (Tadeusz). *Działalność „wydawnicza” Zarządu Głównego Koła b. Żołnierzy A.K. w Londynie*. (Z dziejów kundlizmu polskiego na emigracji). Str. 39 i 1 nlb. (Nakładem Autora, Paryż, 1972).

WYRWA (Tadeusz). *Les Républiques Andines (Bolivie, Chili, Colombie, Equateur, Pérou, Venezuela)*. Str. 644 i 4 nlb. (Wyd. Librairie Générale de Droit et de Jurisprudence R. Pichon et R. Durand-Auzias, Collection „Comment ils sont gouvernés”, Paryż, 1972).

TARABOUKINE (Nikolai). *Le dernier tableau*. 1. *Du chevalet à la machine*; 2. *Pour une théorie de la peinture*. Tłumaczenie z rosyjskiego A. B. Nakov i Michel Pétris. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Editions Champ Libre, Paryż, 1972).

DUROCHER (Bruno). *Chant de la Pologne*. Anthologie de la poésie polonaise du vingtième siècle. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Editions Caractères, Paryż, 1972).

GOCEL (Ludwik). *Les débuts de la presse de la grande émigration polonaise en France et son caractère clandestin (1832-1833)*. Tłumaczenie Louise Rapacka. (Odbitka z *Revue d'histoire moderne et contemporaine*, Tome XV, Avril-Juin 1968, str. 304-320, wyd. Armand Colin).

RAPACKA (Louise). *Liste Alphabétique des périodiques clandestins publiés par l'émigration polonaise en France (1832-1833) avec leur côte à la Bibliothèque Nationale et à la Bibliothèque Polonaise de Paris*. (Odbitka z *Revue des Etudes Slaves*, Tome Quarante-Huitième, Str. 59-71, Wyd. Institut D'Etudes Slaves, Paryż, 1969).

LEDNICKI (Wacław). *Reminiscences*. The Adventures of a Modern Gil Blas during the Last War. Przedmowa C. H. van Schoone-

- vald. Str. 278 i 2 nlb. (Wyd. Mouton, The Hague - Paris, 1971, cena Fl. H. 54,00).
- Polish Poems.** Tłumaczenie i wybór Antoni Gronowicz. Str. 24. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVI, No. 3, Summer, 1971, str. 79-86, oraz Vol. XVII, No. 2, Spring, 1972, str. 78-85; wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., Nowy Jork, 1972).
- The Cry of Home. Cultural Nationalism and the Modern Writer.** Redakcja H. Ernest Lewald. Str. 400 i 6 nlb. (Wyd. University of Tennessee Press, Knoxville, 1972, cena: dol. 10,75).
- MĘKARSKI (Stefan, Ph.D.).** *Nicholas Copernicus (Mikołaj Kopernik) 1473-1543.* Przedmowa Sir Arthur Eddington O.M., F.R.S. Str. 63 i 17 nlb. (ilustracje). (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1973).
- The Central European Federalist.** July-December, 1972, Vol. XX, No. 1/2. Str. 35 (Wyd. The Czechoslovak-Hungarian-Polish Committee in New York; cena numeru dol. 1,00).
- Soviet Jewish Affairs.** A Journal on Jewish Problems in the USSR and East Europe. Volume 2, Number 2, 1972. Str. 144. (Wyd. IJA Institute of Jewish Affairs, Londyn, cena numeru £stg. 1,05).
- RUDNYTSKY (Ivan L.).** *The Soviet Ukraine in Historical Perspective.* (Odbitka z *Canadian Slavonic Papers*, Vol. XIV, No 2, Summer 1972, str. 235-249).
- BERGER (L. Prof.).** *The Utilization of Science Research.* Str. 32 i 2 nlb. (Wyd. The Office for Economic and Social Research, The Jewish Agency, Tel-Aviv, 1973).
- STAAR (Richard F., Col. USMCR).** *Mainland China after Mao.* (Odbitka z *Marine Corps Gazette*, October 1972).
- PIDMOHYLNY (Valerian).** *A Little Touch of Drama.* Tłumaczenie z ukraińskiego George S. N. and Moira Luckyj. Str. 191 i 1 nlb.
- (Wyd. Ukrainian Academic Press, Littleton, Colorado, 1972; cena dol. 7,50).
- STRUK (D. S.).** *A Study of Vasyl Stefanyk: The Pain at the Heart of Existence.* Przedmowa G. S. N. Luckyj. Str. 200. (Wyd. Ukrainian Academic Press, Littleton, Colorado, 1973; cena dol. 8,50).
- Ost-West-Polarität.** Praca zbiorowa. Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Wissenschaft und Politik, Koeln, 1972).
- Ostdeutsche Gedenktage 1973.** Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Bund der Vertrieben, Kulturreferat, Bonn, 1973).
- RACHOCKI (Janusz).** *Volksrepublik Polen — Bundesrepublik Deutschland — Probleme der Normalisierung gegenseitiger Beziehungen.* Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1972).
- STROBEL (Georg W.).** *Deutschland-Polen. Wunsch und Wirklichkeit.* Str. 92. (Wyd. Edition Atlantic Forum, Bonn-Bruxelles-New York, 1971 — wyd. drugie poprawione).
- STROBEL (Georg W.), DELBRÜCK (Jost).** *Das deutsch-polnische Verhältnis in Gegenwart und Zukunft.* Str. 51 i 1 nlb. (Wyd. Schriftenreihe der Grenzakademie Sankelmark, Neue Folge — Heft 15, 1971).
- STROBEL (Georg W.).** *Der neue Kurs in Polen. Gierks Bemühungen um die Überwindung der Dezemberkrise von 1970.* (Nadbitka z *Europa Archiv*, Folge 12/1972, str. 407-420. Wyd. Deutsche Gesellschaft für Auswärtige Politik e.V., Bonn).
- STROBEL (Georg W.).** *Vorgeschichte und Ursachen der polnischen Krise vom Dezember 1970.* (Nadbitka z *Europa Archiv*, Folge 8/1971, str. 293-302, wyd. Deutsche Gesellschaft für Auswärtige Politik e.V., Bonn).
- KORZEC (Paweł).** *Das Abkommen zwischen der Regierung Grabski und der jüdischen Parlamentsvertretung.* (Nadbitka z *Jahrbücher für Geschichte Osteuropas*, Neue Folge-Band 20-Jahrgang 1972,

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-12-72

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 73, Walenty Majdański, pedagog i pisarz katolicki, autor książki „Giganci” (1937 r.).

14-12-72

W Warszawie zmarł, w wieku lat 83, Julian Maliniak, jeden z najstarszych dziennikarzy polskich, uczestnik strajku szkolnego w 1905 roku i współpracownik prasy socjalistycznej w okresie międzywojennym.

15-12-72

Z powodu epidemii pryszczycy na terenie Jugosławii, Rumunii, Węgier, Bułgarii i Czechosłowacji — władze polskie zamknęły granicę dla ruchu turystycznego z tymi krajami. Zostały również zawieszony wyjazdy i przyjazdy służbowe. ■ W Katowicach odbyło się 3-dniowe międzynarodowe sympozjum naukowe, którego tematem były problemy związane z opracowaniem systemu badań teorii i praktyki współczesnego imperializmu oraz zagadnienia walki ideologicznej w warunkach istnienia dwóch systemów. W obradach brali udział filozofowie, socjologowie, ekonomiści i prawnicy 6-ciu krajów socjalistycznych. ■ Prezydium Ogólnopolskiego Frontu Jedności Narodu podjęło uchwałę o ustanowieniu narodowego funduszu ochrony zdrowia i rozpoczęciu zbiórki na ten fundusz. Jednocześnie zakończono zbiórkę na społeczny fundusz budowy szkół i internatów. ■ W Warszawie kursują pogłoski o przeniesieniu w lutym br. siedziby Sztabu Generalnego Paktu Warszawskiego do Lwowa.

18-12-72

W Warszawie powołano Polski Komitet X Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, który ma się odbyć w w 1973 roku w Berlinie Wschodnim. Na czele Komitetu stanął przewodniczący ZG ZMS — Bogdan Waligórski.

20-12-72

W Brzegu na Opolszczyźnie uruchomiono produkcję gumy do żucia na licencji japońskiej. Nad montażem i produkcją czuwają dwaj specjaliści japońscy. ■ W Szczecinie zawieszono aż do odwołania kursowanie regularnych linii autobusowych do NRD. ■ Według informacji ministerstwa Leśnictwa PRL Polska zamierza wyeksportować w bieżącym sezonie 110 tysięcy sztuk zajęcy, 80 tysięcy hażantów, około 25-30 tysięcy sztuk kuropatw. Ponadto Polska zaczyna się specjalizować w eksporcie żywej zwierzyny grubej, a mianowicie sarn, jeleni i dzików. Głównym odbiorcą jest Francja i Niemcy Zachodnie. W roku ubiegłym stwierdzono rzekomy nadmiar łosi na Warmii i Mazurach i zaplanowano odstrzał 176 sztuk. Obliczenia były przesadne gdyż mimo wszystkich wysiłków upolowano jedynie 77 łosi. Wszystko wskazuje że forsowny eksport, polowania „dewizowe” i niedewizowe w najbliższym czasie doprowadzą do wyniszczenia zwierzyny w Polsce, tak jak przed paroma laty wyniszczono grzybnie.

21-12-72

Polskie Wydawnictwo Naukowe na zakończenie międzynarodowego roku książki wydało „Słownik pracowników książki polskiej”. Prace nad słownikiem trwały blisko 20 lat. Słownik poprzez około 3 tys. biogramów objął

całość dziejów książki polskiej od czasów najdawniejszych do roku 1969 — z wyłączeniem osób żyjących.

22-12-72

W Warszawie zmarł Łukasz Kurdybacha, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie ostatniej wojny profesor Kurdybacha kierował wydawnictwem podręczników szkolnych na Środkowym Wschodzie w Jerozolimie z ramienia Polish Information Center.

23-12-72

Łódzkie Zakłady Spożywcze zapowiadają produkcję nowych rodzajów napojów gazowanych. Ma to być: napój egipski oparty na koncentracie z buraków, oraz napój kawowy produkowany na ekstrakcie z kawy naturalnej, zbożowej lub dzikiej róży.

27-12-72

Radiostacja Wybrzeża „Studio Bałtyk” informuje o masowych telefonach słuchaczy sygnalizujących ogromne braki w okresie przedświątecznym. Brakowało wędlin, ziemniaków, nafty, jak również ozdób choinkowych.

28-12-72

W Warszawie odbyła się premiera tysięcznego filmu sowieckiego wyświetlanego po wojnie w Polsce. Był nim film Daniela Chrabrowickiego „Ujarmienie ognia”. ■ Zmarł w Krakowie hm. Zbigniew Trylski, ostatni naczelnik harcerstwa w Polsce niepodległej. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 88 lat, Zdzisław Doliwa-Stroński. W okresie międzywojennym był posłem na Sejm RP, wiceprezydentem m. Lwowa i prezydentem m. Stanisławowa. Uczestnik walk 1918-20, żołnierz AK.

29-12-72

W Związku Sowieckim z okazji 50-lecia Związku ogłoszono częściową amnestię. Dotyczy ona wyłącznie przestępstw kryminalnych. ■ W Związku Sowieckim wprowadzono w całym szeregu okręgów kartki żywnościowe na mięso, masło i kartofle. Chwilowo chleb, wyroby mączne i ryby nie są racjonowane, ale odczuwa się braki w zaopatrzeniu. ■ Szwedzi rozpoczęli w Warszawie budowę drugiego hotelu, tym razem na Powiślu, obliczonego na 300 miejsc.

30-12-72

Ożywione stosunki kulturalne PRL z krajami bałtyckimi: w b. roku Wilno odwiedziło 10 polskich „Pociągów przyjaźni”, Litwa dostarczyła do Polski 12 dokumentalnych filmów o Litwie oraz przekazała 18 tysięcy tomów literatury pięknej, były również zorganizowane w Polsce dni kultury litewskiej; w Rydze ukazała się druga antologia — „Antologia współczesnej literatury polskiej” (poprzednio została wydana antologia poezji polskiej, na którą złożyły się wiersze 105 poetów polskich od Kochanowskiego do poetów współczesnych). Dużym powodzeniem cieszą się w Rydze sztuki teatralne, przede wszystkim Fredry.

1-1-73

W Polsce wzorem krajów zachodnich wprowadzono kod pocztowy. ■ W ZSSR powzięto uchwałę o rozwijaniu ogólnokrajowego socjalistycznego współzawodnictwa pracowników rolnictwa w dziedzinie zwiększenia produkcji i skupu zboża oraz innych artykułów rolnych w 1973 roku. Przewidziano również wysokie premie pieniężne. ■ Przywrócono na granicy między PRL a NRD odprawę celną. Obywateli polskich i obywateli NRD

obowiązywać będą takie same przepisy celne, jak wszystkich innych obywateli. Ogłoszono listę towarów, których nie wolno wywozić do NRD. Dopuszczalny jest wywóz z NRD upominków o łącznej wartości do 100 marek. ■ Z okazji uroczystości związanych z 100-ną rocznicą utworzenia Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, żyjący członkowie PAU otrzymali pamiątkowe medale. ■ W PRL zamieszkuje obecnie 7.000 rencistów polonijnych z USA i Kanady. Przeciętnie z każdym rokiem przybywa 200 do 300 osób. W przygniatającej większości są to przedstawiciele tzw. „starej emigracji” zarobkowej. ■ Polska importerem jarzyn i owoców: na początku br. Polska sprowadza 6 tys. ton jabłek z Libanu. Kontynuowany jest import pomidorów z Egiptu i Algierii. Do końca marca br. sprowadzi się 2 tys. ton pomidorów. ■ *Sowiecka Kultura* w nrze 1 z 1. I. br. reprodukuje plakat polskiego artysty Juliusza Puchalskiego, który otrzymał nagrodę na wszechpolskim konkursie na najlepszy plakat poświęcony 50-leciu istnienia Związku Sowieckiego. ■ PRL otrzyma do roku 1975 2 tys. nowoczesnych autobusów jugosłowiańskich. Widocznie Berliet nie wystarcza. ■ Związek Kompozytorów Polskich przyznał doroczne nagrody Witoldowi Łutosławskiemu i Mieczysławowi Tomaszewskiemu.

5-1-73

Sąd Najwyższy Litewski skazał 17-letniego chłopca na 10 lat obozów za udział w zamieszkach w maju ub. roku w Kownie. W tym samym czasie Republika Litewska została odznaczona Orderem Przyjaźni Narodów, który został ustanowiony przez Moskwę z okazji 50-lecia istnienia Związku Sowieckiego. ■ Prezydium Rady Najwyższej ZSSR odznaczyło Edwarda Gierka, z okazji 60-lecia jego urodzin, Orderem Lenina.

7-1-73

Długoletni Prezes Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, Józef Siemiek, przeszedł na emeryturę. Na jego miejsce został mianowany Stanisław Kosicki, dotychczasowy I-szy zastępca kierownika wydziału propagandy, prasy i wydawnictw KC PZPR. W Kraju uporeczywie się mówi, że w najbliższym czasie będzie skasowana cenzura czasopism. Odpowiedzialnymi za publikowane rzeczy będą redaktorzy. Jest to traktowane jako bardzo wielkie dalsze zaciężnienie. ■ Ogłoszono nowe przepisy dla obywateli PRL przy wyjazdach do Bułgarii, Czech, Rumunii, Węgier i ZSSR. Granicę będzie można przekraczać na podstawie pięcioletniej wkładki paszportowej uprawniającej do wielokrotnego przekroczenia granicy, do której przy każdym wyjeździe będzie trzeba wklejać znaczki opłaty paszportowej, sprzedawane przez kasy walutowe i biura podróży. Wymiana pieniędzy do 7.000 zł. rocznie na wszystkie kraje socjalistyczne, będzie odnotowywana w specjalnych książeczkach. ■ W wyniku konkursu-plebiscytu pod nazwą „Bliżej książki współczesnej”, zorganizowanego przez *Głos Pracy*, pod patronatem Związków Zawodowych, największą ilość głosów otrzymały książki: „Wizyta” oraz „Pozwólcie nam krzyżec” Stanisławy Fleszarowej-Muskat, J. Meyssnera „Wiatr w podeszwach” oraz „Szkoła Janczarów” Alojzego Twardeckiego.

8-1-73

PRL podpisała umowę z Hiszpanią o cywilnej komunikacji lotniczej.

9-1-73

Telewizja Warszawska wyświetliła film dokumentalny poświęcony postaci Gabriela Narutowicza.

10-1-73

Trybuna Ludu podaje informację o polskiej ekspansji gospodarczej w Mon-

gologii. Polska wybudowała tam ogromny zakład drzewny o rocznej wydajności 4 tys. m³ tarcicy, ponadto w zakładzie jest wydział mebli, produkujący 3 tys. kompletów meblowych rocznie, rektyfikacja spirytusu o łącznej wydajności 2,6 tys. litrów na dobę. Ponadto w Mongolii pracuje polska elektrociepłownia oraz zakład utylizacyjny przetwarzający padłe bydło na mączkę paszową. Inne zakłady produkują cegłę i wapno, betony komórkowe oraz klej z rogu, kości i skór. Ponadto Polska eksportuje samochody Zuki i Nysy. Montowane są obecnie cztery stacje obsługi samochodów. Polska natomiast otrzymuje z Mongolii mięso, wełnę, skóry, wolfram, i galanterię skórzaną.

13-1-73

W ostatnich 14-tu latach na wnioski zbawidowskich komisji odznaczeniowych przyznano ponad 184 tysiące różnych orderów i odznaczeń. Urząd do Spraw Kombatantów polecił odszukanie wszystkich tych kombatantów, którzy nie mają jeszcze żadnych odznaczeń i przygotowanie odpowiednich wniosków. ■ *Gazeta Krakowska* podaje, że w pierwszym półroczu 1972 w województwie krakowskim zarejestrowano ponad 600 przestępstw przeciwko funkcjonariuszom publicznym, w tym było 375 czynnych napaści i zniewag wobec milicjantów. ■ Na Uniwersytecie Katolickim w Lublinie obchodzone uroczyste jubileusz 80-lecia urodzin i 55-lecia pracy naukowej prof. Andrzeja Wojtkowskiego, wybitnego historyka polskiej kultury i idei niepodległościowej.

14-1-73

Jaurès Miedwiediew wyjechał z żoną i młodszym synem (starszy siedzi w łagrze) do Anglii na roczne badania w Instytucie Studiów Medycznych. Przed wyjazdem z Moskwy 47-letni biolog oświadczył przyjaciółom, że ma zamiar poświęcić się wyłącznie pracy naukowej, aby władzom sowieckim nie dostarczyć okazji do odebrania mu paszportu. W kołach przyjaciół Miedwiediewa panuje pod tym względem sceptycyzm: zwraca uwagę fakt, że przed wyjazdem biologa zjawilo się w jego mieszkaniu kilka osób (przypuszczalnie przysłanych przez władze), które chciały je po nim zająć, mimo że Miedwiediew nie zgłosił żadnego aktu zrzeczenia, lecz przeciwnie — z naciskiem podkreślił swoją intencję powrotu do Moskwy za rok.

16-1-73

Tegoroczne nagrody Stowarzyszenia Architektów Polskich w Warszawie otrzymali: Anna Bieńkowska za projekt rozwiązania funkcjonalno-przestrzennego obiektów zaplecza technicznego motoryzacji, Edward Czajkowski z Politechniki Gdańskiej za opracowanie centrum radiowo-telewizyjnego w Gdańsku, Włodzimierz Mięczak za pracę „Kompleks gospodarstw rolnych w Bieszczadach”.

17-1-73

W Warszawie podpisano umowę o współpracy między Związkiem Literatów Polskich i Związkiem Pisarzy Sowieckich na rok 1973. M.in. ustalono wydanie wspólnej książki na 30-lecie PRL. Ponadto w Związku Sowieckim rozpoczyna się edycja 15-tomowej encyklopedii literatury polskiej o nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Będzie ona wychodziła przez dwa lata. ■ W Bratysławie podłożono bombę w słowackim ministerstwie sprawiedliwości. Dwóch ludzi zostało zabitych, a czterech rannych. Wybuch nastąpił w czarnej rocznicę samobójstwa Jana Palacha — grób jego na cmentarzu pod Pragę był w rocznicę zasypywany kwiatami. ■ W Moskwie prof. Sacharow zapretestował, po miesiącu, przeciwko odebraniu paszportu sowieckiego Waleremu Czalidze, którego wypuszczono do Stanów na turę odczytową. Sacharow dodał

jednak, że na Zachodzie rozdmuchano tę sprawę, gdyż okoliczności wyjazdu Czalidze z ZSSR były szczególne: „prawdopodobnie pozbawienie Czalidze obywatelstwa sowieckiego było w jakimś sensie zaaranżowane przez władze sowieckie i przez niego samego”. Równocześnie ujawniono w Moskwie, że prof. Twierdochlebow wystąpił z Komitetu Obrony Praw Człowieka. W kołach dysydentów twierdzi się, że Twierdochlebow poczuł się dotknięty brakiem natychmiastowej reakcji Komitetu na odebranie paszportu prof. Czalidze. ■ W Pradze ujawniono, że grupa pisarzy czeskich skierowała do władz apel, domagając się amnestii dla intelektualistów skazanych w serii procesów w ub. roku. Wśród 39-tu sygnatariuszy na pierwszy plan wysuwają się nazwiska: Pavel Kohout, Jaroslav Seifert, Vaclav Havel, Ivan Klima, Ludvik Vaculik, Alexander Kliment. Trwa nadal bojkot zreorganizowanego Związku Literatów. Zaledwie piąta część dawnych członków odnowiła swoje legitymacje.

18-1-73

Nagrody m.st. Warszawy zostały w tym roku przyznane: Karolinie Beylin, Ernestowi Bryllowi, Sabinie Dłutek, Aleksandrowi Geysztorowi, Henrykowi Kopaczewskiemu, Bernardowi Ładyszowi, Halinie Skibniewskiej, Andrzejowi Łapickiemu i Andrzejowi Strumiłło. ■ Polskie Wydawnictwo Naukowe w Warszawie wydało w ub. roku 1.500 tytułów książek o łącznym nakładzie 1.800 tysięcy egzemplarzy. W. b. roku ma się ukazać pierwsza część czterotomowej „Encyklopedii Powszechnej” o nakładzie 500 tys. egzemplarzy. Każdy tom ma zawierać 19 tysięcy haseł. Ponadto ukaże się nowe wydanie „Małej encyklopedii powszechnej” zawierającej 37 tysięcy haseł tj. o 5 tysięcy więcej niż poprzednio. Ukaże się również „Słownik poprawnej polszczyzny” pod redakcją prof. W. Doroszewskiego, oraz „Słownik biograficzny teatru polskiego” t. I, opracowany przez Instytut Sztuki PAN. ■ NRD nawiązała stosunki dyplomatyczne z Hiszpanią na szczeblu ambasadorów. Rozmowy prowadzone były za pośrednictwem kierownika misji konsularnej i handlowej w Warszawie. ■ Gen. Dyw. Florian Siwicki został mianowany wiceministrem Obrony Narodowej i szefem Sztabu Generalnego. Zastąpił on gen. dyw. Bolesława Choche, który został mianowany komendantem Akademii Sztabu Generalnego. ■ Pismo *Życie i Nowoczesność* w Warszawie podaje, że z ogólnej ilości blisko 5 miliardów m³ ścieków, które wymagają co rok oczyszczenia, w stopniu dostatecznym oczyszcza się niewiele ponad 10 %. 1/3 ścieków podlega oczyszczaniu częściowemu, a reszta — ponad 50 % — w ogóle nie jest oczyszczana. ■ W bież. roku gazociąg, który ma połączyć Związek Sowiecki z Europą Zachodnią, ma dotrzeć przez Czechosłowację do NRF. ■ Ostatnio wyjechało z Polski 7-miu księży misjonarzy skierowanych do Nowej Gwinei, Paragwaju i Konga (Brazzaville).

19-1-73

Zygmunt Garbacki i Marian Wojtasik, zabójcy Jana Gerharda, zostali skazani na karę śmierci przez Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy. Wyrok ten, zatwierdzony przez Sąd Najwyższy 27. 9. 72, został obecnie wykonany. ■ Nagroda im. Cypriana Kamila Norwida, przyznawana corocznie za indywidualną wystawę prac malarskich w Warszawie, została przyznana równocześnie Włodzimierzowi Borowskiemu oraz Zbigniewowi Makowskiemu. ■ *Sowiecką Kulturą* podaje, że została otwarta wystawa prac młodych malarzy sowieckich w Zachęcie w Warszawie, która, według tegoż pisma cieszyła się ogromnym powodzeniem. ■ W b.m. ma się ukazać nakładem GUS opracowanie wyników narodowego spisu powszechnego, przeprowadzonego w dniach 8-12 grudnia 1970. Tom będzie nosił tytuł „Polska”.

20-1-73

W Warszawie zmarł prof. Zdzisław Grabski, ekonomista, w okresie przedwojennym działacz „Klubu 11 Listopada”. ■ Oślawiony Janusz Kolczyński został usunięty z Instytutu Badań Stosunków Wschód-Zachód. Na jego miejsce przyszedł Janusz Rachocki z Instytutu Zachodniego.

22-1-73

W PRL utworzony zostanie Urząd Energii Atomowej w miejsce dotychczasowego pełnomocnika do spraw wykorzystania energii atomowej. ■ PAN podpisała z Akademią Nauk Związku Sowieckiego porozumienie o wspólnych badaniach i publikacjach w dziedzinie nauk społecznych. ■ Statystyczny Polak (jak podaje warszawska *Kultura*) raz na 4 lata kupuje szczoteczkę do zębów, a raz na półtora roku tubkę pasty do zębów. 14.130 dentystów w Polsce zajmuje się wrywaniem zębów (40 % zabiegów). ■ L. Romanowicz, redaktor *Czerwonego Sztandaru*, dziennika w języku polskim ukazującego się w Wilnie, otrzymał tytuł honorowego i zasłużonego działacza kultury Litewskiej SRR. ■ Tegoroczne nagrody ZAIKS'u za wybitne osiągnięcia przekładowe otrzymali: Helena Teigova — autorka wielu przekładów literatury polskiej na język czeski, zasłużona dla zbliżenia kulturalnego polsko-czechosłowackiego od lat przeszło trzydziestu; Jukyo Kudo — autor przekładów prozy Brunona Szulca i dramatów Stanisława Ignacego Witkiewicza na język japoński; Maciej Słomczyński, autor przekładów polskich „Ulisses” Jamesa Joyce'a, „Snu nocy letniej” Williama Szekspira i wielu innych dzieł literatury angielskiej. ■ Na zamówienie armatora szwedzkiego stoczniwa gdyńska zbuduje masowicę o nośności 55 tys. ton, przystosowaną do przewozu rudy i samochodów (statek będzie mógł zabrać do ładowni 3,5 tys. samochodów typu „Volkswagen”). ■ Polska podpisała z UNDP (Program Rozwoju ONZ) umowę w sprawie realizacji rozbudowy sieci drogowej w PRL. Umożliwi to przeszkolenie za granicą kadry przyszłych budowniczych polskich autostrad, a także korzystanie z ekspertyz fachowców zagranicznych. Polska do 1990 roku ma zbudować 1.600 km. autostrad, zmodernizować 10 tys. km głównych szos, a także przebudować układy komunikacyjne wielkich miast. ■ Z uwagi na likwidację małych szkół ogólna liczba szkół podstawowych w bieżącym roku szkolnym zmniejszyła się w PRL w stosunku do roku ubiegłego o 1.951, czyli o 7,6 %. ■ Uniwersytet w Salzburgu obchodził 350 rocznicę założenia. Podczas uroczystości jubileuszowych kilkunastu uczonych otrzymało godność doktora h.c. Jedynym tak wyróżnionym uczniem z krajów słowiańskich był prof. UJ dr Stanisław Urbańczyk, b. kierownik Katedry Filologii Słowiańskiej UJ, obecnie zast. dyrektora Instytutu Badań Literackich PAN, kierujący wszystkimi pracownikami językoznawczymi PAN w całej Polsce. ■ W Nowej Hucie od 6-ciu lat odbywają się dni poezji. Na ich program składają się wieczory autorskie, recytacje wierszy przez znanych aktorów, spektakle poetyckie, dyskusje literackie. Miejsce imprez — Zakładowy Dom Kultury Huty im. Lenina, a także biblioteki, hotele robotnicze. W tym roku głównymi bohaterami Dni Poezji byli: Mieczysław Jastrun, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska, Miron Białoszewski. Dniom Poezji towarzyszyły imprezy pozapoetyckie: pokazy prac plastycznych.

23-1-73

Dr Zbigniew Krzyszkiewicz, dyrektor naczelny Banku PKO, podał w wywiadzie radiowym, że PKO wprowadza specjalne, oprocentowane rachunki A. Oprocentowanie wynosi 3-5 %, przy rocznym wypowiedzeniu odsetki wynoszą 5 %. Pieniądze z tego rachunku mogą być w każdej chwili przekazane na rachunek zagraniczny klienta. Dotyczy to Polaków zamieszkałych na Za-

chodzie. Z rachunków walutowych mogą także korzystać i obywatele polscy, są to tzw. rachunki walutowe B. Można więc przekazać środki zza granicy swym krewnym, ze wskazaniem by pieniądze te były zapisane na dobro ich rachunku w kraju. Rachunki te są również oprocentowane, lecz podlegają pewnym ograniczeniom. Mianowicie swobodne dysponowanie środkami z tego rachunku może nastąpić dopiero po okresie roku. PKO podpisało w 1972 roku umowę ze Związkiem Spółdzielni Budowlanych i Mieszkańcowych na budowanie mieszkań i domów przede wszystkim jednorodzinnych dla osób wracających z zagranicy do kraju i płacących dewizami. Rozszerzono listę miejscowości, w których można nabywać mieszkania.

24-1-73

Swoistym *best-seller'em* stał się w PRL ostatni numer *Monitora Polskiego* z ub. roku, który zawiera uchylene 798 norm prawnych.

26-1-73

Ministerstwo Spraw Zagranicznych PRL przyznało dyplomy uznania za wybitne osiągnięcia w propagowaniu polskiej kultury za granicą w 1972 roku: J. Iwaszkiewiczowi, K. Pendereckiemu, W. Żukrowskiemu, A. Wajdzie, St. Mikulskiemu, Centralnemu Zespołowi Artystycznemu Wojska Polskiego i Pantomimie Wrocławskiej. ■ PRL w b. roku bierze udział w 320 targach i wystawach na świecie. ■ „Pagart” informuje, że w 1972 roku 33 polskie zespoły liczące 3.657 osób udały się na 64 wyjazdy zagraniczne. „Pagart” pośredniczył również w 661 wyjazdach 388 osób. 28-miu dyrygentów odbyło 106 *tournees*, 94-ch młodych artystów uczestniczyło w konkursach, 134-y osoby zaangażowały się na stałe na obcych scenach i estradach. ■ Redakcja *Nowej Książki* przyznała nagrody 10-ciu autorom polskich książek: H. Adamczewska, L. Bazyłow, S. Kieniewicz, J. Meysner, E. i P. Rybko-wie, W. Szymborska, M. Wańkowiec, W. Zaleski, H. Krall i T. Drewnowski.

27-1-73

Polskie Radio w Warszawie rozpoczęło nadawanie dwóch kursów języka rosyjskiego: dla początkujących „Pierwsze szagi” oraz dla zaawansowanych „Słuchajcie nas — goworicie z nami”. Od października br. będzie wprowadzony nowy kurs „Priglaszajem w SSR”. ■ Inturist przygotował około 40-tu tras turystycznych m.in. do największych ośrodków Syberii oraz do Republiki Białoruskiej.

28-1-73

W dziewiątym dorocznym ogólnopolskim konkursie czytelnictwa „Złoty Kłos”, organizowanym przez *Dziennik Ludowy* pierwsze miejsce uzyskała nowela Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Brzezina”. Poza Iwaszkiewiczem największą ilość głosów uzyskały: Stanisława Lema „Obłok Magellana”, Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz”, „Mój drugi ożenek” Józefa Mortona, i „Od Stołpców po Kair” — Melchiora Wańkowicza. ■ Prof. Antoni Rajkiewicz, dyrektor zespołu planowania społecznego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, oświadczył w wywiadzie radiowym, że w roku 1990-ym dochód na jednego mieszkańca Polski winien wynieść około 3.000 dolarów, tzn. tyle, ile obecnie wynosi w Szwecji.

29-1-73

W związku z udziałem PRL w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie szefem polskiej delegacji został, w randze ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego, mianowany Bogdan Wasilewski. Zastępcami zostali mianowani: Stanisław Stawiarski i gen. bryg. Marian Ryba.

W najbliższym czasie przybędzie do Wietnamu 290 Polaków — dyplomatów, urzędników i wojskowych.

30-1-73

W Moskwie został zakończony konkurs, ogłoszony przez *Socjalistyczeskiju Industriju* pt. „Polska: osiągnięcia postępu naukowo-technicznego”. Jako nagrody przewidziano 10 wyjazdów turystycznych do Polski. W konkursie wzięło udział 7 tysięcy osób. ■ Józef Fajkowski został mianowany podsekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Jest on członkiem ZSL.

1-2-73

Na Uniwersytecie Jagiellońskim stworzono Zakład „Polonijny”. Ten nowy zakład będzie zajmował się badaniem problemów Polonii, kształceniem młodzieży polonijnej oraz przygotowaniem jej do studiów w kraju. Dyrektorem Zakładu został dr Hieronim Kubiak. W uroczystej inauguracji Zakładu wzięło udział prof. dr Eugeniusz Kusielewicz, przewodniczący Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. Byłoby ciekawe wiedzieć, czy p. Kusielewicz występował we własnym imieniu, czy jako upoważniony reprezentant Polonii Amerykańskiej. ■ Sowiecki matematyk Leonid Pluszcz, zamieszkały w Kijowie, został dożywno internowany w szpitalu psychiatrycznym. Pluszcz, który ma 33 lata, został aresztowany półtora roku temu za „działalność antysowiecką”.

4-2-73

Obywatel sowiecki pochodzenia żydowskiego, inż. Lazar Lubarski, został skazany przez sąd w Rostowie nad Donem na 4 lata obozu odosobnienia. Był on oskarżony o szerzenie fałszywych wiadomości i zdradzanie tajemnic państwowych. Ponadto w Moskwie aresztowano dwóch Żydów: Tumermana i Lewicza w momencie ich spotkania z dziennikarzami zachodnimi. ■ Jeśli idzie o handel zagraniczny PRL to Polska ma dodatnie saldo obrotów z ZSSR, a ujemne z pozostałymi krajami dem. lud. Plan eksportu na rynki zachodnie nie został wykonany. Zakłada się ponadto spadek zadań eksportowych. ■ W okolicach Łodzi dobiegają końca zdjęcia do nowego filmu „Hubal”. Premiera filmu zapowiadana jest na 1 września br., w 34 rocznicę wybuchu wojny. Reżyseruje Bohdan Poręba. ■ Zawarto umowę na budowę w Iraku, w okolicach Bagdadu, wielkiej cementowni. Jest to pierwsza cementownia w tym kraju budowana przez polskich specjalistów, z polskimi maszynami i technologią produkcji. Ponadto PRL ma wyposażyć dwie wytwórnie cegieł silikatowych i kończy rozbudowę dużej cukrowni w Mosulu. Poprzednio PRL wybudował kopalnię siarki w Miszraku, która ruszyła w grudniu 1971. ■ PRL buduje w Gdańsku wielką rafinerię ropy naftowej. Koszt rafinerii, zaprojektowanej przez włoską firmę Eni, oblicza się na 8 mld zł. Ma zacząć ona funkcjonować latem 1975 roku. ■ PRL podpisała kontrakt na dostawę do ZSSR 5 kompletnych fabryk kwasu siarkowego o wydajności 500 tys. ton rocznie. ■ Duńska firma F.L. Smidth ma budować w Polsce dwie wielkie cementownie. W zamian Polska ma dostarczyć Danii 10,7 mln ton węgla energetycznego. ■ PRL będzie produkować w kooperacji z włoską firmą „Ducati” motocykle 250-400 ccm.

5-2-73

Wydawnictwo artystyczne PRL: WAG, *Arkady*, *Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe* wraz z sowieckim wyd. *Izobrazitelnoje Isskustwo* wspólnie wydają pierwszy na świecie album pt. „Postać Lenina w sztuce plastycznej na świecie”. Ponadto *Arkady* przygotowują album pt. „Państwowe muzeum Sztuki im. A. Puszkina”. ■ Dwa państwowe gospodarstwa rolne w Poznańskim przystępują do eksperymentalnej hodowli skrzyżowania krów z żubrem. Usta-

lono już nazwę potomków takiego skrzyżowania: „żubroń”. Żubroń po roku ma osiągnąć wagę ok. jednej tony. Hodowla żubroni ma nie wymagać obór; mogą żyć one przez cały rok pod gołym niebem. ■ W Kołobrzegu zmarł, w wieku lat 77, Henryk Dzendzel, działacz ruchu ludowego przed wojną, b. sekretarz W. Witosa, b. sekr. gen. PSL „Piast”. ■ W Warszawie odbyło się plenum Zarządu Głównego ZBOWiD'u. Uchwalono m.in. konieczność uporządkowania ewidencji kombatanatów, dokonanie przeglądu ustawodawstwa dotyczącego kombatanckiej problematyki, budowy Domów Zasłużonego Kombatanta a przede wszystkim „dalszego doskonalenia pracy ideowo-wychowawczej”. ■ Sąd miejski w Sofii skazał na 2 i 2 i pół lat więzienia 4-ch Turków, sprawców przymusowego lądowania 22 października ub. roku na lotnisku w Sofii samolotu Tureckich Linii lotniczych. Zdumiewające łagodne wyroki jeśli porównać je z analogicznymi wyrokami w ZSSR i PRL wydanymi na porywaczy samolotów obywatelami tych państw. ■ Tegoroczne nagrody *Życia Literackiego* w Krakowie zostały przyznane: Marii Janion za „Romantyzm, rewolucja, marksizm” — Colloquia gdańskie, H. Voglerowi za „Tadeusz Różewicz” oraz B. Seidler za „Skłócenie z prawem”.

11-2-73

Tegoroczne nagrody warszawskiej *Kultury* otrzymali: prof. Gerard Łabuda za książkę „Polska granica zachodnia”, Wiktor Osiatyński za „W kręgu mitu amerykańskiego”. ■ Tylko 10 % zatrudnionych w PRL jada posiłki w zakładowych stołówkach.

ZACHÓD — EMIGRACJA

11-12-72

W Londynie zmarł, w wieku lat 78, Adam Strzeszewski, przed wojną dyrektor departamentu w Min. Rolnictwa, uczestnik walk 3 Dywizji Strzelców Karpackich na Zachodzie, oraz dyrektor Oddz. Polskiej YMCA przy PSZ we Włoszech. ■ Z dużym opóźnieniem nadeszła wiadomość, że 21.10.1972 roku zmarła w Edmonton (Kanada) Izabella Lutostawska-Wolikowska, córka znanego filozofa polskiego Wincentego Lutostawskiego i Zofii Casanova, znaney poetki hiszpańskiej. P. Lutostawska-Wolikowska była autorką powieści „Bolszewicy w polskim dworze”, „Córka”, „Małżeństwo Zazy”, „Państwo Bobrowscy” oraz książki „Roman Dmowski — człowiek, Polak, przyjaciel”.

15-12-72

P. Zygmunt Orłowski został mianowany radcą prasowym ambasady PRL w Paryżu. ■ *Tygodnik Polski* — *La semaine polonaise*, wydawany w Warszawie a przeznaczony dla Polonii Francuskiej, obchodzi 15-lecie swego istnienia. Redaktorem naczelnym pisma jest Urszula Kozierowska, a dyrektorem Danuta Jagodzińska. ■ Posiadacze obligacji Polskiej Pożyczki Amerykańskiej w związku z rozpoczęciem jej spłaty przez PRL, mogą otrzymać bliższe informacje z Foreign Bondholders Protective Council, Inc., 90 Broad Street, New York, N.Y. 10004.

18-12-72

W Londynie Prezydent R.P., dr St. Ostrowski, wyznaczył na swego następcę ambasadora Edwarda Raczynskiego. ■ W Londynie zmarł, w wieku 53 lat, Henryk Leon Archutowski, przewodniczący Rady Polonii Brytyjskiej i jeden z czołowych działaczy PRL na odcinku emigracji. ■ Stowarzyszenie „Quo vadis” przy Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku zamierza zorganizować w czerwcu 1973 roku wystawę „Militaria polskie

1600-1945 w prywatnych zbiorach". Stowarzyszenie „Quo vadis” apeluje do wszystkich posiadających zabytki związane z tym tematem o ich udostępnienie. ■ Ks. Bonifacy Miązek otrzymał na uniwersytecie Wiedeńskim doktorat. Tematem jego dysertacji było: *Die lirische Beschreibung im Nachkriegsschaffen* Kazimierz Wierzyński (Opis liryczny w twórczości wojennej Kazimierza Wierzyńskiego).

20-12-72

W czasie bombardowania portu w Haifongu przez lotnictwo USA został zatopiony polski statek handlowy „Józef Conrad” zaś czterech polskich marynarzy zostało zabitych lub zmarło z ran.

28-12-72

W Paryżu, w Galerie de Baune, odbyła się wystawa obrazów Andrzeja Szonerta.

1-1-73

Ks. Karol Zieliński, proboszcz parafii polskiej na Devonii (Londyn), został mianowany wicerektorem Misji Polskiej w Anglii, w Walii, a ks. Wacław Bytniewski T. Chr. został sekretarzem generalnym Polskiego Zjednoczenia Katolickiego we Francji. ■ Poczta francuska wydaje znaczek pocztowy z okazji 50-lecia polskiej emigracji we Francji. ■ W Australii utworzono „Zrzeszenie polskich kupców, przedsiębiorców i wolnych zawodów w Stanie Victoria”. ■ Książka prof. J. K. Zawodnego „Death in the Forest” (o Katyniu) cieszy się ogromnym powodzeniem. Ukazały się przekłady: niemiecki, francuski, japoński, holenderski, norweski. W b. miesiącu książka wychodzi w języku włoskim. Został podpisany kontrakt na wydanie brazylijskie. Nowa książka prof. Zawodnego o Powstaniu Warszawskim jest już ukończona i ma się ukazać jednocześnie w Stanach Zjednoczonych i w Anglii jesienią b. roku. ■ W Paryżu, w wydawnictwie A. Colin, ukazał się przekład książki Jana Łukasiewicza „La Syllogistique d'Aristote: dans la perspective de la logique formelle moderne”. ■ Prof. Zygmunt Markiewicz, wykładowca literatury polską w Nancy, objął stanowisko po śp. prof. Bourilly w Sorbonie. Na jego miejsce w Nancy przeszedł prof. Marek z Tuluzy. ■ Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii, zrzeszające 60 organizacji społecznych, uchwaliło rezolucję w sprawie wyjazdów do Polski z wizytami. Rezolucja stwierdza, że wyjazdy „osłabiają solidarność naszego obozu, i wykazują brak konsekwencji w realizowaniu celów, dla których pozostaliśmy na emigracji politycznej”. „Działacze niepodległościowi, a w szczególności zajmujący czołowe stanowiska, powinni stanowczo powstrzymać się od wyjazdów”. „Gdyby jednak wbrew tej zasadzie doszło do wyjazdu do kraju, to „nikt nie może występować na terenie Polski w charakterze przedstawiciela organizacji lub instytucji niepodległościowych. Pobyt musi mieć charakter ściśle prywatny”. „Osoby... które podjęły z jakiegokolwiek powodów decyzję wyjazdu do Polski w żadnym wypadku nie powinny korzystać w tej podróży z paszportu konsularnego”. „Wyjazdy indywidualne młodzieży... mogą być pozytywne. Tego rodzaju pobyt może często pogłębić przywiązanie do kraju ojczystego lub rozbudzić świadomość swego pochodzenia. Niepożądane są natomiast takie grupowe wyjazdy młodzieży, których organizatorzy nie dają pełnej rękojmi”. „Za szkodliwe uważamy wyjazdy... inspirowane jawnie lub bezpośrednio organizowane przez czynniki reżymowe”.

3-1-73

Mihajlo Mihajlov, autor *Tematów rosyjskich*, został zawiadomiony w Belgradzie, że będzie musiał odsiedzieć miesiąc więzienia za naruszenie zakazu

publikowania. Zakaz publikowania wygasa w marcu 1974 roku. Zdaniem władz jugosłowiańskich Mihajlov naruszył zakaz drukując w *New York Times* artykuł o Sołżenicynie: „Artysta jako wróg”. Młody rusycysta jugosłowiański bronił się argumentem, że zakaz dotyczy jedynie Jugosławii, a nie zagranicy. Sąd odrzucił ten argument. Pod koniec ub. roku Mihajlov napisał list do Tito, prosząc albo o cofnięcie ograniczenia jego podstawowych praw obywatelskich, albo o zezwolenie na legalny wyjazd z Jugosławii. W obronie Mihajlova wystąpiło szereg instytucji, m.in. uniwersytety w Berkeley i Stanford, gotowe zatrudnić go jako wykładowcę. Gabinet Marszałka Tito zainterweniował w jego sprawie i obecnie Mihajlov ma objąć stanowisko wykładowcy teorii literatury i sztuki na Uniwersytecie w Belgradzie.

7-1-73

Z okazji 50-lecia działalności malarskiej prof. Mariana Bohusz-Szysko została otwarta wystawa jubileuszowa w Brian Gallery w Londynie. Ponadto specjalny komitet jubileuszowy zorganizował wieczór towarzyski dla jubilata w Ognisku Polskim w Londynie.

8-1-73

Zmarł nagle w Londynie, w wieku 51 lat, Jerzy Działak, pisarz i publicysta, znany pod pseudonimem G. J. Flemming: Instytut Literacki wydał jego dwie książki: „Polska mało znana” i „Czym to się je”.

13-1-73

W Londynie zmarł Bolesław Jerzy Kersen, aktor i malarz, współpracownik sekcji polskiej BBC. ■ W polskim osiedlu Penrhos w Anglii zmarł ppłk Wilhelm Leśniak-Wilk. ■ Magistrat dzielnicy londyńskich Kensington i Chelsea udzielił zezwolenia na wystawienie pomnika ofiar katyńskich na terenie ogrodu przy St Lukes Church.

14-1-73

Pod auspicjami ZASP-u Ida Kamińska, b. dyrektorka Teatru Żydowskiego swego imienia w Warszawie, dała dwa występy w „Ognisku Polskim” w Londynie, złożone z fragmentów sztuk, monologów, recytacji, piosenek w językach polskim i żydowskim.

15-1-73

Koło Techników Polskich w Victorii (Australia) ufundowało stypendium im. Pawła Edmunda Strzeleckiego w wysokości 200 dolarów dla młodzieży polskiego pochodzenia, rozpoczynającej studia uniwersyteckie w 1972 roku. Ponadto Polski Klub Akademicki przy uniwersytecie w Melbourne ufundował stypendium im. Mikołaja Kopernika w wysokości 100 dolarów.

19-1-73

Wydawnictwo Suhrkamp Verlag we Frankfurcie n/Menem wydało tom wierszy Wisławy Szymborskiej pt. „Salz” w przekładzie Dedeciusa.

20-1-73

Koło SPK Paryż obchodziło uroczystości 25-lecie swego istnienia. W uroczystościach wzięli m.in. udział gen. St. Kopański i prezes Fed. Światowej SPK Stefan Soboniewski. ■ W Londynie ukazał się pierwszy nr pisma *Głos Wolnej Polski*, które podaje, że p. Juliusz Sokolnicki ogłasza się prezydentem R.P. twierdząc że został wyznaczony następcą przez prez. A. Zaleskiego zarządzeniem z dn. 22 września 1971. P. Sokolnicki jest osobą raczej nieznaną szerszemu ogółowi emigracji. *Głos Wolnej Polski*, który ma być organem p. J. Sokolnickiego, podaje listę następców prezydenta kolejno mianowanych

przez A. Zaleskiego: „Śp. premier Tadeusz Tomaszewski od 9. 6. 1947 do śmierci 10. 8. 1950, śp. gen. Władysław Anders od 11. 8. 1950 do zwolnienia go 3. 6. 1954, śp. prof. Tadeusz Brzeski od 3. 6. 1954 do zwolnienia go 3. 9. 1954, śp. książę Eustachy Sapieha od 3. 9. 1954 do zwolnienia go 21. 8. 1959, b. premier Aleksander Zawisza od 21. 8. 1959 do zwolnienia go 24. 2. 1971, prof. dr Stanisław Ostrowski od 24. 2. 1971. ■ W Centre Culturel de Parly 2 została otwarta wystawa obrazów J. A. Ogonowskiej. ■ Gen. dyw. Bronisław Duch, b. dowódca I dywizji grenadierów we Francji, a później dowódca dywizji karpackiej we Włoszech został odznaczony przez prezydenta Republiki Francuskiej Krzyżem Komandorskim Legii Honorowej. Gen. Duch był dotąd jedynym polskim generałem spośród dowódców wielkich jednostek w kampanii 1940 roku, który nie miał odznaczeń francuskich. Przyczyną tego był rozkaz gen. Ducha z 21. 6. 1940 roku w przededniu kapitulacji III armii francuskiej, w skład której wchodziła dywizja grenadierów, polecający zniszczenie broni i sprzętu oraz rozproszenie się z zadaniem dotarcia do portów południowej Francji i przebiecia się do Anglii. Rozkaz ten był ówczesnie ostro krytykowany przez dowódców francuskich. ■ W Londynie, w hotelu Rembrandt, odbyło się publiczne zebranie w sprawie braci Kowalczyków, zorganizowane przez Polskie Zrzeszenie Studentów i Absolwentów.

23-1-73

Miejski Teatr Kameralny w Monachium wystawił „Operetkę” Gombrowicza. Sztukę reżyserował Bohumil Herlichka.

25-1-73

W Londynie zmarł, w wieku 78 lat, Jan Starzewski, przed wojną poseł R.P. w Danii, a w ostatnich latach minister Spraw Zagranicznych rządu emigracyjnego. ■ Na kongresie pisarzy zachodniemieckich postanowiono połączyć Związek Pisarzy ze Związkiem Zawodowym Pracowników Drukarskich i Przemysłu Papierniczego. Pisarze zakładają, że w ciągu dwóch lat doprowadzą do stworzenia pierwszego syndykatu *Mass Media*. Syndykat ten ma już swoją nazwę „Syndykat Przemysłu Kulturalnego”. ■ Ambasador Papée, już po cofnięciu jego uznania przez Watykan, interweniował w Sekretariacie Stanu w sprawie wyroku na braci Kowalików. Powiadomiono go ostatnio że Sekretarz Stanu zrobił *démarche* z pozytywnym skutkiem.

26-1-73

Zmarł nagle w Londynie, w wieku lat 60, znany artysta malarz Zygmunt Turkiewicz.

28-1-73

Wychodzący w Paryżu tygodnik *Ukrainske Slovo* obchodzi 50-lecie swego istnienia. ■ W Canberra odbył się zjazd delegatów Rady Naczelnej polskich organizacji w Australii. Prezesem został inż. E. Hardy, wiceprezesem p. J. Dunin-Karwicki. W skład nowego Prezydium R.N. weszli: p. S. Erman (prezes Koła Lotników Polskich w Sydney), p. inż. B. Kowalski (przewodniczący Komitetu Wykonawczego Polskiej Macierzy Szkolnej w Nowej Półd Walii), p. A. Karowski (prezes Koła A.K. w Sydney), p. A. Polowiec (wiceprezes Koła SPK w Sydney), p. J. Redler (wiceprezes Fundacji Ośrodka Młodzieży Polskiej „Bielany”), p. K. Weyman (Kom. Obwodu ZHP w N.P.W.) i p. W. Węglewski (wiceprezes Związku Polskiego w N.P.W.). Do Prezydium R.N. wchodzi z urzędu: delegat Duszpasterstwa Polskiego w Australii i przewodniczący Komisji Oświatowej Polonii Australijskiej. Do Komisji Rewizyjnej R.N. zostali wybrani: p. B. Lipczyński, p. W. Szu-

pryckiński, p. H. Sęk-Sękalski, p. R. Treister. W skład Komisji Arbitrażowej weszli: p. B. Kurnatowski, p. A. Iwczenko, p. H. Ostrowski, p. W. Dembski, p. S. Różycki, p. B. Baumgart i p. T. Rakowski.

31-1-73

Ukazał się *Indeks Translationum* za r. 1970. Oprócz Dzieł Lenina (448 przekładów) najbardziej tłumaczonymi autorami byli: Szekspir — 142, Jules Verne — 129, E. Blyton — 115, Simenon — 107, Agatha Christie — 95, Dostojewski — 90, J. London — 87, Tołstoj — 86. Z pisarzy polskich figuruje jedynie Henryk Sienkiewicz z ilością 24-ch przekładów. W 1970 roku przekładów z języka polskiego było zaledwie 77 (Czechosłowacja np. figuruje z ilością 162).

1-2-73

W dyskusji organizowanej przez Radio Free Europe o najlepszej książce polskiej na emigracji w roku 1972 przyznano pierwsze miejsce Zofii Romanowiczowej za powieść „Groby Napoleona”, drugie miejsce Czesławowi Miłoszowi za „Prywatne obowiązki”, i Karolowi Wędrzickiemu za „Pamiętniki”. ■ Redakcję Biuletynu Organizacyjnego Związku Polaków w Belgii, *Polak w Belgii*, objęła p. Jadwiga Pomorska.

2-2-73

Balet „Śląsk” występuje z dużym powodzeniem w Théâtre des Champs Élysées. Występy będą trwały do 11 lutego. ■ Papież nominował arcybiskupa wrocławskiego, Bolesława Kominka, kardynałem.

3-2-73

Paryskie Koło Kombatantów zorganizowało odczyt gen. Józefa Jaklicza pt. „Organizacja i działalność wojsk polskich we Francji pod okupacją niemiecką”.

6-2-73

W Buenos Aires zmarł, w wieku 81 lat, dr Henryk Gruber, oficer legionów, wieloletni Prezes PKO w okresie międzywojennym.

9-2-73

W Londynie odbył się wieczór dyskusyjny „Kontynentów” z odcytem A. Połońskiego: „Politics in Independent Poland 1921-1939”.

10-2-73

Znany poeta i pisarz Zbigniew Jasiński, zamieszkały w Australii, w artykule „Korekta w sprawie Żydów”, zamieszczonym w *Tygodniku Polskim* w Melbourne, pisze m.in.: „Ostatnio nawet w pismach emigracyjnych daje się zauważyć nową falę w wysuwaniu starych zarzutów, zwłaszcza pod adresem Żydów i Ukraińców. Piórom pochopnym przydałoby się trochę powściągliwości w osądach. Poznanie bolączek strony przeciwnej — oby pomogło nam wszystkim do wzajemnego szacunku, do wzajemnej współpracy nad ratowaniem traconych ideałów ludzkości. Ludzkości, dziś na nowo szarpiącej się wzajemnie w coraz głębszym mroku powszechnego barbarzyństwa”. ■ Ks. kard. Wojtyła przybył do Australii w towarzystwie bpów Wł. Rubina i Sz. Wesolego. Wizytacja Kardynała ma trwać do końca miesiąca, po czym udaje się on do Rzymu. ■ Polski prawnik Manfred Lachs został przewodniczącym Międzynarodowego Trybunału w Hadze.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

27 i 28 grudnia 1972 roku odbył się w New Orleans, Luizjana, zjazd polsko-amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Najbardziej interesującymi były referaty i dyskusja o „Zimnej wojnie” w Polsce i w amerykańskiej Polonii. Ponadto wygłoszono szereg referatów o stosunkach polsko-żydowskich w Ameryce. ■ We Franklin and Marshall College w Lancaster (Pennsylvania) wystawiano od 2 do 11 listopada 1972 roku „Nie-Boską Komedję”. Spektakl przygotował profesor Gordon Wickstrom, kierownik szkoły dramatycznej w kolegium. Wickstrom posłużył się tłumaczeniem Henriette Kennedy i Zofii Umińskiej z roku 1924, poprawiwszy je jednak przy pomocy Miłosza, Taborskiego i Wirtha. W dalszych planach szkoły dramatycznej są „Dziady” i „Kordian”. ■ W grudniu 1972 roku znany dramaturg litewski, Balys Sruoga (1896-1947), został zaprezentowany w oryginale w Lithuanian Youth Center w Chicago. Wystawiono fragmenty trzech jego głównych sztuk historycznych. Sruoga zmarł wkrótce po wojnie, wróciwszy do Kowna z obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Przed śmiercią napisał pamiętnik obozowy, przełożony na wiele języków. ■ 13 stycznia br. burmistrz Nowego Jorku, John Lindsay, wręczył złoty klucz miasta Kazimierzowi Kokuczowi, który podczas okupacji hitlerowskiej uratował życie 98 Żydom. Kokucz ma 67 lat, mieszka w Korkuczach pod Wilnem, gdzie zachował małe gospodarstwo. Kilkanaście ocalonych przez niego osób mieszka obecnie w Stanach, one to właśnie wystąpiły z inicjatywą uhonorowania Kokucza w Nowym Jorku, kupiły mu w Polsce samochód, zamierzają żyć na wykształcenie jego syna i kupić wkrótce traktor. Amerykańska podróż Kokucza trwała miesiąc. ■ Miesięcznik *Jasna Góra*, wydawany przez O.O. Paulinów w amerykańskiej Częstochowie od 1960 roku, przestał wychodzić z dniem 1 stycznia br. ■ W Chicago 1 stycznia br. zmarł, w wieku 92 lat, Henryk Lokański, długoletni redaktor *Dziennika Związkowego*, współredaktor *Dziennika Zjednoczenia*. ■ Związek Polek w Stanach Zjednoczonych obchodzi 75-lecie swego istnienia. W sprawozdaniu prezesa, p. Heleny Zielińskiej, podano m.in., że majątek organizacji wynosi około 30 milionów dolarów. W roku 1972 Związek wypłacił dywidenty na sumę 331 tysięcy dolarów. Z Funduszu Stypendialnego w roku szkolnym 1972/73 korzysta 266 członków. Na Fundusz ten wpłacono 26.330 dolarów. ■ W bieżącym roku *Ukraiński istoryk*, ukazujący się w Stanach Zjednoczonych, obchodzi 10-lecie swego istnienia. ■ W Waszyngtonie zmarł w wypadku, w wieku 71 lat, Edward Weintal. Był on urzędnikiem polskiej służby zagranicznej R.P., a po wojnie wybitnym dziennikarzem amerykańskim. Ostatnio był doradcą szefa amerykańskiej służby informacyjnej, Shakespeara. ■ W Stanach Zjednoczonych wybrali wolność: szef ośrodka rakietowego w Wilnie, inż. Longinas Markunas i przewodniczącą komisji Rady Adwokackiej, Z. Butkus. Butkus był naocznym świadkiem samospalenia Kalanty. ■ Zmarł w Nowym Jorku, w wieku 88 lat, Zygmunt Nagórski, adwokat, b. wicedziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, współzałożyciel i prezes honorowy Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych. ■ 7 stycznia organizacje polonijne, z Kongresem Polonii Amerykańskiej na czele, ogłosiły protest przeciwko wyrokowi śmierci wydanemu w Polsce na Jerzego Kowalczyka. ■ 19 stycznia w New Yorku odbyło się Walne Zebranie Polskiego Towarzystwa Prawniczego w USA. Wybrano nowy zarząd z prof. dr. Janem Morelowskim na czele. Niezależnie od spraw zawodowych zajmowano się zagadnieniami emigracji politycznej (referat prof. I. Morawskiego) oraz problemem stosunków prawnych w PRL, o czym obszerną relację złożył prof. Z. Gross. ■ 2 lutego w Wyman Gal-

lery w Chicago odbył się wernisaż Jana Lebensteina. ■ 3 lutego prasa polonijna opublikowała sprawozdanie biskupa krakowskiego ks. Albina Małyniaka, który wizytował polonijne parafie w USA. Bp Małyniak podkreślił, że kryzys polskich szkół parafialnych spowodowany jest — specyficznym dla wielkich miast amerykańskich — ruchem ludności miejskiej. Polonia przemieszcza się w inne dzielnice, gdzie nie ma polskich parafii. Również upadek czytelnictwa i prasy polonijnej jest — zdaniem Biskupa — przyczyną spadku liczby uczniów w polskich szkołach parafialnych. Kler polonijny, dowodzi bp Małyniak, powinien wykorzystać reformę liturgii Kościoła, która usuwa łańcę i zastąpić ten język polskim a nie angielskim. ■ W dniu 4 lutego w Detroit, New Yorku, Chicago i Bostonie rozpoczęły działalność Komitety Obchodów Kopernikowskich. W Chicago rozpoczęły się już przygotowania do budowy fundamentów pod pomnik Kopernika, który stanie u wejścia do wielkiego Planetarium.

KRONIKA KANADYJSKA

31 grudnia 1972 roku Zarząd Główny Związku Polaków w Kanadzie postanowił wystąpić z Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Wystąpienie jest umotywowane tym, że działacze Kongresu są związani z politycznymi czynnikami „tzw. polskiego rządu na wygnaniu i jego rozlicznych frakcji”, oraz „insynuowanie Związkowi Polaków tendencji prokomunistycznych przez przekręcanie faktów oraz fałszywą interpretację działalności Związku Polaków w Kanadzie i jego instytucji, zwłaszcza Fundacji Reymonta, odnośnie akcji prowadzonej przez Związek Polaków w Kanadzie, utrzymywania łączności kulturalnej z Krajem poprzez urządzanie wycieczek zbiorowych i wysyłanie młodzieży na kursy kulturalno-oświatowe w Polsce”. Ta decyzja Związku Polaków wywołała ożywioną dyskusję. Za Kongresem wypowiedział się dot. Zarząd Główny Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie oraz Zarząd Gł. SPK w Kanadzie. Jak normalnie, głównym powodem tych kłótni są sprawy personalne. Żalose widowisko. ■ *Związkowiec* od połowy grudnia 1972 roku rozpoczął druk historii działalności montrealskich stowarzyszeń i organizacji od chwili ich założenia do obecnego okresu. ■ Koło S.P.K. nr 20 w Toronto wystąpiło z inicjatywą budowy polskiego ośrodka kulturalnego w Toronto. Przewidywany koszt wynosi pół miliona dolarów. Koło otrzymało na ten cel 100.000 dolarów od rządu kanadyjskiego. ■ Na Festiwalu Teatrów Etnicznych w Toronto (listopad ub. roku) dramat polski był reprezentowany przez „Wysoką ścianę” Zawieyskiego i „Czarowną noc” Mroźka. Sztukę Zawieyskiego wyreżyserowała Irena Jellaczyc-Habrowska, grając w niej również jedną z ról wraz z Hanną Poznańską, Janiną Jasińską, Danutą Sanolewicz i Michałem Olbrychskim. Komedję Mroźka wystawiono w inscenizacji polskiego teatru studenckiego Arabeska, grali w niej Jerzy Komorowski, Daniel Wojdyło i Hania Fedorowicz. ■ Koło S.P.K. nr 6 w Edmonton wydało z okazji 25-lecia istnienia Koła specjalną jednodniówkę w języku polskim i angielskim. ■ Théâtre du P'Tit Bonheur w Toronto wystawił sztukę Witkacego „Wariat i zakonnica” w języku francuskim. ■ *Hejnał Mariacki*, pismo propagandowe PRL obliczone na emigrację, zamieszcza w numerze 10/260 z 1972 roku rozmowę z p. Stanisławem Laskiem, prowadzącym 100-osobową wycieczkę Związku Polaków w Kanadzie do Polski. P. Lasek oświadczył m.in., że jego działalność nie ogranicza się bynajmniej tylko do prowadzenia wycieczki, ale że jako sekretarz dyrekcji prasowej Związku Polaków w Kanadzie ma do spełnienia „bardzo ważną misję”, mianowicie „przeprowadzenie rozmowy z przedstawicielami prasy i Polskiego Radia celem uściślenia współpracy z Polonią Kanadyjską”. A więc po zaproszeniu p. W. Kraški przez p. Dobranowskiego,

prezesa Fundacji im. Reymonta, p. Lasek zaczyna „uściślać współpracę”.
 ■ Z serią prelekcji, zarówno w języku angielskim dla uniwersytetów i instytutów naukowych, jak i w polskim dla Polonii, bawiła w Kanadzie dr Wilhelmina Iwanowska, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, kierowniczka Obserwatorium Astronomicznego. Podejmowały ją kanadyjskie sfery naukowe oraz Komitet Kopernikowski; przyjechała na zaproszenie władz kanadyjskich, które pokryły koszty jej podróży. Dr Iwanowska przekazała 1.000 dolarów, które otrzymała jako honorarium, Komitetowi Kopernikowskiemu w Kanadzie. Komitet ten prowadzi m.in. zbiórkę pieniędzy na zakup spektrografu dla Obserwatorium w Toruniu. ■ W ramach koncertów organizowanych przez towarzystwo Jeunesses Musicales wystąpił w Montrealu z programem utworów polskich skrzypki polski, Andrzej Grabiec. Program obejmował również i kompozytorów współczesnych. Krytyka i publiczność przyjęły go bardzo życzliwie. Koncert był transmitowany przez sieć francuską państwowej rozgłośni CBC. ■ Koncertuje również z powodzeniem pianista Marek Jabłoński, urodzony w Krakowie, ale wychowany i wykształcony w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych i uważany za kanadyjskiego wirtuoza. ■ Natomiast Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia jest pianista Walter (Władysław) Buczyński, który odegrał własne kompozycje w programie kanadyjskiej muzyki współczesnej w CBC i telewizji. Odegrał również kilka utworów Chopina. Inne kompozycje Buczyńskiego wykonane zostały przez orkiestrę. Ponadto CBC wypuściła płytę z wykonanymi przez niego własnymi kompozycjami fortepianowymi i utworami kilku współczesnych kompozytorów kanadyjskich w jego wykonaniu. ■ W Toronto zaczęło wychodzić w styczniu nowe pismo polonijne pt. *Kurier Polsko-Kanadyjski*. Drukowane jest techniką offsetową, z tekstami (wycinkami) z innych pism w języku polskim i angielskim. Redaktorem jest p. W. Markiewicz, współpracownik torontońskiego dziennika *Sun*. Los tego nowego pisma zależy oczywiście od czytelników i ogłoszeń.

KONKURS NA ESEJ

W trzydziestą rocznicę powstania w getcie warszawskim Kongres Żydów Amerykańskich z Polski ogłasza konkurs na esej. Prace konkursowe na ten temat muszą zawierać minimum 5.000 słów, lecz nie mogą przekraczać 7.000 słów. Konkurs otwarty jest tylko dla młodzieży. Każdy esej, oparty na solidnych źródłach, winien być podpisany godłem; do maszynopisu (na jednej stronie, z podwójnym odstępem) należy dołączyć zaklejoną kopertę z godłem, oraz z nazwiskiem i adresem wewnątrz. Pierwsza nagroda wynosi 500 dolarów, druga 250 dolarów. Termin nadsyłania prac: 30 czerwca 1973.

Adres: BENJAMIN GREY, CHAIRMAN CONTEST COMMISSION, CONGRESS OF AMERICAN JEWS FROM POLAND, 6534 MOORE DRIVE, LOS ANGELES, CALIFORNIA 90048.

Wynik konkursu zostanie ogłoszony 1 października 1973. W skład sądu konkursowego wchodzi: Dr Bernard Cohen, Dr Max Nussbaum, Dr Abraham Zygielbaum.

Prace mogą być pisane po polsku.

Listy do Redakcji

Zamieszczamy poniżej list p. Rity Gombrowicz, skierowany do redakcji *Literatury* w Warszawie, który nie został zamieszczony. (*Redakcja*).

Milan, 27 novembre 1972.

Monsieur le Directeur,
 „Literatura”,
 Varsovie

Monsieur le Directeur,

Je viens d'apprendre par l'article de M. Iwaszkiewicz, intitulé „Royaumont” dans le numéro 39 de votre revue „Literatura” du 9 novembre 1972, qu'on voulait consacrer une journée d'étude à l'œuvre de Gombrowicz à Royaumont, et que celle-ci a été annulée par des organisateurs polonais. En quoi cela me concerne-t-il? Je suis la première à déplorer que même dans un pays comme la France, les Polonais ne puissent même pas réussir à discuter librement d'une œuvre à laquelle ils tiennent tellement.

D'autre part, j'apprends qu'il existe „des” héritières et „des vraies veuves abusives” de Witold Gombrowicz. Vous comprendrez ma curiosité naturelle si je demande à M. Iwaszkiewicz de m'informer avec qui j'ai l'honneur de partager ces titres. En tous cas, je tiens à préciser que, selon la loi, je suis la seule „vraie” veuve et l'unique héritière des droits d'auteur de Gombrowicz. Si on appelle „abusives” la personne qui fait respecter les volontés de son mari, alors, je le suis. Et je souhaite à M. Iwaszkiewicz de nombreuses „vraies veuves abusives” pour faire respecter les siennes.

Quant aux lamentations de M. Iwaszkiewicz sur les souffrances du public polonais „privé” de l'œuvre de Gombrowicz, je me permets de mettre en contre-partie les souffrances de Gombrowicz privé de son public jusqu'à la fin de sa vie. Je souligne enfin que jamais depuis la mort de Gombrowicz un seul éditeur de Pologne ne m'a proposé concrètement de publier son œuvre complète, ni à l'éditeur de Paris qui possède les droits en langue polonaise*.

Avec mes salutations distinguées,

Rita GOMBROWICZ

* Dowiaduję się z artykułu p. Iwaszkiewicza pt. „Royaumont”, zamieszczonego w numerze 39 Pisma *Literatura* z 9 listopada 1972 r., iż zamierzano poświęcić jeden dzień w Royaumont na studium o dziele Gombrowicza, co zostało przez polskich organizatorów odwołane. W jakim stopniu to mnie dotyczy? Jestem pierwszą osobą, która żałuje, że nawet w takim kraju jak Francja Polacy nie mogą zdobyć się na to, aby swobodnie dyskutować nad dziełem, do którego przywiązują tak wielką wagę.

Z drugiej strony dowiaduję się, że istnieją „spadkobierczynie” i „prawdziwie zachłanne wdowy” po Gombrowiczu. Zrozumiem Pan chyba moją

Zamieszczamy list p. W. Makowskiego — na jego prośbę. Był on wysłany do pisma Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie *Skrzydła* i nie został opublikowany. — *Redakcja.*

Kanada, grudzień 1971.

Do: Dr Z. Matraś, sek. gen.
Stowarzyszenia Lotników Polskich,
Londyn.

Drogi Panie Doktorze,

Sprawa 25-lecia naszego Stowarzyszenia i korespondencja z tym związana nasunęły mi dużo myśli i wspomnień, o których starałem się zapomnieć.

Komitet redakcyjny prosił mnie, jako pierwszego prezesa Stowarzyszenia, o napisanie artykułu do jubileuszowego numeru *Skrzydła*.

Napisałem i posłałem.

Tego artykułu nie wydrukowali. Nie jestem z tego powodu ani obrażony, ani nawet zmartwiony — tylko jest mi bardzo, bardzo smutno.

Dlaczego jest mi smutno, postaram się wyjaśnić Panu Doktorowi, jednemu koledze, który czuł się w obowiązku mi odpisać i w bardzo delikatny sposób wytłumaczyć dlaczego tak się stało, że artykuł, mimo że pisany przez „zasłużonego patriotę”, negatywnie ustosunkowanego do reżymu, nie nadaje się do druku.

Pisze Pan że to się stało z powodu *policy matter*.

Przez trzydzieści lat tułaczki, jeżeli nie potrafiłem pokochać Anglosów, to zdobyli oni mój głębok i szczerzy szacunek, bo nauczyłem się od nich wielu rzeczy, których nam, Polakom, bardzo brakowało i, jak widzę, ciągle brak.

Szczególnie upamiętniłem sobie jedną ich zasadę, wpajaną swoim od młodości, a w nas od początku wojny, że: bując można, a dla wyższych celów często nawet trzeba, ale broń Boże, nie wolno dać się zabujać, a specjalnie niebezpieczne jest zabujanie się przez samych siebie.

Wróćmy do naszej rzeczywistości.

Nasze hasło jest odzwierciedleniem naszych, jak się Pan wyraził, *policy matters* sprzed 30 lat. „Nasz cel to powrót do wolnej Polski”.

Po co się bujać? Kto wróci? nawet gdyby reżym w Polsce się zmienił lub złagodniał.

Może wróciłaby garstka starców, którym łatwiej by było dożywać swego wieku z myślą że będą pochowani w polskiej ziemi, i mała garstka takich,

ciekawość, jeżeli poproszę p. Iwaszkiewicza o poinformowanie mnie z kim mam zaszczyt dzielić te tytuły? W każdym razie chciałabym sprecyzować, że zgodnie z prawem, jestem jedyną „prawdziwą” wdową i jedną spadkobierczynią praw autorskich po Gombrowiczu. Jeżeli nazywa się „zachłanną” osobę, która żąda aby szanowano wolę jej męża, w tym wypadku — ja nią jestem. I życzę p. Iwaszkiewiczowi licznych „prawdziwie zachłannych wdów”, które by żądały uszanowania jego woli.

Jeśli idzie o lamente p. Iwaszkiewicza nad cierpieniami polskiej publiczności, „pozbawionej” dzieła Gombrowicza, to pozwolę sobie przeciwstawić im cierpienia Gombrowicza, pozbawionego swoich czytelników, aż do końca jego dni. Podkreślam natomiast, że od śmierci Gombrowicza nigdy żaden wydawca z Polski nie zaproponował konkretnie wydania jego dzieł zebranych ani mnie, ani wydawcy paryskiemu, który posiada prawa na język polski.

którzy nie potrafili dać sobie rady na emigracji, i może jeszcze inne drobne wyjątki.

Ogół naszych członków stworzył sobie życie na emigracji i to nie najgorsze. Dla ich dzieci Polska już nie jest ojczyzną lecz krajem pochodzenia rodziców, i to przeważnie tylko ojca, a dla ich wnuków w ogóle tylko krajem pochodzenia. Po co więc pisać i powtarzać to co jest nierealne i w co logicznie myślący członek naszego Stowarzyszenia nie tylko nie wierzy, ale swoim dziecinom i wnukom nie śmiałyby zaproponować.

Czas na zmianę *policy matters*.

Gdyby na przykład nasz cel był sprecyzowany jako „Walka o wolną, demokratyczną Polskę”? to na ten temat można z dziećmi i wnukami rozmawiać. Można w nich wpoić, że mimo że są Amerykanami, Kanadyjczykami, Anglikami itp., są przede wszystkim wolnymi ludźmi. Wolność im zapewniła wspólna walka, w której ich polscy przodkowie brali czynny i skuteczny udział i ponieśli ciężkie ofiary; że mimo zwycięstwa Polacy w Polsce nie są jeszcze wolni i że świętym obowiązkiem każdego z kroplą krwi polskiej w żyłach jest o tym pamiętać i przy każdej sposobności przyczynić się do ich wyzwolenia.

Słowem *policy matters* nie są święte, nie tylko można ale koniecznie trzeba je zmieniać.

W jaki sposób? Naturalnie w sposób demokratyczny, to jest przez wymianę poglądów i przez podporządkowanie się decyzji większości. W jaki sposób wymienia się poglądy, jeżeli członków nie można zebrać w jednej sali? Przez przedstawienie problemów i wywołanie polemiki na łamach naszego pisma.

Taki byłby w moim pojęciu dobrze zrozumiany demokratyczny obowiązek redaktora czy komitetu redakcyjnego.

Zasada: „albo pan wychodzi w piki, albo 'won' z mego domu”, zastosowana do mego artykułu, nie jest ani dobrą zasadą brydżową ani demokratyczną. Natomiast nie mógłbym mieć najmniejszego zastrzeżenia, gdyby przy moim artykule była umieszczona notatka, że poglądy wyrażone w artykule nie są podzielane przez redakcję.

Reasumując: według naszego hasła i *policy matters*, my nie wracamy do Polski bo Polska nie jest wolna tj. nie jest demokratyczna, ale demokracji to my tu u siebie też nie stosujemy.

Przepraszam ale „Naser *policy matter*” z takim zabujaniem siebie przez nas samych.

Mówiąc poważnie jednak, przyczyną, lub jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest fakt że demokracji, tak jak patriotyzmu, jest bardzo trudno się nauczyć, to chyba trzeba wyssać z mlekiem matki i mieć to we krwi. Rządy demokratyczne są powolne i mało wydajne, gadulstwo (*filibusters*) w sejmach niesamowite, częste strajki, organizowane nawet w służbach użyteczności publicznej, i inne temu podobne przyjemności, jaskrawo sprzeczne z pojęciem dobrej organizacji, dyscypliny, porządku i solidarności społecznej. Nie darmo taki wyga jak Churchill powiedział, że system ten jest okropny, ale — jego zdaniem — trzeba go stosować, bo nic lepszego ludzkość niestety nie wymyśliła.

Jeżeli nam po tej stronie kurtyny jest tak trudno nauczyć się demokracji, to cóż dopiero Polakom w Polsce, gdzie już dwa nowe pokolenia żyją i pracują w totalitarnych warunkach, niczego innego nie widzieli i są urabiani przez tendencyjną prasę i kontrolowaną literaturę.

Nie jednak nie trwa wiecznie i reżym w Polsce też się zmienia; kto będzie wprowadzał nowe formy ustroju? kto będzie wprowadzał demokrację w przyszłej Polsce? Na pewno nie my i nie żadne inne emigracyjne pokolenie. Decydujący głos będą miały nowe pokolenia Polaków w Polsce. Trzeba im pomóc, żeby wiedzieli czego chcą i do czego dążą.

Prywatnie, jeżeli tylko mogę, ułatwiam przyjazd lub pobyt młodych Polaków w wolnych krajach.

Przewodnią myślą mego artykułu było to, żeby w testamentie naszej organizacji, która jako stowarzyszenie emigracyjne byłych kombatantów musi umrzeć naturalną śmiercią w następnym 25-leciu, zapewnić, w ramach naszych możliwości, możność kształcenia młodych Polaków w krajach, gdzie demokracja jest we krwi społeczeństwa i jest stosowana skutecznie, a specjalnie w kraju gdzie urzędnik wzywający obywatela do zapłacenia kary lub zaległego podatku, podpisuje list jako sługa uniżony tego obywatela.

Nasze Stowarzyszenie robi bardzo dobrą robotę humanitarną dzięki kolegom pracującym z oddaniem i dzięki poparciu przez społeczeństwo brytyjskie. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby obecne nasze władze, poza humanitarną stroną naszej działalności, nie zastanawiały się nad problemem dostosowania naszych celów ideowych do zmienionych warunków i problemem, co się stanie z naszą organizacją i jej majątkiem po najdłuższym życiu ostatniego członka.

Po co to trzymać w tajemnicy — to nie byłoby zgodne z zasadą demokratyczną.

Jeszcze raz dziękuję Panu Doktorowi za odpisanie na mój list i za przesłanie nadanej mi honorowej odznaki naszego Stowarzyszenia, z której jestem bardzo rad i bardzo dumny.

Ściskam dłoń i przyjemnych Świąt życzę

W. MAKOWSKI

P.S. — *A propos* mojej odmowy na podanie mnie przez Stowarzyszenie do odznaczenia krzyżem komandorskim orderu Odrodzenia Polski.

Odmówiłem na tej samej zasadzie, na jakiej odmówiłem sugerowany awans na generała.

Wszystko razem oparte jest na małym incydencie w moim bujnym życiu, sprzed 50 lat mniej więcej.

Mianowicie w tym okresie byłem w Paryżu na studiach, jako stypendysta Lotnictwa Polskiego. Na początku ciężko mi było bardzo, bo nie znałem języka, stale byłem spóźniony w naukach, i z tego powodu przechodziłem depresję moralną.

Przyjechał „koleżka” z kraju, więc z powodu tego radosnego wydarzenia i w celu podniesienia mego *morale*, poszliśmy na wódkę — gdzie? do dobrej ale drogiej restauracji Kornitowa. Z forszą było kruch, więc wypiliśmy tylko po parę kieliszków wódki i zakąśliśmy bardzo dobrymi kanapkami, które były obnoszone po całej restauracji. Po zjedzeniu obiadu, naturalnie z kaszą gryczaną, małosolnymi ogórkami i kiszoną kapustą, ze strachem poprosiłem o rachunek. Rachunek był niespodziewanie niski, bo zawierał tylko obiad — napoje i zakąski były na koszt gospodarza z powodu jego nominacji na stanowisko generała-gubernatora Kijowa przez władze cesarsko-rosyjskie na emigracji (rok 1922).

Moje pierwsze wrażenie ulgi, że forsy na pewno starczy, szybko zmieniło się w uczucie litości, gdy dawałem suty napiwek kelnerowi — rotmistrzowi z wysokim bojowym odznaczeniem i gdy ściskałem rękę i gratulowałem rozanielonemu nominacją gospodarzowi.

Z biegiem czasu to drobne przeżycie wyrobiło się u mnie w pewnego rodzaju kompleks wyższości: — Moskale, prymitywny naród, niech się bawia jak mogą, mnie to nie szkodzi, ale u nas Polaków to by nie chodziło.

Nosiłem ten kompleks wyższości przez długie lata, ale od niedawna zupełnie go zatraciłem, i to bez reszty.

Z awansem na generała poszło mi łatwo, bo w moim wypadku miała za zastosowanie definicja moskiewska: co to jest generał? ogłupiały pułkownik.

Z orderem jednak miałem małą chwilę zastanowienia się. Mianowicie jestem komandorem orderu Brytyjskiego Imperium, którego już nie ma — byłyby stylowo być komandorem orderu Polski Odrodzonej, której też nie ma, bo nie jest jeszcze odrodzona.

Wolałem jednak nie — bałem się być zabujany przez samego siebie.

W. M.

Londyn, 18 listopada 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Turysta (II)” w swym liście do redakcji (Nr 11/302) *Kultury*, omawiając stosunek władz PRL do żydowskiej mniejszości narodowej na przykładach gazety *Folkstimme*, wydawanej dla nieumiejących czytać po żydowsku i teatru żydowskiego z aktorami-Polakami „nauczonymi ról po żydowsku” dla publiczności nieznającej żargonu, dodaje: „Podobny stosunek polskich władz można zauważyć do ludności białoruskiej w Białostockim”.

Ze słów autora („niedawno opowiedziano mi, że...”) wynikałoby, że nie pisze z obserwacji własnej. Nie mam elementów by kwestionować jego uwagi co do mniejszości żydowskiej w Polsce, ale mam pod ręką dane krajowe dotyczące Białorusinów, mieszkających w granicach PRL.

Jak wynika z artykułu Tadeusza Książka, zamieszczonego w wydawnictwie „Z dziejów stosunków polsko-radzieckich” (t. V, Warszawa, 1969, str. 176), potrzeby kulturalne ok. 200 tysięcy Białorusinów obywateli PRL zaspakajane są w rozmiarach zasługujących na uwagę i... refleksję.

Żywą działalność prowadzi tam Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, założone w roku 1956. Wydaje ono tygodnik *Niwa* (nakład 5 tys. egzemplarzy) oraz „Kalendarz Białoruski”. Jego staraniem wyszło kilka zbiorów poetyckich oraz 26 jednoaktówek o łącznym nakładzie 41 tys. egzemplarzy. Sieć bibliotekarska obejmuje 269 bibliotek i punktów bibliotecznych o łącznym księgozbiorze ponad 150 tys. tomów w języku białoruskim.

Młodzież białoruska na Białostoczczyźnie (w tym 10.800 dzieci) uczy się języka ojczystego w 35 szkołach z białoruskim językiem wykładowym i 143 szkołach mających jako przedmiot język białoruski. Dwie białoruskie szkoły średnie znajdują się w Bielsku Podlaskim i Hajnówce. Język białoruski wykładany jest w Liceum Pedagogicznym w Bielsku Podlaskim oraz w Liceum Ogólnokształcącym w Michałowie. Nauczycieli dla szkół białoruskich przygotowuje filologia Białoruska przy I Studium Nauczycielskim w Białymstoku oraz katedra Filologii Białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Duże ilości podręczników białoruskich wychodzą nakładem Państwowego Wydawnictwa Zakładów Szkolnych, zaspokajając potrzeby dydaktyczne szkolnictwa białoruskiego.

W świetle powyższego wydaje się więc, że twierdzenie p. „Turysty (II)” co do ustosunkowania się władz PRL do mniejszości białoruskiej należy przyjąć z przysłowiową szczyptą soli. Aale dobrze się stało, że autor tę sprawę poruszył. Wzbudził refleksję, z której rodzi się pytanie, które można chyba postawić na łamach *Kultury* od adresu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie. Jak wiadomo, na terenie Białorusi Sowieckiej ma się znajdować według spisu roku 1970 około 385 tys. Polaków.

Checiałyby się wiedzieć: ile szkół podstawowych, średnich, liceów nauczycielskich, bibliotek i punktów bibliotekarskich służy potrzebom kulturalnym polskiej mniejszości narodowej w BSSR? Ile dzieci polskich uczy się języka ojczystego, jakie licea przygotowują nauczycieli polskich dla tych dzieci? Ile podręczników w języku polskim wychodzi rocznie nakładem białoruskich wydawnictw państwowych? Czy istnieje w ZSSR Polskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne będące odpowiednikiem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w PRL? Jakie tygodniki wydaje polskie? I czy „Kalendarz Polski” też?

Przy okazji — prośba o te same dane w odniesieniu do polskiej mniejszości narodowej na Ukrainie Sowieckiej. Z obu tych „bratnich republik radzieckich” jakoś głucho o tym, nawet w prasie krajowej, mimo, że to przecież „za miedzą” a kontakty z Republikańskimi (Białoruskim i Ukraińskim) Oddziałami Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, istniejącymi od roku 1957, są tak ożywione.

Łączę wyrazy poważania,

Antoni RAWICZ-SZCZERBO

17 grudnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł Wiktora Sukiennickiego „Rara avis, czyli o Litwinach mówiących po polsku” (*Kultura*, grudzień 1972) przeczytałem z wielkim zainteresowaniem, ale też z pewnymi sprzeciwami.

Między innymi autor pisze:

„Jednym z ostatnich dokumentów Rzplitej w języku litewskim było sprawozdanie delegatów Wielkiego Księstwa, wysłanych na rokowania z Chmielnickim w Białej Cerkwi” (str. 47).

Nie przeczę, że tak było, ale wydaje mi się, iż dokument ten należałoby nazwać raczej pierwszym dokumentem Rzplitej w języku litewskim, a nie ostatnim, bo przecie językiem urzędowym W. Ks. Litewskiego zarówno przed, jak i w początkowym okresie ugody z Polską był nie litewski, a tzw. ruski, prekursor obecnego białoruskiego. Dopiero za ostatnich Jagiellonów stopniowo polski zaczął się stawać językiem urzędowym W. Ks. Litewskiego. Między innymi miasto Wilno zaadoptowało język polski jako urzędowy dopiero za panowania Zygmunta Augusta. Przedtem obowiązywał język ruski, a nie litewski.

Protestantyzm i zanik łaciny z jednej strony przyczyniły się do ożywienia języka litewskiego (Litwini przed opanowaniem Białej Rusi byli niepiśmienni — pierwsze tłumaczenie Pisma św. na ten język ukazało się dopiero w XVI wieku), i tym chyba można tłumaczyć pojawienie się pierwszego dokumentu Rzplitej — sprawozdania z rokowań z Chmielnickim — w tym języku w XVII wieku. Z drugiej strony zanik łaciny spowodował stopniowe zamieranie języka ruskiego, który w poprzednim okresie był w pełni rozwiniętym, literackim językiem i zastępowanie go przez język polski.

Jednocześnie warto by zwrócić uwagę na to, że nie tylko nie znaleziono sealającego przymiotnika dla państwa polsko-litewskiego, o czym pisze autor, ale podobnie w ramach W. Ks. Litewskiego nie wprowadzono nowego określenia pokrywającego zarówno Litwinów jak i Rusinów, tak północnych (późniejszych Białorusinów) jak i południowych (późniejszych Ukraińców). Autor również nie wprowadził w swym artykule tych rozgraniczeń i określił

jednym pojęciem „Litwini mówiący po polsku” zarówno osoby wywodzące się ze środowiska litewskiego jak i białoruskiego.

Niewątpliwie autor ma rację podkreślając zanik pojęcia „Litwinów mówiących po polsku” poczynając od końca XIX wieku, z tym iż raczej należałoby mówić o „Litwinach i Białorusinach mówiących po polsku”, którzy uważali się za synów swej ziemi, występowali w jej imieniu i zdawali sobie sprawę z tego, iż pomimo, że zaadoptowali polską kulturę, różnią się od Polaków zamieszkujących Koronę i są „innymi Polakami”.

Jednym z typowych objawów wygasania pojęcia „innych Polaków” było to, iż w latach 1914-22 cała spolonizowana elita litewska i białoruska, która na początku tego okresu miała jeszcze pokaźne wpływy na rozległych terytoriach od Kowna po Witebsk i Mohylów nie wystąpiła w imieniu interesów tych ziem i różnorodnej ludności zamieszkującej te tereny i nie stworzyła jakiegś koncepcji politycznej, która dawałaby temu krajowi pewną samodzielność. Można przypuszczać, iż do tego przyczynił się ogólny wzrost nacjonalizmów, a w pierwszym rzędzie nacjonalizmu polskiego, jak również egoistyczna postawa „Litwinów i Białorusinów mówiących po polsku”. Nie mieli oni zamiaru dobrowolnie rezygnować ze swego stanu posiadania na korzyść innych grup społecznych i etnicznych zamieszkujących te terytoria. Również nie chcieli przyznać prawa rozwoju innym ośrodkom kulturalnym (a między innymi rdzennie litewskiemu i rdzennie białoruskiemu), pomimo że ci „inni Polacy” posiadali wielką przewagę kulturalną i jeszcze przez dłuższy czas odradzające się ruchy litewski i białoruski nie mogłyby im zagrażać.

W czasie i tuż po pierwszej wojnie światowej „Litwini i Białorusini mówiący po polsku” w znacznej większości zrezygnowali ze swej „polskiej inności” i dołączyli bez zastrzeżeń do polskości „koronnej”. Przyjawszy to stanowisko nie mogli już występować w imieniu całości ziem zamieszkałych przez siebie, a jedynie w imieniu swojej grupy społecznej i kulturalnej, w imieniu swoich własnych interesów. Tego rodzaju postawa, jak również czynniki zewnętrzne przyczyniły się do zaniku pojęcia „Litwinów i Polaków Białorusinów mówiących po polsku”, jaki obserwujemy obecnie, któremu ostatni cios został zadany w okresie zakończenia drugiej wojny światowej. Od tego czasu istnieje jedynie pojęcie Polaka w sensie nacjonalistycznym i ostatnim już chyba przykładem „innego Polaka” jest Józef Mackiewicz i stąd konflikty pomiędzy nim i „Polakami bez zastrzeżeń”.

Z. S. SIEMASZKO

P.S. Autor zapytuje jakim językiem mówił Jagiełło z Sońką Holszańską? Nie wiem, ale spróbuję zgadnąć — po rusku na co dzień, a po polsku od święta.

Sao Paulo, 30 stycznia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nigdy jeszcze, jak dotąd, nie splamiłam się żadnym „listem do Redakcji”, i myślałam że tak już umrę. Ale zdarzyło się, że przeczytałam „Duże cienie” Czesława Miłosza w październikowym zeszytowanym numerze *Kultury* ze wzmianką o rodzinie Askenazy, a następnie, list do Redakcji pani Hanny Chorążyny datowany w Bruseli 12 października 1972 roku, w którym autorka bierze niejako w obronę osobę Janki Askenazy przed niecisłosciami zawartymi na Jej temat w artykule Miłosza.

Przede wszystkim chcę wyjaśnić że Pani Chorążyny nie znam, że nie mam żadnych powodów do kwestionowania szczerości jej wypowiedzi w grudniowym numerze *Kultury*, i że zabieram głos wyłącznie w poczuciu obowiązku dania świadectwa prawdzie, jednej z nielicznych wartości jakie możemy jeszcze bronić i ochraniać w przemijającej rzeczywistości.

Z rodziną Askenazych przyjaźniłam się od 1925 roku.

Znajdując się, wiekiem, pomiędzy pokoleniami matki i córki, przyjaźniłam się tak z Janką, jak z panią Felicją, jej matką. Profesor traktował mnie z przyjazną pobłażliwością, bo czasami, ośmielałam się być innego zdania niż on.

W 1926 roku spędziłam dwa miesiące z panią Felicją i Janką nad Atlantykiem. Bywałam w domu Askenazych, na ul. Czackiego, na wielkich reprezentacyjnych przyjęciach. Brałam udział w intymnych, kilkuosobowych zamkniętych spotkaniach. Byłam zapraszana przez profesora Askenazy na uroczyste podwieczorki w okresie nieobecności pań. Byłam wzywana przez Felicję Askenazy dla rozładowywania okrutnych gniewów Profesora, prawie zawsze powodowanych niesamowitymi wybrykami Janki. Cieszyłam się pełnym zaufaniem p. Felicji która nie kryła się przede mną ze swoimi troskami.

Po śmierci Profesora, w 1935 roku, stosunki moje z Janką i Jej Matką stały się jeszcze bliższe, przechodząc ponad wszelkie komplikacje ostatnich lat przedwojennych, jak i okresem inwazji niemieckiej a następnie okupacji.

W 1940 roku pielęgnowałam p. Felicję w szpitalu, a następnie pochowałam ją pod cudzym nazwiskiem na cmentarzu Powązkowskim. Po śmierci pani Felicji Askenazy podjęliśmy się, łącznie z p. Wandą Filipowiczową, tą od *Arkad*, opieki nad matką pani Felicji, panią Tykociner, z którą miałyśmy szereg tragicznych i komicznych przeżyć. Wyłącznie osoby które w tamtych czasach znajdowały się pod okupacją, wyczuwają sens i prawdziwość podanych niżej informacji. Babcia Tykociner, zarejestrowana w Zakładzie w którym była umieszczona jako „Tarkowska”, miała na swym nocnym stoliku małą tarakę, aby mogła sobie bez trudności, w trakcie niespodziewanej rewizji Niemców, przypomnieć jak się „oficjalnie” nazywa. Przyjęła tę tarakę i inne poczucia z pogodą ducha przystojną starszej osobie. Ale na „do widzenia”, oświadczyła z całą stanowczością: *Mais, quand viendront les Allemands, je dirai toute la verité!* Dla Jej spokoju podawałam że Felicja Askenazy z Janką znajdują się za granicą. Kiedy ksiądz przyszedł do Zakładu w którym się znajdowała, i spowiadał znajdujące się na sali starszki, babcia Tykociner przykryła się kołdrą aby „katolicki diabeł” nie miał dostępu do jej duszy. Wymogła na nas obietnicę że będzie pochowana przez rabina, na kirkucie w Łodzi, w grobowcu Poznańskich.

Umarła parę tygodni przed Powstaniem Warszawskim, i znowu pochowaliśmy ją pod cudzym nazwiskiem na Powązkach. Ksiądz w Zakładzie, w którym przebywała rozgrzeszył mnie, twierdząc że on i tak już dawno ochrzcił panią Tykociner, chociaż ona o tym nie wiedziała.

Powracając do Janki. Byliśmy z Nią, to jest ja i moja rodzina, w stałym, choć nie regularnym kontakcie, w zależności od sytuacji i warunków w których się Ona znajdowała. Aż do czasu, w którym raptownie, słuch o Niej zaginął.

Przechodzę teraz do spraw związanych z faktami podanymi przez p. Chorążynę dotyczących Janki Askenazy, oraz obserwacji opublikowanych przez Czesławę Miłozsa. Miłosz, pisząc o Jance jako o typie schizofrenicznym był bliski prawdy. Ale całej, smutnej prawdy, zapewne nie znał, lub też, z jakichś sobie znanych powodów, nie chciał opublikować. Gdyż Janka była po prostu bardzo ciężko chora.

Już jako 14-toletnia dziewczynka, bardzo zresztą inteligentna, odznaczała się szaloną egzaltacją. Przechodziła od skrajnej rozpacz do historycznego

śmiechu. Nie umiała skoncentrować się na niczym. Gubiła wszystko co do niej należało. Stan ten nie polepszał się z wiekiem. Pogarszał.

Dom profesorski nie znajdował się przy moście Kierbedzia, jak podają informatorzy pani Chorążyny, lecz przy ul. Czackiego.

Janka Askenazy była chyba od dziecka uświadomiona o swoim pochodzeniu. Każdy, kto znał osobieście Profesora i jego szaloną dumę, łatwo to zrozumie. Nie raz byłam świadkiem, jak w wykwitnym arystokratycznym środowisku opowiadał o swoim pochodzeniu, wywodzącym się ze starej rabinackiej hiszpańskiej rodziny.

Janka, po powrocie ze Szwajcarii, wstąpiła na pensję pp. Kowalczykówny i Jaworkówny (moja pensja), i, o ile wiem, nigdy szkoły do końca nie zmieniła.

Kiedy, przed maturą Janki, p. Felicja, zapewne ze względów utylitarnych, namawiała Jankę aby się ochrzciła, Profesor zaoponował, twierdząc że choć jest ateistą, ma zbyt wielki szacunek do religii chrześcijańskiej, aby tę sprawę traktować w sposób snobistyczny. Janka wypowiedziała się po stronie Ojca.

Po maturze Janka zapisuje się na Uniwersytet Warszawski, ale w ciągu dwu lat nie ma ani jednego zdanego kolokwium. Po prostu nie jest w stanie się skupić, nad czym sama bardzo boleje. Jeszcze za życia Profesora, p. Felicja coraz to bardziej zaniepokojona stanem Janki podsunęła mężowi myśl, aby Janka poddała się psychoanalizie. Profesor wpadł w straszny gniew. W ogóle nie wierzył w psychoanalizę, uważając ją za sposób służący do wyłudzenia pieniędzy, a nade wszystko był zdania, że lekarze psychiatrzy to przeważnie Żydzi, a on nie chce aby mieli uciechę rozpowiadania o tym, że Askenazy ma córkę psychopatkę.

Trudno zgodzić się na twierdzenie, że Janka pojechała do Wiednia na życzenie ojca — z chwilą kiedy jej wyjazd na rzekome studia miał miejsce dwa lata po śmierci Profesora. Zapisanie na studia w Wiedniu były wersją „oficjalną”. Chodziło przede wszystkim o oddanie Janki pod opiekę słynnego psychiatry, prof. Pötzla, sławy europejskiej. Parę miesięcy przed *Anschluss'em*, na skutek błagań p. Felicji pojechałam do Wiednia. Osoba, u której Janka mieszkała, dała znać p. Felicji, że Janka od miesiąca nie wychodzi ze swego pokoju, leży w łóżku przy zamkniętych roletach i nie chce jeść. Wszystko to z powodu i winy Prof. Pötzla, który odmówił dalszego jej leczenia.

Pojechałam tedy do Wiednia porozumieć się z Profesorem. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, a w czasie rozmowy prawie godzinnej, zaprzyjaźnił się. Oświadczył mi że miał do wyboru: albo zrzeczenie się profesury, pokłócenie się z żoną i zaniebdanie wszystkich pacjentów, albo zaprzestanie leczenia Janki. Przychodziła ona bowiem do niego, i nie było żadnej ludzkiej siły, aby się od niej uwolnić. Kiedy wreszcie, prawie siłą wyprowadzał ją z gabinetu, przesiadywała jeszcze godzinami w poczekalni, wślizgiwała się do prywatnego mieszkania Profesora, które łączyło się z poradnią lekarską, nagabując panią domu i wciskając jakieś karteczki w książki lub za obrazy z notatkami dla Profesora. Określał on Jankę jako typ schizofreniczny, będąc zdania, że stan jej będzie się z biegiem czasu pogarszał. W normalnym zrównoważonym świecie nie będzie mogła ona znaleźć sobie miejsca — twierdził. Polepszenie chwilowe mogłoby, zdaniem Profesora, nastąpić łącznie, gdyby w jakiś sposób został zakłócony porządek świata. „Na przykład, w razie wybuchu wojny europejskiej” dodał z uśmiechem, „ale ja w tę wojnę nie wierzę”. Na moje usilne prośby obiecał ponownie przyjmować Jankę dwa razy na tydzień, z tym, że jeżeli nie będzie się ona w stanie dostosować do obserwowania przepisów obowiązujących wszystkich pacjentów — przerwie definitywnie kurację. *Anschluss* nie pozwolił na przeprowadzenie próby. Janka wyjechała z Wiednia i powróciła do Warszawy w

okropny m stanie nerwów. Nie potrzebuję dodawać, że na Biologii, na którą zapisała się w Wiedniu, nie zdała żadnego egzaminu.

Po powrocie Janki do Warszawy następuje dalsze pogorszenie. Siedzenie w zamkniętym, zaciemnionym pokoju. Nie mycie się.

W tym okresie zdarzało się jej przychodzić do nas kuchennym wejściem o 10-jej wieczorem i wykładać mi do świtu swoje poglądy na istnienie świata. Należy dodać, że Janka była bardzo inteligentna, i dla kogoś, kto jej nie znał lub znał ją powierzchownie, umysł jej mógł się wydawać nieprzeciętnym i o dużej treści wewnętrznej. Jeszcze przed wojną Janka zgodziła się poddać nowym badaniom lekarskim. Miało to miejsce, o ile się nie mylę, na Śląsku. Wyrok lekarzy był jednomyślny. Radzono Jankę internować. Rzecz praktycznie w owych warunkach niemożliwa. Wybuchła wojna. I, faktycznie, kiedy świat się zawałił, Janka jakby przyszła do siebie i zaczęła działać. Ale pomimo wszystko niezawsze w sposób zupełnie rozumiały. W tym to bowiem okresie, na przełomie 39-go i 40-go roku, otrzymawszy z rąk matki jej oszczędności, przeznaczone na wyrobienie paszportu zagranicznego, wraz z dokumentami p. Felicji, oczywiście w drodze kontaktów podziemnych, — dokumenty matki zgubiła a pieniądze otrzymane „oddawała na inny cel”.

Przytoczony przez Miłosza wypadek jeżdżenia tym samym tramwajem przez wiele godzin jest zgodny z prawdą. Mogę dodać, że w Komisariacie Policji Janka podała mój adres i numer telefonu. Później, z tego samego Komisariatu zatelefonowała do mnie i zduszonym szeptem oznajmiła że jest zaarrestowana, ale że już pozbyła się w klozecie kompromitujących papierów. Podkreślał jeszcze raz. Wyłącznie osoby, które przeszły osobiście niemiecką okupację mogą to zrozumieć. Było to po prostu, w większości wypadków, oddanie ludzi na śmierć. Ale, tym razem, wyczyn Janki uratował i ją i mnie. Wypuszczono ją jako nienormalną umysłowo.

Cóż więcej mogę dodać. Piszę ten list z prawdziwą przykrością i z wielkim smutkiem. Byłam bardzo przywiązana do Janki i jej rodziny, i szczerze współczułam jej tragicznemu losowi. Janka była bardzo prawym, choć niestety, nieuleczalnie chorym człowiekiem. Uważam że należy jej się raczej tragiczna prawda, niż stwarzanie sztucznych legend bez podstaw.

I uważam, że ta prawda należy się także Miłoszowi.

Łączę wyrazy szacunku,

Maria SZABUNIEWICZ
Praga Villaboim 78 ap. 91
Sao Paulo — 01241 — Brazil.

London, 25 stycznia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

W styczniowym numerze *Kultury*, w dziale „Krajowe nowości wydawnicze”, ukazała się notatka p. Marii Danilewiczowej o wydaniu „Poezji wybranych” Kazimierza Wierzyńskiego w Polsce.

Nie mogę pominąć tej notatki milczeniem. Jest ona zredagowana tak, że na jej podstawie można się domyślać nie wiadomo jakich „długich deliberacji”, których wynikiem było „częściowe ułaskawienie” Wierzyńskiego i „okrojone wydanie” jego wierszy z „cenzorskiej łaski”. Myślę, że wyjaśnienie z mojej strony należy się zarówno Wydawnictwu Literackiemu w Krakowie, jak i czytelnikom *Kultury*.

Na końcu tomu w posłowie pisanym przez redaktorkę zbioru jest powiedziane: „Wybór niniejszy został dokonany przez samego poetę w roku

1966 z przeznaczeniem dla Wydawnictwa Literackiego. Wierzyński dokonał tego wyboru wyłącznie z powojennej swojej liryki, jako ostatniej fazy swego poetyckiego rozwoju”. I taka jest wiadoma mi prawda. Mój mąż pracował nad tym wyborem w lecie 1966 roku w czasie wakacji nad Lago Maggiore, wspólnie z Prof. Dr. Marią Dłuską, która przyjechała go tam odwiedzić. Wybór był robiony istotnie (nie wiem, dlaczego p. Danilewiczowa o tym wątpli z przeznaczeniem dla Wydawnictwa Literackiego, które od roku 1956 okazywało zainteresowanie twórczością mego męża i zwracało się do niego z propozycjami wydawniczymi).

Dlaczego mój mąż wybrał ten okres swojej twórczości? Bo w tym czasie myślał na pewno, że te właśnie wiersze najlepiej go reprezentują. Lubił je. Pisał je w oderwaniu od udręki naszego losu, w odosobnieniu, wśród przyrody, muzyki i pracy, która dawała mu zadowolenie, na nowo bliski sobie, skłonny w wierszach do refleksji najbardziej osobistych. Odzew na te wiersze też sprawiał mu przyjemność. Mówiło się o nowej młodości („młody Prospero” — pisał Lechoń), o odnowieniu warsztatu i o wierszach „niezwykłej prostoty i piękności” (p. Danilewiczowa). Zachwycała się nimi Maria Dąbrowska w swoich listach. Dopatrywano się ich wpływu na poezję w kraju, a dwoje polonistów wzięło je za przedmiot swoich prac doktorskich. Samych wierszy jednak w kraju nie było.

Stosunek mego męża do kraju nigdy się nie zmienił. Od „Wolności tragicznej” do „Czarnego poloneza”. Żył krajem i, jak mówił na wpół żartobliwie, „umierał na kraj”. Zawsze z goryczą reagował na rzeczy złe, cieszył się dobrymi. „Była w nim — pisał Zbigniew Herbert w *Tygodniku Powszechnym* — żywa, autentyczna pasja, niezgoda, ale także pilne nasłuchiwanie tego, co dzieje się w kraju”.

Po śmierci mego męża zwrócono się do mnie z propozycją wydania jego poezji w kraju. Był to dla mnie początkowo moment wahania i rozterki. Nie miałam jeszcze siły, aby decyzję tej wagi podjąć sama, zwróciłam się więc do wybitnych i bliskich Wierzyńskiemu przyjaciół na emigracji. Doradzili mi wydanie wierszy. Nie obarczam ich odpowiedzialnością, decyzja zawsze należała do mnie, jestem im wdzięczna za to, że chcieli mi pomóc.

To że „ujawniono — jak pisze p. Danilewiczowa — część twórczości powojennej”, czyli wybór robiony we Włoszech, było również moją decyzją. Znając stosunek mego męża do tych wierszy, wierzyłam, że przekazując je krajowym czytelnikom, spełniam w pewnym sensie jego wolę.

Wybór opublikowano w rekordowym tempie. Od chwili podpisania umowy (4. 10. 1971) do pojawienia się książek na półkach księgarskich (pozątek czerwca 1972) upłynęło zaledwie kilka miesięcy. „Deliberacje” nie trwały długo.

Łączę wyrazy poważania,

Halina WIERZYŃSKA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

B. R. Kosmopolka z wyboru, Duisburg. Listu nie zamieścimy. Listy do redakcji są swoistą Wolną Trybuną, w której zamieszczamy wypowiedzi wyłącznie na odpowiedzialność autorów. Jeśli czyta Pani *Kulturę* systematycznie, to przecież mogła się Pani zorientować, że sprawy które Panią bolą — bolą nas również i na te tematy pisaliśmy i piszemy bardzo dużo i bardzo wyraźnie, nie uciekając się do symboliki okolicznościowych wierszy. A swoją drogą czy był sens wyjechania z kraju, by nadal nie móc mówić i pisać pełnym głosem, pod własnym nazwiskiem?

REDAKCJA

List otwarty do Gierka napisał Zygmunt Depta, zamieszkały w Blankheim (NRF). Latem 1967 Depta wyjechał z wycieczką „Orbisu” do Austrii, tam zdecydował się osiedlić w NRF. Zona i córka pozostały w Brzeziu nad Odrą. Starania o połączenie rodziny nie dały pod dziś dzień skutku. Postanowienie opuszczenia Polski uzasadnił Depta trzema argumentami: 1) Mimo że był nauczycielem, władze lokalne uważały go wciąż za Niemca. 2) Jako bezpartyjny nie miał żadnej szansy awansu zawodowego. 3) Ponieważ już dawniej posiadał obywatelstwo niemieckie (służył w niemieckiej marynarce wojennej), otrzymał je na powrót. W Brzeziu zwolniono jego żonę z pracy, a córkę wydalono z liceum. Depta twierdzi: „Takich rozdzielonych rodzin jak nasza, których ojcowie tu w NRF żyją a żony z dziećmi w Polsce, jest według ministerstwa spraw zagranicznych NRF około 14.000”.

SPROSTOWANIE

W artykule „Gabriel Narutowicz” w Nr. 1/2 *Kultury* 1973 roku na stronie 9-ej, wiersz 15-ty od dołu, zamiast dwóch zdań, zaczynających się od słów „Daszyński z trudem...” aż do „na czele” włącznie, powinny być trzy zdania następującej treści:

„Sytuacja była bardzo groźna. Już po zamieszkach 11 grudnia Daszyński z trudem odwiedził warszawską organizację PPS od zorganizowanego odwetu na pośrednich sprawcach zabójstwa. Nastrojom odwetowym uległy początkowo nawet niektórzy wybitni piłsudczycy. Ale po zabójstwie marszałek Rataj szybko powołał za radą Piłsudskiego rząd z gen. Sikorskim na czele”.

DO PRENUMERATORÓW

Jesteśmy zasypani reklamacjami naszych prenumeratorów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, którzy jeszcze na początku lutego nie otrzymali numerów Kultury z listopada i grudnia ub. roku. Jesteśmy naprawdę zupełnie bezsilni: Kultura jest ekspediowana do wszystkich prenumeratorów we wszystkich krajach jednego i tego samego dnia zawsze między 3 a 5 każdego miesiąca. Wina jest całkowicie po stronie poczty amerykańskiej i kanadyjskiej, a nie francuskiej. Nie jest to zarzut bezzasadny: dowiedzieliśmy się mianowicie, że ok. tysiąca osób w Stanach dostało zaproszenia do Białego Domu na uroczystości inauguracyjne prezydenta Nixona trzy tygodnie po ich wysłaniu i w tydzień po uroczystościach. Jedyne wyjście, jakie widzimy, to masowe reklamacje wysyłane do odpowiednich czynników, kongresmenów etc. Bez zmobilizowania opinii publicznej ten stan rzeczy się nie zmieni.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1973.



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA:	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaternergasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rua Guira 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA: Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24 Facer Str., St. Catherines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1601 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich. 48234; Polish Book Store, 1002 Fanshawe St., Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik. 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053;	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA: P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 225 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY TRZECI

Zawiera m.in.: J. Lewandowski: *Funkcje specyficzne historycyzmu w krajach systemu sowieckiego*; P. Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią w PRL*; W. Babiński: *Wymiana depeš między Nacz. Wodzem i D-cą Armii Krajowej 1943-1944 (Cz. I.)*; Wł. Gomułka *na aktywie partyjnym Huty Warszawa (dok.)*; St. Stempowski: *Z Pamiętnika (Wojna. Pogrom — 1914-1917)*; *Notatki z archiwum śp. Wł. Pobóg-Malinowskiego* oraz bogate działy: POLEMIK, RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI jak również nowy dział: W OBCYCH OCZACH.

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4,25; £.stg. 1.60)



TOM 226 — ADAM KRZYŻANOWSKI

DZIEJE POLSKI

Praca przedstawia dzieje Dwudziestolecia Polski Niepodległej, specjalnie szczegółowo naświetlając przygotowania Stalina i Hitlera do rozbioru Polski. Książka nie mogła ukazać się w kraju.

Str. 456.

Cena F. 35 (dol. 8,00; £.stg. 3.00)



TOM 227 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

CUDOWNA MELINA

Powieść młodego ale już znanego pisarza malująca stosunki Polski prowincjonalnej.

Str. 180.

Cena F. 20 (dol. 4,50; £.stg. 1,75)